

polska zbrojna

W NUMERZE
PORADNIK
ŻOŁNIERZY
Słiezbędnik

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

MISTRZOWIE

DRUGIEGO ŻYCIA:

JAK ROZSĄDNIIE ZAPLANOWAĆ KARIERĘ W CYWILU



**ANDRZEJ
WOJTUSIK**



**21 GRUDNIA
2011 ROKU**
- SMUTNA DATA
DLA ŻOŁNIERZY
BARTOSZYCKIEJ
BRYGADY

O TYM, JAK DZIAŁA
PODOFICERSKI
ŁAŃCUCH
WSPARCIA





BEZPIECZEŃSTWO NARODOWE. KORZYŚCI DLA REGIONU.

F-16 Fighting Falcon oferuje najnowszą, sprawdzoną technologię, która ma za zadanie wzmocnić bezpieczeństwo narodowe Polski i przynieść regionowi bydgoskiemu zaawansowane możliwości oraz nowe perspektywy gospodarcze. Samolot ten odgrywa istotną rolę w modernizacji Wojskowych Zakładów Lotniczych w Bydgoszczy i stanowi podstawę obecnego oraz przyszłego wsparcia polskiej floty F-16.

www.lockheedmartin.com/f16

100 YEARS OF
ACCELERATING
TOMORROW

LOCKHEED MARTIN





JAN SABIŁO

ODEJŚCIE ZE SŁUŻBY WOJSKOWEJ JEST DZIŚ DLA ŻOŁNIERZA PROSTĄ SPRAWĄ.

Wystarczy podjąć decyzję, która jest życiową bądź służbową koniecznością, czasem aktem desperacji, a następnie „rzucić kwitem”. Później następuje wzniosta chwila, czyli ceremonia pożegnania. Dowódca wówczas mówi o zasługach żegnającego się z mundurem żołnierza, o latach poświęcenia i oddania służbie. Ktoś dodaje, że będzie go ogromnie brakowało, pozostanie po nim wyrwa jak po wybuchu ajdika na misji, której był jednym z bohaterów. Wreszcie rozliczenie, trochę formalności, trzeba oddać przepustkę...

Dzień później wyrwa po bohaterze zostaje zasypana, zwolnił miejsce i ktoś inny awansował. Za bramę, którą tyle tysięcy razy przekraczał, nie ma już wejścia. Zresztą po co wracać tam, gdzie toczy się normalne wojskowe życie, a on już do tego świata nie należy?

Co więc robić? Czas zacząć życie w cywilu! Tyle że ów żołnierz służył w zielonym garnizonie, na końcu świata, czyli w miejscu, z którego nie ucieknie, ponieważ ma tu mieszkanie. Z nowym zajęciem kłopot, bo nikt nie ma pracy dla technika pola walki. Zostaje mu Biedronka albo pilnowanie płotu, tylko trochę jednak jakby nie honor... Wśród odchodzących w najtrudniejszej sytuacji, o ironio, znajdują się... wojacy z krwi i kości, żołnierze pola walki.

Po pewnym czasie przychodzi mocno już spóźniona refleksja: Czy jestem przygotowany na to, by zaczynać wszystko od nowa? Jeśli nie, to kto za to odpowiada? Najtrudniej mieć pretensję do samego siebie. Tłumaczy więc sobie, że był pochłonięty służbą i nie miał czasu na inwestowanie w lepszą przyszłość. Zaczyna robić porównania, bo niektórym kolegom jakoś się udało – mieli dobrą specjalność, odpowiednie kursy, skorzystali z rekonwersji albo teść prowadzi firmę... Jakoś prosperują! Inni spotykają się przy piwie, żeby powspominać „dni chwały”.

Przychodzi więc moment zastanowienia nad tym, czy armia powinna zajmować się losem żołnierzy, którzy opuszczają jej szeregi. Jeżeli tak, to czy ten proces nie powinien zaczynać się wcześniej niż teraz? Rekonwersja w ostatniej chwili nie załatwia wszystkiego.

➤ Więcej o tym, co się dzieje z żołnierzem po odejściu z wojska, na stronie 12.



12

JAKIE SPECJALIZACJE ZDOBYTE
W WOJSKU MOŻNA
WYKORZYSTAĆ W CYWILU?

MARIAN KLUCZYŃSKI

armia

PAULINA GLIŃSKA, PIOTR BERNABIUK
12 | Mistrzowie drugiego życia

PAULINA GLIŃSKA, PIOTR BERNABIUK
20 | Łańcuch wsparcia
Starszy chorąży sztabowy Andrzej Wojtusik o bólączkach korpusu podoficerów

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
28 | Nieformalny filar
Jak niektóre jednostki radzą sobie z brakiem pomocników do spraw podoficerów?



28

A. ROIK/COMBAT CAMERA DOSZ

TADEUSZ WRÓBEL
32 | Śmiercionośne pamiątki historii
Saperzy nie mogą narzekać na brak zajęcia w stolicy.

BOGUSŁAW POLITOWSKI
36 | Pod jedną flagą
„Anakonda” jest okazją do przetestowania nowoczesnego sprzętu.

prezentuj
broń

TADEUSZ WRÓBEL
68 | Leopard salonowy
Specjaliści Rheinmetall Landsysteme prezentują swoje pomysły na modernizację Leoparda 2A4.

MICHAŁ NITA
73 | Czołg po trzydziestce
O najchętniej kupowanych pojazdach trzeciej generacji

bezpieczeństwo

JAKUB GAJDA
78 | Urodzeni bojownicy

78
KIEDY
AFGAŃCZYCY
PRZESTANĄ
POTRZEBOWAĆ
WOJSK
KOALICJI?



UN

MAREK SOBCZAK
84 | Wielka trójka Afganistanu
Czy przywódcy najważniejszych ugrupowań partyzanckich zrezygnują po 2014 roku z własnych ambicji na rzecz stabilnego kraju?

EDYTA ŻEMŁA, TADEUSZ WRÓBEL
88 | Przed ostatecznym sprawdzianem
Rozmowa z dowódcą Korpusu Szybkiego Reagowania w Lille o przyszłorocznych ćwiczeniach „Steadfast Jazz”

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
90 | W poszukiwaniu lidera
Dyskusja o koncepcji obrony przeciwrakietowej

wojny
i pokoje

94 | **ANDRZEJ FAJARA**
Cichaczem na Kreml

Profesor Mirosław Nagielski o tym, czy dwuletni pobyt Polaków w Moskwie był wydarzeniem na skalę europejską.



JAKUB NAWROCKI
100 | Kainowe znamię
Niechęć do walki z podziemiem często kończyła się dla żołnierzy i dowódców tragicznie.

PAULINA GLIŃSKA
102 | Ryśka
Wspomnienie o podpułkownik Marii Sobocińskiej

horyzonty

ANNA DĄBROWSKA
106 | Magia równego szyku
Wojskowa musztra paradna krok po kroku

JACEK SZUSTAKOWSKI
110 | Wpuszczeni w kanał
III Bieg Morski Komandosa był znakomitą promocją Formozy.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
115 | Europejska jazda z Pattonami
Największa operacja logistyczna w historii poznańskiego Muzeum Broni Pancernej

ANDRZEJ FAJARA
138 | Sportowa karczma
O tym, jak brawura może zgubić konspiratora.



SEKRETARIAT WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl,
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222;
wko@zbrojni.pl

SEKRETARIAT REDAKCJI
Aneta Wiśniewska (sekretarz redakcji),
tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213
Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl, pz@zbrojni.pl

WSPÓŁPRACOWNICY
Piotr Bernabiuk, Anna Dąbrowska, Andrzej Fajara,
Paulina Glińska, Małgorzata Schwarzgruber,
Maciej Szopa, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Robert Czulda, Artur Goławski, Tomasz Gos, Janusz Grochowski,
Paweł Henski, Dominik Jankowski, Włodzimierz Kaleta,
Włodzimierz Kallicki, Zdzisław Kryger, Michał Lipa, Michał Nita,
Bogusław Polittowski, Jacek Potocki, Waldemar Rezmer,
Marcin Rzepka, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski,
Piotr Wołojko, Krzysztof Wojciewski

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), **Paweł Kepka, Monika Siemaszko**,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

FOTODYTOR
Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Renata Gromska, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Adam Niemczak (kierownik), **Anita Kwaterowska** (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Małgorzata Szustkowska,
tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek (kolportaż), tel.: +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl



Zdjęcie na okładce:
Andrzej Krugler,
Fotolia.com /
© bernanomaglu

Numer zamknięto:
18.10.2012 r.

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

DRUK
ArtDruk, ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka
www.artdruk.com



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400

**Kod dostępu do POLSKI ZBROJNEJ
na portalu: I5um**

W ćwiczeniach taktycznych „SHARP LYNX '12” wzięli udział żołnierze z Polski, Czech, Słowacji i Chorwacji. Był to dla nich ważny sprawdzian, oceniano bowiem zdolność Wielonarodowego Batalionu Policji Wojskowej, w którego skład wchodzi jednostki tych państw, do działania w czasie operacji stabilizacyjnej. Na zdjęciu: żołnierze plutonu Military Police ze Słowacji.





SYLWIA GUZOWSKA
WĘDRZYN



WIĘKSZE
INWESTYCJE
**W OŚRODKI
NAUKOWE**
PRZYCZYNIĄ SIĘ
DO INTENSYWNEGO
ROZWOJU NASZEJ
ARMII

MILIARDY NA OBRONNOŚĆ

W ciągu dwóch lat ministerstwo obrony dostanie 10 miliardów złotych na modernizację armii, a do 2022 roku rząd przeznaczy na ten cel 100 miliardów.

Zapowiedział to premier Donald Tusk w czasie swojego drugiego exposé w sejmie 12 października 2012 roku. Wydatki mają objąć zakupy dla polskiej armii, inwestycje w przemysł obronny i ośrodki naukowe. Jak tłumaczył szef naszego rządu, dzięki produkcji

w Polsce śmigłowców, okrętów, Rosomaków czy przeciwrakietowego systemu obrony powietrznej będą powstawać nowe miejsca pracy. Warunkiem inwestycji w polski przemysł, jak dodał Donald Tusk, jest jednak wysoka jakość sprzętu, jaki będą oferować nasze firmy.

„Bezpieczeństwo Polski możliwe jest też dzięki ścisłej współpracy z sojuszem i Stanami Zjednoczonymi w tworzeniu systemu obrony powietrznej, w tym przeciwrakietowej, a temu towarzyszy realizacja natowskiej idei smart defence”, podkreślił premier. A T D ■

Panu
Tomaszowi
Hypkiemu

prezesowi Agencji Lotniczej Altair
serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

żony Anny

składa Tomasz Siemoniak,
minister obrony narodowej.

Misja po 2014 roku

Ministrowie obrony państw NATO przyjęli mandat nowej misji szkoleniowej w Afganistanie.

Prawdopodobnie rozpocznie się ona po wycofaniu wojsk sojuszniczych z tego kraju, co nastąpi – zgodnie z ustaleniami szczytu w Lizbonie – w 2014 roku. Na spotkaniu ministrów obrony państw NATO w Brukseli politycy przyjęli tylko wstępne wytyczne

dotyczące przyszłej misji. Dokładne koncepcje zostaną opracowane dopiero w 2013 roku. Jak zastrzegł obecny na spotkaniu w Brukseli minister Tomasz Siemoniak, nie jest przesądzone, czy Polska pozostanie w Afganistanie po 2014 roku. A D ■

Mniejsze zaangażowanie

XII zmiana naszych wojsk w Afganistanie jest uboższa o pilotów i techników.

Decyzją szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego zespół lotniczy wystawiany przez 8 Bazę Lotnictwa Transportowego został wycofany z misji. Personel bazy był częścią polskiego kontyngentu od kwietnia 2010 roku. Zmiany wystawiane przez jednostkę liczyły kilkanaście osób i jeden samolot C-295 M, który służył głównie do przewożenia ludzi i towarów między afgańskimi lotniskami. Wycofanie zespołu lotniczego Sił Powietrznych z Afgani-

stanu związane jest z redukcją liczby polskich żołnierzy służących w tej misji. Jak zapewnia pułkownik Robert Stachurski, szef obrony powietrznej Dowództwa Operacyjnego SZ, transport między polskimi bazami nadal będzie się odbywał drogą powietrzną i lądową.

Nieoficjalnie mówi się, że jego organizację w dużym stopniu przejmą statki powietrzne wojsk sojuszniczych i polskie śmigłowce Mi-17. MKS ■

ADAM ROJK/COMBAT CAMERA D.O.S.Z



Coraz mniej

Prezydent Bronisław Komorowski przedłużył pobyt Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie.

Zgodnie z postanowieniem prezydenta XII zmiana PKW będzie w Afganistanie od 14 października 2012 roku do 13 kwietnia 2013 roku. Kontyngent zostanie zmniejszony o 700 osób w stosunku do poprzedniej zmiany (1,8 tysiąca żołnierzy i pracowników wojska). W odwodzie w Polsce pozostanie 200 żołnierzy i pracowników wojska.

Oznacza to początek redukcji polskiego zaangażowania w Afga-

nistanie, uzgodnionej we wrześniu 2011 roku przez prezydenta i rząd.

Od XII zmiany rozpoczyna się dwuletni proces wycofywania Polaków z Afganistanu i stopniowego przekazywania odpowiedzialności za kraj tamtejszym władzom.

Dwie ostatnie zmiany – XIV i XV – mają liczyć po tysiąc osób na misji i dwieście w kraju. Zakończenie misji ISAF przewiduje się w 2014 roku. ATU ■



Wzrok z nieba

Ministerstwo obrony zerwało kontrakt z izraelską firmą Aeronautics Defense System na dostawę samolotów bezzałogowych średniego zasięgu.

Zdaniem resoru obrony firma po raz kolejny nie dotrzymała terminów, mimo ich przesunięcia o dwa lata. Do 11 września 2012 roku Aeronautics miała uruchomić usługę rozpoznania terenu w Afganistanie, ale nie wywiązała się z umowy. Teraz MON wystąpi o zwrot pieniędzy wypłaconych firmie, będzie też egzekwować kary umowne.

Dostawca samolotów bezzałogowych średniego zasięgu został wybrany w lutym 2010 roku w ramach tak zwanej pilnej potrzeby operacyjnej. Wygrał system Aerostar produkowany przez Aeronautics, który pokonał dwa inne izraelskie przedsiębiorstwa – Israel Aerospace Industries i Elbit. Wartość kontraktu opiewała na 88 milionów złotych. Aeronautics miał dostarczyć dwa zestawy po cztery statki powietrzne oraz po dwie naziemne stacje kontroli lotów. System jednak nie spełniał wszystkich stawianych mu przez polską armię wymagań.

Na początku 2011 roku resort obrony jako rozwiązanie tymczasowe wynegocjował, że do Afganistanu firma Aeronautics wypożyczy swoje bezzałogowe samoloty z wynajętą obsługą. Zestaw takich czterech Aerostatów pracował dla Polaków przez rok. Teraz nasi żołnierze w Afganistanie korzystają z bezzałogowych środków rozpoznawczych, które zapewniają im Amerykanie. ANN ■



armia

W twoim
TELEFONIE
KOMPUTERZE
i na tablecie

polska-zbrojna.pl



PIOTR
BERNABIUK

Przerwa taktyczna

OSIĄGANIE REALIZMU
POŁA WALKI
W WARUNKACH
ĆWICZEBNYCH JEST
SZTUKĄ NIEZWYKLE
TRUDNĄ

”

Odkąd pamiętam – a będzie to już szmat czasu – organizatorom wszelkich ćwiczebnych przedsięwzięć wojskowych zawsze bardzo leżało na sercu „realizm pola walki”. Kreatorzy wojennych scenariuszy uciekali się często do niekonwencjonalnych metod i zabiegów.

Oto jedna z odległych w czasie historyjek przytaczanych na takie okazje. Otwieramy na drawskim Jaworzu „psychol”, wyrafinowany jak na tamte czasy i dziś jeszcze dobrze służący zwiadowcom tor przeszkód, z założenia miał u ćwiczących wywoływać przerażenie. Podczas próby generalnej okazało się, że nie wywołuje. Do ciemnego tunelu wrzucono zatem „dojrzałą” padlinę. Reakcja zaskoczonych komandosów usatysfakcjonowała generała, będącego patronem przedsięwzięcia. Patrząc na targanych torsjami żołnierzy, ocenił: „Osiągnęliśmy pełny realizm pola walki!”

Podobnych błazeństw widziałem przez kolejne dziesięciolecia wiele i nie powiem, żeby dziś ich specjalnie brakowało. Z tą różnicą, że współcześni zawodowcy, szczególnie weterani operacji afgańskiej czy irackiej, ze znacznie większym oporem poddają się manipulacji, co znakomicie obrazuje taka oto scenka rodzajowa rozgrywająca się podczas działań na terenie przeciwnika, w oderwaniu od sił własnych.

„Panie poruczniku, jak już musimy się przez całą dobę matolić, to może zrobimy sobie przerwę taktyczną i wejdźmy do wioski. I tak uprawiamy sztukę dla sztuki, bo o tych naszych skrytych działaniach to już pewnie w telewizji było. Kupimy coś do picia, jakieś żarełko i nacieramy dalej”.

Podporucznik, mimo że osiągnął równie wysoki poziom „autentyzmu pola walki” jak jego podwładni z plutonu – od chodzenia bolały go nogi, od ciężaru zasobnika plecy, od niejedzenia był głodny, pragnienie odczuwał ponad wszystko – postanowił za imponować swoim żołnierzom niezłomnością: „Panowie, nasz profesjonalizm powinien się przejawiać w dążeniu do zachowania adekwatnego do warunków bojowych, a nie w rozmędlaniu i chodzeniu na skrót. Przemieszczamy się nadal marszem ubezpieczonym, unikając kontaktów z przeciwnikiem i miejscową ludnością, która może być do nas nastawiona nieufnie. Skupmy się na zachowaniu autentyzmu pola walki”.

„Dowódco”, nie ustępował doświadczony w boju szturman, „właśnie do tego zmierzam. Jeśli od rana mieliśmy wielokrotny kontakt ogniowy... Sorry, to znaczy kontakt wzrokowy z ludnością, łącznie z tym, że dzieciaki nam radośnie machały z gimbusa, to wychodzi z tego piknik country, a nie skryte działania. W sumie wszystko jest tu umowne – izolacja od sił własnych, oddziaływanie przeciwnika, skryte działanie... Nawet rwąca rzeka była po kostki, a przepaść przypominała ruchome schody. Dlaczego więc akurat głód i pragnienie mają być autentyczne?”

Młody oficer pod lawiną argumentów zdał sobie sprawę z tego, że dalsze uprawianie hydropedagogiki (czyli wodolejstwa) nie poprowadzi do celu. Otrzymałszy zapewnienie, że do wszystkich udawanych elementów żołnierze dołączą udawanie pragnienia i głodu, zgodził się na przerwę taktyczną i sam ochoczo wziął w niej udział.

W realiach pola walki zazwyczaj nikt się z nikim na nic nie umawia i wszelkie zdarczenia – zasadzka ogniowa, podłożenie „miny niespodzianki” czy ostrzelanie bazy z moździerzy – są jedynie w niewielkim stopniu przewidywalne. Przeciwnik swoje, my w podziękowaniu swoje i coś nam tam, lepiej czy gorzej, wspólnie wychodzi...

Osiągnięcie realizmu pola walki na ćwiczeniach jest sztuką ogromnie trudną. We wszystkich kwestiach trzeba się umówić, potem włączyć wyobraźnię i konsekwentnie uczestniczyć w grze do końca. Chyba że zarządzona zostanie przerwa taktyczna. ■

”

| UNIWERSALNE SPECJALIZACJE |

MISTRZOWIE DRUGIEGO ŻYCIA

Czy armia powinna się martwić losem odchodzących
z niej żołnierzy?



PAULINA GLIŃSKA
PIOTR BERNABIUK



ŻOŁNIERZE
ROZSĄDNI
PLANUJĄCY
SWOJĄ
KARIERĘ RÓWNIEŻ
O PRACY W CYWILU
MUSZĄ MYŚLEĆ
Z WYPRZEDZENIEM

MARIAN KLUCZYŃSKI



→ MISTRZOWIE DRUGIEGO ŻYCIA

Nikt nie troszczy się o wyeksploatowanych pracowników korporacji czy zwolnionych z posady sklepowych. Czy wobec tego armia powinna się opiekować opuszczającymi jej szeregi żołnierzami? Wszyscy obywatele dostosowują się do koniunktury na rynku pracy, zmieniają nie tylko pracodawcę, lecz także niejednokrotnie specjalizację czy nawet profesję. W przypadku służby wojskowej sprawa wygląda jednak nieco inaczej.

Po pierwsze, żołnierze służą, a nie pracują i stawia się przed nimi bardzo wysokie wymagania. Trudno wyobrazić sobie, by żołnierz z jednostki bojowej – zmechanizowanej, pancernej, aeromobilnej, nie mówiąc o specjalsach – służył na pełnych obrotach do sześćdziesiątki.

Po drugie, różne są powody wcześniejszych odejść ze służby: od klinczów etatowych i wypalenia zawodowego po obrażanie się na armię. Szczególnym przypadkiem są szeregowi, którzy często oddają wojsku najlepsze lata swojego życia, a potem zdzierają się z bezkompromisową cywilną rzeczywistością. Od kilku lat trwa też exodus podoficerski. Szeregi opuszczają także oficerowie różnych specjalności. Jedni i drudzy często są doskonale wykształconymi wybitnej klasy specjalistami.

Z punktu widzenia wojska niektóre odejścia są korzystne, ponieważ wiążą się na przykład z reformami. Często jednak armia ponosi straty. Wyszkolenie pilota myśliwca czy operatora jednostki specjalnej sporo kosztuje. Nie można również lekceważyć nakładów na innych żołnierzy, którzy są wysyłani na szkolenia zagraniczne czy kursy prowadzone w kraju.

UNIWERSALNE UPRAWNIENIA

Generał dywizji Mirosław Różański po trzydziestu latach pracy dowódczej uważa, że służba wojskowa powinna być dla młodych ludzi inwestycją w przyszłość. Obowiązek przygotowania żołnierza do życia w cywilu powinien spoczywać na armii i to od momentu, kiedy do niej wstępuje, a nie przybierać formę pomocy rekonwersyjnej w ostatnim etapie służby. Wystarczyłoby do tego, zdaniem generała, uruchomić prosty system: „Żołnierz jednostki zmechanizowanej w ramach szkolenia oraz udziału w operacjach zagranicznych bierze udział w kontrolowaniu, patrolowaniu, ochronie i wielu innych czynnościach będących znakomitą praktyką do pracy w wysoko wykwalifikowanych służbach ochrony. Wystarczy tylko, żeby poznał obowiązujące przepisy”.

„Armia powinna myśleć nie tylko o swoich sprawach, lecz także dbać o to, żeby efektywnie wykorzystywać pieniądze podatników. W wielu wypadkach wystarczyłyby do tego odpowiednie porozumienia między resortami. Dochodzi bowiem do paradoksów. Wysoko wykwalifikowany żołnierz, a przy tym dowódcą i szkoleniowcem, musi na przykład robić cywilne uprawnienia instruktora strzelectwa”, zauważa generał Różański. „Na sprawę można by spojrzeć również przez pryzmat młodego człowieka, który zostaje szeregowym, czy nawet podoficerem,

na kilkanaście, maksymalnie dwadzieścia parę lat, bo nie musi się w mundurze koniecznie zestarzeć. Wojsko w ramach dodatkowej gratyfikacji mogłoby wyposażyć go na przyszłość w jedną czy dwie przydatne w cywilu profesje, pozwalające zaprogramować dalsze życie”.

Teoretycznie nie wydaje się to trudne. Żołnierze po latach szkolenia stają się mistrzami w strzelaniu, walce wręcz, nurkowaniu, skokach spadochronowych czy wspinaczce. Takie umiejętności warto byłoby wykorzystać w cywilu i ci fachowcy mogliby być znakomitymi pracownikami, a nawet nauczycielami. Tym bardziej że pomysł, by wojskowe uprawnienia były uznawane również w cywilu, wydaje się prosty do zrealizowania. W niektórych dziedzinach co prawda udało się to już osiągnąć, ale w większości wypadków brakuje systemowych rozwiązań.

KWESTIA DOBREJ WOLI

Często nie wymaga to skomplikowanych działań. Wystarczy tylko dobra wola. Świetnym przykładem jest Wojskowe Centrum Szkolenia Medycznego w Łodzi, gdzie od stycznia 2012 roku wojskowi ratownicy dostają certyfikaty honorowane również poza bramą koszar. Wystarczyło zatrudnić lekarza specjalistę mającego odpowiednie uprawnienia. Bywa też odwrotnie. Pewien podoficer łącznościowiec, zamierzający wkrótce opuścić wojsko, zwraca uwagę na zmiany, jakie zaszły w jego branży:

„Ze starej szkoły chorążych wyszedłem z dyplomem technika telekomunikacji. Dziś, dzięki tym papierom, mam dodatkowy atut na rynku pracy. Obecnie absolwent szkoły podoficerskiej, specjalista łącznościowiec, nie zyskuje żadnych uprawnień, które przydałyby mu się w cywilu”.

Potwierdza to kapitan Krzysztof Baran, oficer prasowy zegrzyńskiego centrum:

„Kursy i szkolenia prowadzone przez Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu nie są uznawane w środowisku cywilnym. Przydają się jedynie umiejętności, jakie nabywają żołnierze. Szkolimy kadry łączności na potrzeby Sił Zbrojnych RP”.

Inaczej jest we wrocławskim Centrum Szkolenia Wojsk Inżynierskich i Chemicznych, które nadaje żołnierzom uprawnienia przydatne później w budownictwie czy drogownictwie. Oficer prasowy ośrodka, kapitan Ewa Nowicka-Szlufik, potwierdza te informacje: „Centrum ma upoważnienie do prowadzenia szkoleń, dzięki którym można zdobyć uprawnienia operatorów maszyn roboczych, nadane przez Centrum Koordynacji Szkolenia Operatorów Maszyn Instytutu Mechanizacji Budownictwa i Górnictwa Skalnego”. Wlicza też, w jakich specjalnościach, spośród pół setki prowadzonych szkoleń i kursów, absolwenci, po egzaminie państwowym, otrzymują dokumenty ważne na cywilnym rynku pracy: obsługa koparek jednonaczyniowych, ładowarek jednonaczyniowych, koparkoładowarek, spycharek, równiarek, elektrowni polowych, sprzężarek przewoźnych, narzędzi udarowych ręcznych. Ponadto w cywilu przydają się upraw-

ŻOŁNIERZ PO LATACH SZKOLENIA STAJE SIĘ MISTRZEM W STRZELANIU, WALCE WRĘCZ, NURKOWANIU, SKOKACH SPADOCHRONOWYCH CZY WSPINACZCE



BOGUSŁAW POLITOWSKI

W 2000 ROKU GŁOŚNA BYŁA SPRAWA ABSOLWENTÓW WARSZAWSKIEJ WOJSKOWEJ AKADEMII TECHNICZNEJ.

Uczelnię kształcąca specjalistów na potrzeby sił zbrojnych w ciągu trzech lat opuściła niemal połowa absolwentów wydziału cybernetyki. Ostatnio nie było tak spektakularnych odejść, niemniej dla informatyków cywilny rynek pracy jest kuszący ze względu na duże zapotrzebowanie i nieporównywalnie większe pieniądze niż w wojsku. Żołnierz informatyk pisze bez ogródek: „Już na wstępie zarobki są wyższe. Jeśli zatrudnię się w firmie cywilnej, mam gwarancję pracy nad interesującymi projektami. Mogę też sam stanowić o swojej karierze”.

nienia zdobyte na kursie specjalistów wojskowego ratownictwa chemicznego.

ŚWIADECTWO KWALIFIKACJI

Młodych ludzi marzących o przygodach do wojska przyciągają nurkowanie, skoki spadochronowe czy wspinaczka w górach i na obiektach zurbanizowanych. W tym wypadku jednak kwestia uniwersalnych uprawnień nie została rozwiązana.

Podpułkownik Andrzej Demkowicz z wrocławskiej Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych, który przez lata wyszkolił około 200 podchorążych z uprawnieniami instruktorów wspinaczki skałkowej, potwierdza, że osoby chcące umiejętności zdobyte w wojsku wykorzystać cywilu muszą mieć wysokie kwalifikacje i dużą wysługę lat. Na rynku pracy jest spora konkurencja i przebijają się najlepsi. Muszą też zrobić uprawnienia instruktora sportu lub rekreacji ruchowej różnych specjalności, które sporo kosztują – od jednego do trzech tysięcy złotych. Do kilkunastu tysięcy trzeba też wydać na sprzęt.

Żadnych uprawnień nie zdobędzie żołnierz spadochroniarz wykonujący zaledwie kilka skoków rocznie. Bez odpowiednich certyfikatów instruktorzy uczący desantowania również nie będą mogli prowadzić zajęć ze skoków sportowych czy rekreacyjnych. Z tego powodu wielu z nich nie ogranicza się do szkolenia służbowego, lecz uprawia spadochroniarstwo w aeroklubach lub strefach zrzutów.

Od lat cenionymi instruktorami w cywilu byli żołnierze z Jednostki Wojskowej GROM, tacy jak dzisiejsi już oficerowie rezerwy porucznik Grzegorz Jankiewicz „Janki” oraz podpułkownik Jarosław Garstka „Siwy”. Ten drugi wyjaśnia, jak działają mechanizmy zdobywania kwalifikacji: „Żołnierz, który ma tylko doświadczenie wojskowe na poziomie desantowym, aby skaść rekreacyjnie, niezależnie od liczby skoków, które ma na swoim koncie, będzie potrzebował opieki instruktora cywilnego aż do momentu zdania egzaminu na świadectwo kwalifikacji. Bardziej doświadczeni skoczkowie, w tym także instruktorzy, również muszą zacząć od zdobycia świadectwa”.



NIE WSZYSCY ŻOŁNIERZE UWAŻAJĄ SWOJE KWALIFIKACJE ZA PRZYDATNE W CYWILU

Świadczą o tym wyniki badań ankietowych prowadzonych przez przedstawicieli rekonwersji kadr i Wojskowe Biuro Badań Społecznych w 2011 roku. Wynika z nich, że aż 94 procent żołnierzy chciało skorzystać z przekwalifikowania zawodowego.

Dwa lata przed planowanym zdjęciem munduru, mogą się ubiegać o przyznanie środków na przekwalifikowanie lub podwyższenie swoich kwalifikacji zawodowych. Jeśli to nie wystarczy, z pomocy mogą skorzystać również przez dwa lata po przejściu do rezerwy.

Warunkiem otrzymania wsparcia są co najmniej cztery lata służby. Stawka wraz z wysługą rośnie – po czterech latach wynosi 1875 złotych, po 12 latach – 3750, a po 15 aż 5625. Kwoty wynikają z limitu, wynoszącego 75 procent najniższego uposażenia zasadniczego żołnierza zawodowego, obowiązującego od 1 stycznia roku kalendarzowego, w którym zainteresowany wystąpił z wnioskiem o udzielenie pomocy.

Ponadto pół roku przed zakończeniem służby żołnierz także może ubiegać się o odbycie sześciomiesięcznej praktyki w firmie, w której w przyszłości chce podjąć pracę. Z tej furtki, za zgodą swojego dowódcy i dyrektora Departamentu Spraw Socjalnych MON, mogą skorzystać jedynie żołnierze, którzy przesłużyli w armii co najmniej dziewięć lat.

Do cywilnych uprawnień instruktorskich droga z wojska jest więc daleka. Żeby zdobyć każdą specjalizację, trzeba zaliczyć kurs, zdać egzamin i odbyć trwającą do dwóch lat praktykę. Jeżeli więc żołnierz nie rozpocznie starań o uzyskanie cywilnych uprawnień jeszcze w czasie służby, to na pracę w tym fachu może czekać od dwóch do trzech lat.

DŁUGO I MOZOLNIE

Jeśli chodzi o nurkowanie, należy oddzielić kwestie zawodowe od rekreacji i sportu. Nurek wojskowy od kilku lat bez trudności i wielkich formalnych zabiegów może wykorzystać swe uprawnienia zawodowe w cywilu. Żaden zawodowiec nie może jednak szkolić amatorów w ramach sportu czy rekreacji, gdyż tą dziedziną zajmuje się kilka międzynarodowych federacji. W Polsce, przykładowo, po kilku latach rywalizacji ze starym systemem CMAS dominować na rynku zaczęło nowoczesne PADI.

Chorążym rezerwy Dariusz Drozdek w wojsku był dowódcą grupy specjalnej. Żeby skorzystać w cywilu z uprawnień do nurkowania, przeszedł trudną i mozolną drogę: „Stopień instruktora zdobyłem jeszcze w wojsku i dopiero wtedy postanowiłem odejść. Dzięki rekonwersji mogłem osiągać kolejne kwalifikacje w systemie PADI”.

Dziś prowadzi szkołę nurkowania DARCO. Działa w rejonie Żagania, Żar i Świątoszowa, gdzie szkoli również wojskowych, często z całymi rodzinami, oraz chętnych do wstąpienia do armii. Prowadzi też szkolenia w egzotycznych akwenach. Ponadto przejął biuro podróży Wilson Travel. Jest też agentem czołowych biur turystycznych. Odnosił sukces, więc może udzielać rad kolegom z wojska: „Przed wszystkim już wcześniej należy obmyślić plan na pracę po wojsku. Warto też utrzymywać kon-

takty z kolegami, którzy odeszli do cywila i wzajemnie sobie pomagać”.

KOLEDZY Z WOJSKA

Doświadczenie zdobyte podczas służby wojskowej z powodzeniem wykorzystał Jarosław Andrzejczak, dziś właściciel firmy inżynieryjno-saperskiej Rad-Min. Wcześniej przez 17 lat dowodził wojskowym patroliem oczyszczania terenu z przedmiotów wybuchowych. Pracował również przez ponad osiem lat jako instruktor nurkowania w Ośrodku Szkolenia Nurków i Płetwonurków WP w Gdyni. Ma mistrzowską klasę specjalisty wojskowego w dwóch specjalnościach: nurek i saper. Odszedł, ponieważ chciał się sprawdzić na rynku cywilnym.

„Bardzo przydały mi się kwalifikacje uzyskane w wojsku i na początku były wystarczające”, twierdzi Jarosław Andrzejczak. „Później, po zmianie przepisów, zdobyłem cywilne uprawnienia pozwalające na sprawdzanie i oczyszczanie terenu z przedmiotów wybuchowych, sprawowanie nadzoru saperskiego i prowadzenie saperskich prac podwodnych. Dziś zatrudniam w większości byłych żołnierzy mających doświadczenie związane z rozminowaniem terenów wojennych, między innymi w Bośni, Chorwacji, Syrii, Libanie, Kambodży, Afganistanie, Iraku i Kongu”.

JAK TO ROBI GROM?

Powszechnie sądzi się, że na rynku pracy szczególnie poszukiwanymi pracownikami są żołnierze jednostek specjalnych. Major Renata Zych, oficer prasowy jednostki GROM, potwierdza taką opinię:

„Po kilkunastu latach służby są wszechstronnie wyszkoleni, doświadczeni, dojrzały emocjonalnie, ale także otwarci, ela-



Teoretycznie pilot wojskowy nie powinien mieć problemów ze znalezieniem pracy po zdjęciu munduru.

BARTOSZ BERA

OD 2009 ROKU TRWAJĄ PRACE NAD UJEDNOLICENIEM PRZEPISÓW, STANDARDÓW ORAZ PROCEDUR LOTNICZYCH WOJSKOWYCH I CYWILNYCH

styczni, łatwo przystosowują się do nowych zadań. A to w cywilu niezwykle ważne cechy, doceniane przez pracodawców. Byli gromowcy zwykle nie mają więc problemu ze znalezieniem pracy. Kiedy decydują się na odejście ze służby, najczęściej realizują swoje plany. Pracę znajdują nie tylko w sektorze bezpieczeństwa, lecz także w biznesie, edukacji, działalności konsultingowej, działają też w stowarzyszeniach i fundacjach. Kiedy zakładają własne firmy, często ze sobą współpracują. Specyficzna więc wytworzona w czasie służby przenosi się na grunt prywatny i cywilne życie zawodowe”.

Podpułkownik rezerwy Andrzej Kruczyński, szef Centrum Szkoleń AT, nie do końca zgadza się z tak optymistyczną opinią. Z własnych doświadczeń wie, że nawet gromowcom na rynku pracy nie jest łatwo:

„Brakuje systemowych rozwiązań. Nie bardzo wiadomo, co z byłymi specjalsami zrobić. Nikt się o nich nie zabija. Jeśli już ktoś dostaje ofertę pracy, to proponowane wynagrodzenie nie zawsze jest do przyjęcia. Niektórym udaje się znaleźć coś ciekawego, zazwyczaj związanego z tym, czym zajmowali się w jednostce. Zakładają własne firmy, z lepszym lub gorszym skutkiem zajmują się szkoleniem związanym z zapewnieniem bezpieczeństwa instytucjom lub osobom prywatnym”.

Kruczyński kilka lat walczył o swoje miejsce na rynku: „Początki były trudne. Po latach ciężkiej pracy, współdziałania z wojskiem przy takich przedsięwzięciach, jak kursy Patrol czy SERE, znaleźliśmy się w czołówce. Mamy ukształtowaną pozycję w armii. Prowadzimy też szkolenia antynapadowe dla placówek bankowych, dla świata biznesu. Stworzyliśmy program OKB [obiektywny koordynator bezpieczeństwa] dla placówek oświatowych. Oferujemy coś, czego nie proponują inne firmy”.



Również Jarosław Garstka uważa, że żołnierze sił specjalnych wcale nie mają łatwo. „Na przeszkodzie do cywilnej kariery stoją wąska specjalizacja oraz brak świadomości własnych umiejętności. W efekcie na odnalezienie się w nowej rzeczywistości potrzebują dużo czasu, a gdy już to im się uda, zawsze znajdują uznanie. Od kilku lat specjaliści już wcześniej zaczynają przygotowania do odejścia, mają pomysły na własną działalność lub miejsce zatrudnienia. Na tegorocznych targach MSPO w Kielcach na stoiskach firm wystawiających można było spotkać ponad dwudziestu byłych żołnierzy GROM-u, wysokiej klasy specjalistów”.

PODNIĘBNA RULETKA

A jak to wygląda w lotnictwie? Teoretycznie pilot wojskowy nie powinien mieć problemów ze znalezieniem pracy po zdjęciu munduru. Musi jednak zadbać o swoją przyszłość i uzyskać uprawnienia pilota zawodowego. Wojsko może jedynie zrefundować kurs teoretyczny, resztę należy zrobić indywidualnie, za własne pieniądze. Koszty są wysokie, drogie jest także utrzymanie licencji, w tym okresowe ćwiczenia na symulatorze, na które trzeba wydawać dwa, trzy tysiące euro co pół roku.

Przyszłość tej grupy zawodowej rysuje się jednak optymistycznie. Już bowiem od 2009 roku trwają prace nad ujednoliceniem przepisów, standardów i procedur lotniczych wojskowych i cywilnych. Planowane rozwiązania mają umożliwić między innymi łatwiejsze i mniej kosztowne przejścia pilotów wojskowych do lotnictwa cywilnego.

Zdaniem podpułkownika Artura Goławskiego, rzecznika prasowego Dowództwa Sił Powietrznych, wymagania i przepisy lotnicze należy integrować, ale z uwzględnieniem specyfiki wojskowego latania: „Ze względów bezpieczeństwa, ponieważ korzystamy z jednej, wspólnej przestrzeni powietrznej. W wojsku musimy latać tak samo jak cywile, tylko na dodatek taktycznie i w warunkach, w których oni już z założenia nie będą tego robić. Dotyczy to zwłaszcza lotnictwa transportowego, które nam się gigantycznie rozrosło. Teraz już absolwenci Wyższej Szkoły Oficerskiej SP będą zdobywali uprawnienia cywilne. Trzeba będzie je jedynie podtrzymywać”.

Wielu byłych wojskowych lata w Lotniczym Pogotowiu Ratunkowym, pracuje w Locie i SprintAirze. W firmie Aeroteka, działającej od 2004 roku na rzecz promocji lotnictwa ultralekkiego, pracuje kilku byłych pilotów wojskowych. Wiesław Antolak „Baca”, były oblatywacz samolotów naddźwiękowych, odpowiada tam za szkolenie, karierę wojskową mają za sobą również Wiesław Rusinowicz i Zbigniew Mrozek.

W oferującej usługi lotnicze firmie SprintAir Aviation School szefem profesjonalnego Ośrodka FTO (Flight Training Organisation) jest Władysław Kopeć – były pilot wojskowy klasy mistrzowskiej. Doświadczenie wojskowe wykorzystuje w cywilu także Dariusz Szulc, który w firmie kieruje pracą pilotów. Jako żołnierz zdobywał doświadczenie w lotnictwie transportowym oraz jako instruktor na samolotach An-2 i An-26. Podczas służby osiągnął nalot 3,2 tysiąca godzin.

ATRAKCYJNA SŁUŻBA

Zaproponowane przez resort obrony narodowej zmiany w ustawie pragmatycznej mają ograniczyć liczbę odejść żołnierzy ze służby.

W 2011 roku wojsko opuściło blisko 7,5 tysiąca żołnierzy. Minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak powołał zespół z generałem broni w rezerwie Waldemarem Skrzypczakiem na czele. Doradca ministra miał przygotować diagnozę sytuacji i zaproponować rozwiązania hamujące falę odejść. Pierwszym krokiem była lipcowa podwyżka uposażeń. Wszyscy żołnierze otrzymali po 300 złotych.

Kierownictwo resortu przygotowało też inne propozycje, które mają poprawić atrakcyjność służby. Jedną z ważniejszych zmian ma być zaszerogowanie stanowisk oficerów młodszych i szeregowych do dwóch stopni wojskowych, a podoficerów do trzech stopni. W efekcie ma to zlikwidować tożsamość posiadanego stopnia wojskowego z zaszerogowaniem stanowiska i umożli-

wić awans na stanowisku przypisanym do danej grupy, bez konieczności jego zmiany.

Z myślą o specjalistach wojskowych – podoficerach ma być zniesiona kadencyjność na stanowiskach. Oficerowie zyskają szansę wielokrotnego powtarzania kadencji.

Kolejna propozycja resortu zakłada, by w razie likwidacji lub etatowej reorganizacji jednostki, lub likwidacji stanowiska żołnierza przy jednoczesnym braku nowego, dopuszczalne było wyznaczenie go, za jego zgodą, na niższe stanowisko.

Przewidziane jest też zniesienie dwóch obligatoryjnych przyczyn zwolnienia żołnierza ze służby zawodowej. Gdy nie zda w dwóch kolejnych latach egzaminu ze sprawności fizycznej lub do niego nie przystąpi, nie będzie zwal-

niany ze służby. Skutkiem „słabej kondycji” żołnierza będzie jednak obniżenie ogólnej oceny z opiniowania do oceny dostatecznej. Nie będą zwalniani również ci, którzy w terminie nie złożą oświadczenia majątkowego.

Projekt ustawy przewiduje także: zmiany w opiniowaniu służbowym, uzależnienie podpisania kolejnego kontraktu oraz przejścia do służby stałej od posiadania co najmniej dobrej oceny w ostatniej opinii służbowej, objęcie żołnierzy zawodowych urlopem ojcowskim oraz rozszerzenie katalogu osób uprawnionych do korzystania z urlopu szkoleniowego. Warunkami otrzymania dodatku motywacyjnego dla podoficerów i szeregowych zawodowych będą ocena co najmniej dobra w opinii służbowej ogólnej oraz posiadanie odpowiedniej klasy kwalifikacyjnej. PG ■

Po zdjęciu mundurów odnajdują się także mechanicy lotnicy, którzy nadal pracują w swoich jednostkach lub w spółkach cywilnych.

MYŚLEĆ ZAWCZASU

Skoro nawet specjaliści mają trudności ze znalezieniem pracy po odejściu z wojska, to jak radzą sobie inni żołnierze? Według chorążego Mariusza N. należy obalić mit, że wojskowy jest na rynku poszukiwanym pracownikiem. On po dwudziestu latach służby odchodzi z armii, ponieważ czuje się niespełniony, ale wcześniej przygotował sobie zaplecze: „Wiedziałem, że nie można odchodzić w ciemno, ponieważ łatwo wówczas o frustrację. Znam liczne przypadki, kiedy żołnierz działał pod wpływem impulsu, bez rozeznania rynku pracy w swoim rejonie”.

Jeśli ktoś, jego zdaniem, decyduje się na służbę, ale nie zamierza się w wojsku zestarzeć, powinien zawczasu zainwestować w zdobycie atrakcyjnego zawodu, w naukę, w kursy specjalistyczne mające wartość nie tylko w armii: „Dziwię się, że wielu kolegów, którzy kończą studia, wybiera łatwe, ale niezbyt atrakcyjne zawodowo kierunki. Nie myślą o tym, co im licencjat czy magisterka dadzą w przyszłości”.

Sierżant Piotr P. za najgorszą rzecz uważa wiarę w mity: „Panuje taki stereotyp, że wojskowi będą dobrymi pracownikami, ponieważ są zdyscyplinowani. Uważa się, że potrafią kierować ludźmi nawet w krytycznych sytuacjach. Pamiętam, jak w czasie szkolenia na amerykańskim poligonie w niemieckim Hohenfels na początku nie mogliśmy dogadać się z natowskimi partnerami. Byliśmy gotowi na wykonanie każdego zadania i czekaliśmy na instrukcje, a tam oczekiwano od nas kreatywności, przeprowadzenia analizy stawianych zadań i wyciągania z nich wniosków. Nie uważam zatem, żeby żołnierz, nawet ze średniego stanowiska dowódczego, był atrakcyjny na rynku pracy i sprawdził się w nowoczesnej firmie jako menedżer”.

Jego kolega dopowiada: „W ostatnim czasie odeszło od nas sporo podoficerów. Jedni utrzymują z nami koleżeńskie czy sąsiedzkie kontakty, inni przepadli jak kamień w wodę. Formalnie nikogo ich losy nie obchodzą. W końcu są to dorośli ludzie. W naszej okolicy nie ma dobrej pracy ani dla byłych żołnierzy, ani dla ich żon czy dla dorastających dzieci. Jedynym przyciągającym pracodawcą jest bowiem wojsko, a potem to już niestety tylko Biedronka albo pilnowanie płotu jednostki. Parę osób wkręciło się do miejscowej administracji lub znalazło miejsce w zarządzaniu kryzysowym... A reszta?”.

Żołnierze rozsądnie planujący swoją karierę również o pracy w cywilu muszą myśleć z wyprzedzeniem. Powinni inwestować w naukę i różnego rodzaju szkolenia, które im się przydadzą w przyszłości. Armia natomiast powinna im w tym pomagać systemowo, wspierając pęd do nauki i podnoszenia kwalifikacji. Należałoby też rozwiązać problem z uwzględnianiem uprawnień wojskowych w cywilu. Koło ratunkowe, jakim jest rekonwersja, to zdecydowanie za mało.

Poza tym, na co zwraca uwagę major Renata Zych, korzystne, również dla wojska, byłoby systemowe wykorzystanie potencjału emerytów: „Warto, na wzór zachodnich armii, rozważyć powstanie systemu zatrudnienia byłych żołnierzy, zwłaszcza jednostek specjalnych, jako instruktorów kontraktowych. Dzieląc się swoim bogatym doświadczeniem i dorobkiem zawodowym, mogliby wiele wnieść do szkolenia sił zbrojnych”.



proj.graf.: Urszula Kubicz-Fik, WCEO

Więcej informacji na temat obchodów
Narodowego Święta Niepodległości:
www.wojsko-polskie.pl



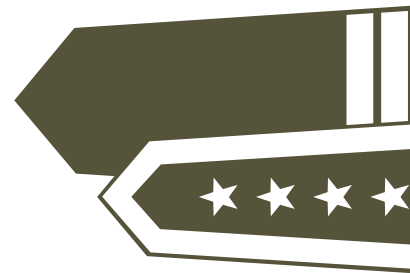
Polska Zbrojna

armia

SPOTKANIA



ŁAŃCUCHE WSPARCIA



Ze starszym chorążym sztabowym **Andrzejem Wojtusikiem** o żmudnym procesie budowy nowoczesnego korpusu podoficerów rozmawiają Paulina Glińska i starszy chorąży sztabowy rezerwy Piotr Bernabiuk

W 2004 roku w Wojskach Lądowych na różnych szczeblach dowodzenia powstały stanowiska pomocników dowódców do spraw podoficerów. Wiele się od tamtej pory wydarzyło, jednak wciąż jeszcze tworzony jest nowoczesny korpus podoficerski.

To nie było tak, że wydano rozkaz i sprawa została załatwiona. Formalne wprowadzenie funkcji pomocnika zainicjowało proces przemian, bardzo trudnych i długotrwałych, bo przede wszystkim mentalnych.

Człowiekiem, który dostrzegł wówczas potrzebę wyznaczenia kapralom i sierżantom nowej roli, był dowódca Wojsk Lądowych generał broni Edward Pietrzyk.

Generał Edward Pietrzyk z pewnością przejdzie do historii jako ojciec projektu. Musimy jednak pamiętać też o zasługach →

EWA KORSAK

innych osób: następców generała Pietrzyka – Waldemara Skrzypczaka czy Tadeusza Buka – wielu dowódców niższych szczebli, którzy zdecydowali się utworzyć nowoczesne narzędzie szkolenia i dowodzenia, a następnie z niego korzystać; amerykańskich sojuszników, sierżantów majorów, którzy udzieliли nam wsparcia i do dziś pozostają naszymi przewodnikami po meandrach reformy, oraz naszych podoficerów Wojsk Lądowych, niewielkiej wówczas grupy gotowej podjąć wyzwanie.

Byliście na to gotowi?

Posłużyć się przykładem mojej 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancerniej, gdzie wówczas aż kipiało od pomysłów. Dyskutowaliśmy o tym, że podoficer na każdym szczeblu powinien się rozwijać, pełnić rolę szkoleniowca, a zarazem mentora dla mniej doświadczonych kolegów, stanowić wsparcie dla dowódcy.

Dużo było takich entuzjastów?

Nieliczne grono liderów, chorążowie Mariusz Skroński, Zbyszek Barski, Artur Fronczyk, Janek Sabiło, Jarek Kołacz...

Czy również chorąży Wojtusik?

Jako mąż zaufania podoficerów przy samym sztabie dywizji siłą rzeczy miałem dostęp do ważnych informacji dotyczących korpusu podoficerskiego. Dużo widziałem, słyszałem i mogłem w tym zespole do czegoś się przydać. Wciągnęli mnie więc do swego grona.

Cóż się wówczas zrodziło w podoficerskich głowach?

Widzieliśmy potrzebę ożywienia środowiska. Nie chcieliśmy, aby kapral czy sierżant biernie czekali na rozkazy, tylko żeby wychodzili z inicjatywą oraz prowadzili żołnierzy za sobą zarówno w czasie szkolenia, jak i na wojnie. Temu miał służyć podoficerski kurs przywództwa. Chcieliśmy też utworzyć podoficerski łańcuch wsparcia dowodzenia na wzór amerykański, ale dostosowany do polskich realiów. Jest on dziś najważniejszym narzędziem pracy każdego pomocnika. Powstał co prawda nieformalnie, ale z aprobatą, a nawet sportem dopingiem przełożonych.

Przecież podoficerski kurs przywództwa Lider wystartował dopiero w 2008 roku.

Na pomysł takiego kursu wpadliśmy wspólnie w gronie podoficerskim już w 2004 roku, a mnie później przypadła rola głównego autora projektu oraz jego wykonawcy.

Dlaczego właśnie chorąży Andrzej Wojtusik?

Ukończyłem pedagogikę w Wyższej Szkole Pedagogicznej Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Warszawie. Później napisałem pracę na temat przywództwa w wojsku kończącą studia podyplomowe na Akademii Obrony Narodowej.

Lider to dziś jeden z najtrudniejszych kursów w siłach zbrojnych.

Nie wymagamy niczego ponad abecadło żołnierskie i dowódcze. Uczyliśmy żołnierzy mnóstwa rzeczy, między innymi tego, że dowódca ma odpowiednie symbole na naramiennikach, a przywódca – autorytet. Kończyliśmy za każdym razem ciężkimi dobowymi ćwiczeniami, których uczestnicy

UCZYLIŚMY ŻOŁNIERZY TEGO, ŻE

DOWÓDCA MA ODPOWIEDNIE SYMBOLE

NA MUNDURZE, A PRZYWÓDCA – AUTORYTET

byli oceniani głównie jako dowódcy i liderzy. Niestety, w tej prostocie wojaczki ludzie najczęściej się gubią.

Ilu podoficerów ukończyło Lidera?

W tym kursie uczestniczyło około pół tysiąca podoficerów, do mety dotarło ich mniej niż połowa. Wyszkoiliłem też dwudziestu znakomych instruktorów, a zarazem przywódców, głównie z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej z Międzyrzecza, 25 Brygady Kawalerii Powietrznej z Tomaszowa Mazowieckiego, 5 Pułku Artylerii z Sulechowa i 6 Brygady Powietrznodesantowej. Możemy zatem dziś prowadzić kilka szkoleń jednocześnie.

Jaki zatem dziś powinien być podoficer?

W tej kwestii kieruję się taką dewizą: „Gdy ćwiczymy, jest naszym mistrzem, przy biesiadzie – ojcem, w szeregu – bratem, a w boju – bogiem”.

Zainteresowaliście szkoleniem Akademię Obrony Narodowej. Jest szansa, by to podoficerskie dzieło wprowadzono na poziom najwyższej wojskowej uczelni?

Gdy została podważona wiarygodność kursu i jego autentyczność, zaprosiłem do udziału w szkoleniu przedstawicieli Akademii Obrony Narodowej. Obserwowali nasze zajęcia i wydali pozytywną opinię. Dlatego właśnie, chociażby z powodu ich rekomendacji, Lider powinien zagościć w szkole podoficerskiej i na wojskowych uczelniach.

Jak działa podoficerski łańcuch wsparcia dowodzenia?

Jest to system komunikacji pozwalający w bardzo krótkim czasie z pierwszej ręki zdobyć kompletną wiedzę o żołnierzu,

bez zniekształceń lub pomijania faktów, do czego dochodzi zazwyczaj na szczeblach pośrednich. Dzięki łańcuchowi wsparcia mam bezpośredni wpływ na proces szkolenia, na zaangażowanie i zmotywowanie wszystkich podoficerów i szeregowców.

I to działa w praktyce?

Tak, działa również w strukturach sojusznicznych. Uczestniczę w konferencjach, podczas których podoficerowie z całej Europy wymieniają się informacjami, doświadczeniami, rozmawiają o ciekawych inicjatywach.

Gdzie jest zatem miejsce pomocnika dowódcy do spraw podoficerów?

Po prawicy swego dowódcy. Przecież jest jego prawą ręką w kwestii podoficerów.

Czy to nie trąci megalomanią?

A gdzie powinno być miejsce żołnierza odpowiadającego, tak jak ja, za sprawy ponad czterdziestu tysięcy podoficerów i szeregowych?

A za co dokładnie odpowiada?

Za wszystko, co dotyczy szeregowych i podoficerów, za ich wyszkolenie, dyscyplinę, ścieżkę rozwoju, postawę, moralność... Gdy dowódca wysłał żołnierzy do Afganistanu, pomocnik powinien wiedzieć, czy są dobrze przygotowani. Powinien zatem mieć wpływ na przebieg ich kariery, typować osoby na szkolenia, opiniować przed awansem, rekomendować na stanowiska. Jego misją jest wsparcie dowódcy we wszystkich sprawach dotyczących żołnierzy korpusu.

A jak pomocnik powinien być przygotowany do tej roli?

Jeśli mówimy o ideale, konieczne są różnorodne doświadczenia zdobyte przez lata służby wojskowej. Pomocnik powinien też czerpać wiedzę z doświadczenia podoficerów oraz szeregowych w swojej jednostce. Musi znać i rozumieć cele oraz zamiary swego dowódcy, gdyż jego zadaniem jest przełożenie tych zamiarów na prosty język, zrozumiały dla każdego.

Mieliście pomysł utworzenia akademii kształcącej podoficerów na poziomie pozwalającym poznać pewne zjawiska dostępne jedynie oficerom.

W Stanach organizuje się dla podoficerów kursy sztabowo-operacyjne (Battle Staff Course). Uczą się na nich podejmowania decyzji operacyjnych po to, by zrozumieć działania przełożonych, których są sierżantami majorami. To ułatwia partnerstwo. I stąd wziął się pomysł, na razie jeszcze trochę na wyrost, utworzenia wydziału podoficerskiego przy Akademii Obrony Narodowej.

W Poznaniu w 2010 roku odbył się kurs podoficerów starszych wspierany przez Amerykanów.

Był odpowiednikiem kursu dla sierżantów majorów w akademii amerykańskiej. Korzystaliśmy z materiałów partnerów i swoich. Szkoliliśmy kandydatów na stanowiska pomocników i ludzi, którzy już te stanowiska zajmowali. Amerykanie obserwowali nasze poczynania i uznali, że możemy organizować takie kursy sami.

Tyle że w tym łańcuchu wsparcia chyba brakuje paru ogniw.

Jako pomocnik dowódcy Wojsk Lądowych mam swoich ludzi na szczeblu dywizji, potem brygady i batalionu, jeśli jest samodzielny. Brakuje ogniwa na szczeblu batalionu w brygadzie.

A na szczeblu kompanii?

Na szczeblu pododdziału taką rolę powinien pełnić szef kompanii, ale nie logistyk, taki „starszy kapturowy”, jak mawiał generał Tadeusz Buk, lecz najstarszy służbą i godnością podoficer, który zna się na wszystkim, co dotyczy szkolenia i przygotowania bojowego pododdziału. Powinien być partnerem swego dowódcy i odciążać go od spraw, którymi nowoczesny oficer nie powinien się zajmować. W niektórych jednostkach ta idea nabiera realnych kształtów.

A czym nie powinien zajmować się oficer?

Mówiąc trywialnie, z pewnością nie jest od tego, żeby użerać się z żołnierzami.

Dla oficera, w tym wypadku kapitana, stanowisko dowódcy kompanii jest etapem w drodze rozwoju. Obejmuje je na kilka lat, żeby zdobyć praktykę w dowodzeniu taką formacją i przygotowuje się do kolejnego etapu, gdzie w dalszej perspektywie ma wężyki generalskie.

Czy jednak oficerowie, szczególnie młode wilki nastawione na dynamiczne szkolenie, nie czują się taką wizją urażeni? Nie jest to próba wylimitowania ich z gry?

Wręcz przeciwnie. Jesteśmy filarem wspierającym ich działania w praktyce, narzędziem, które im jest lepsze, tym więcej można dzięki niemu zyskać. Przecież nie jest rolą oficerów



WIZYTÓWKA



STARSZY CHORAŻY SZTABOWY ANDRZEJ WOJTUSIK

Pomocnik dowódcy Wojsk Lądowych do spraw podoficerów. Wywodzi się z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancerniej. Był między innymi komendantem Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Zegrzu. Jako autor i realizator 35. edycji podoficerskiego kursu Lider pracował około 1,5 tysiąca godzin i przemaszlował 1,4 tysiąca kilometrów, zdobywając przy tym rozległą wiedzę na temat wyszkolenia podoficerów i szeregowych Wojsk Lądowych.



SAŃ OBSZARY, W KTÓRYCH OFICEROWIE MUSZĄ PODOFICEROM ZAUFAĆ

zajmowanie się każdym żołnierzem osobno, tylko kierowanie zespołami ludzkimi.

Pomocnicy z jednej strony lansują profesjonalizm, a z drugiej uprawiają wolontariat, ponieważ nie mają żadnego formalnego usytuowania w hierarchii dowodzenia czy kontroli. Gdy chcą zobaczyć, jak przebiega szkolenie, to dowódca plutonu pyta zdziwiony: „A co pan chorąży tu robi?”

Jeśli jadę do jednostki, muszę wypełnić wiele formalności, między innymi przygotować konspekt wizyty i poinformować o niej gospodarzy. Jest to trochę zagmatwane i bardzo utrudnia działanie.

U Amerykanów to nie do pomyslenia...

Tam sierżant major wpada na zajęcia, robi „kipisz”, mówi, co jest nie tak i każe działać. Może też zmienić przebieg szkolenia, ponieważ wie najlepiej, jak osiągnąć zamierzony cel.

Trudno sobie wyobrazić, by podoficer przyszedł do kompanii i stawił kapitanu na baczność.

Współpraca z oficerami to materia bardzo delikatna, wymaga wyczucia i nieco dyplomacji. Jeśli stwierdzam, że coś jest nie tak, mogę pewne rzeczy zasugerować, ale nie wolno mi wydawać poleceń i naruszać autorytetu prowadzących szkolenie. To fundamentalna zasada wynikająca z regulaminu. Mogę zwrócić uwagę pomocnikowi dowódcy plutonu lub drużyny, ponieważ dla każdego podoficera czy szeregowego Wojsk Łądowych jestem przełożonym merytorycznym.

Z kim o doskonaleniu szkolenia rozmawia Pan na wyższych szczeblach?

Wiele czasu spędzam w Oddziale Szkolnictwa Wojskowego – moje odpowiedzi i sugestie są tu brane pod uwagę. Generał dywizji Marek Tomaszycy, szef szkolenia Wojsk Łądowych, oddał mi „w jurysdykcję” szkołę podoficerską. Bardzo blisko współpracuję z komendantem Szkoły Podofi-



ARCHIWUM A. WOJTUSIKA

cerskiej Wojsk Lądowych starszym chorążym sztabowym Markiem Kajką. Wspólnie opracowaliśmy nowy program szkolenia dla kandydatów na podoficerów. Zmiany wynikają z tego, że dziś większość kadetów to ludzie wywodzący się z korpusu szeregowych zawodowych, więc nie potrzebują elementarnych podstaw szkolenia ogólnowojskowego.

Uczestniczył Pan w pracach zespołu do spraw modelu rozwoju, jest więc Pan w jakimś stopniu współtwórcą projektu ustawy pragmatycznej. Jak Pan ocenia wprowadzone zmiany?

Ustawa będzie dobra, ale nie idealna. Trudno w tak krótkim czasie wypracować w tak wielkiej strukturze, jaką jest wojsko, rozwiązania zadowalające wszystkich.

Naczelną ideą dotyczącą spraw podoficerskich była tożsamość stopnia ze stanowiskiem. Czy uda się to osiągnąć?

Tak, bo zakładamy opcję „trzech worków”. W jednym będą podoficerowie młodszy, w drugim podoficerowie, w trzecim podoficerowie starszy. W każdym z nich przewiduje się żołnierzy trzech stopni wojskowych. Będzie obowiązywała też zasada, że przy awansach w ramach „jednego worka” nie trzeba zmieniać stanowiska. Podoficerowie nie będą się więc miotali w razie zmiany pododdziałów i specjalności.

A co się nie uda?

System trzech „worków” to świetne rozwiązanie dla formacji typowo specjalistycznych, w których współpracują ze sobą niewielkie zespoły, ale nie dla kompanii Wojsk Lądowych, gdzie jest masa ludzi. Podoficer młodszy, który awansuje co trzy lata, ale nie zmienia stanowiska, będzie blokował wejście do korpusu szeregowym. Po kilku latach między „workami” powstaną więc zatory.

Czy pomocnikowi dowódcy Wojsk Lądowych jest również bliski los szeregowych?

Nie traktujemy szeregowych jako odrębnego bytu. Długo i wręcz desperacko walczyliśmy o to, by najlepsi spośród nich awansowali na stopnie podoficerskie. Aby móc starać się o taki awans, żołnierz musi służyć co najmniej pięć lat, mieć bardzo dobrą opinię, wyszkolenie na odpowiednim poziomie, ewentualne doświadczenie misyjne.

Jakie będą kryteria awansu?

Projekt ustawy zawiera pewne obostrzenia związane z przejściami na kolejne stopnie, między innymi wymagana jest dobra lub bardzo dobra ocena z opiniowania służbowego. Naszym zdaniem należałoby zaostrzyć kryteria, żeby nie dochodziło do takich sytuacji, że jeden żołnierz

będzie pracował za dwóch, a drugi pił kawę i chodził na zwolnienia, a potem obaj awansują. Łatwo wówczas o utratę motywacji do służby.

Co należałoby zrobić?

Wprowadzić tabelę punktową dla szeregowców i podoficerów z dwóch pierwszych „worków”. Choćby po to, by pokazać cel, do którego żołnierze mają zmierzać. Już na starcie szeregowy powinien wiedzieć, ile musi uzyskać punktów dzięki wiedzy, doświadczeniu i kwalifikacjom cywilnym, żeby zostać podoficerem.

A w jakim kierunku mają zmierzać?

W kierunku osiągnięcia statusu podoficerów starszych.

Zaproponował Pan takie rozwiązanie?

Tak, teraz czekam na analizę. Wprowadzenie tabeli punktowej dałoby gwarancję, że w „worku” podoficerów starszych znajdują się jedynie najlepsi, z największą liczbą punktów. W grupie podoficerów starszych nie zdobywałoby się już punktów, bo w niej służyliby najlepsi.

Czy pomocników do spraw podoficerów nadal myli się z mężami zaufania?

Mężowie zaufania są przedstawicielami szeregowych i podoficerów, zajmują się głównie problemami socjalno-bytowymi związanymi ze służbą. Byłem podoficerskim mężem zaufania na szczeblu dywizji, więc doskonale wiem, jak trudna i ważna jest to funkcja. Pełnomocnicy występują natomiast w imieniu przełożonych, egzekwują odpowiedni poziom wyszkolenia żołnierzy, dokręcają im śrubę. Mogą być skuteczni tylko wtedy, gdy ich rola jest zrozumiała i akceptowana przez wszystkich na każdym szczeblu.

Czy to znaczy, że pomocnik i mąż zaufania znajdują się po dwóch stronach barykady?

Czasem tak. Jest wiele spornych kwestii w sprawach szczegółowych, ale cele strategiczne są wspólne, gdyż obaj działają w interesie sił zbrojnych. Starszy chorąży Piotr Maciejewski, mąż zaufania podoficerów Wojsk Lądowych, i ja doskonale rozumiemy swoje role. Piotr wie, co żołnierz boli, ale też umie filtrować problemy, odcedzać te wynikające z ludzkiego niechciejstwa od tych wymagających interwencji.

By system dobrze funkcjonował na wszystkich szczeblach dowodzenia, musi się zmienić świadomość każdego żołnierza, od szeregowego po generała. Jak to osiągnąć?

W styczniu 2012 roku w Szczecinie odbył się kurs, w którym uczestniczyli, ramię w ramię, oficerowie, od podporucznika po kapitana, razem ze swymi podoficerami. Dzięki wspólnym ćwicze-



niom i rozmowom doszli razem do bardzo prostego wniosku, że są sobie nawzajem potrzebni. Zajęcia prowadzili Amerykanie z Gwardii Narodowej stanu Illinois.

Jednym ze sposobów samorealizacji w korpusie jest awans do korpusu oficerskiego.

Dla ludzi młodych i ambitnych... Dla mnie byłaby to swoista degradacja. Dziś czuję się odpowiedzialny za 42 tysiące podoficerów i szeregowych Wojsk Lądowych. Wcześniej byłem komendantem szkoły podoficerskiej w Zegrzu, struktury odpowiadającej mniej więcej batalionowi. Etap dowodzenia plutonem, kompanią i batalionem mam już więc za sobą.

Jednak spora grupa podoficerów starszych, w tym pomocników, zdobywa właśnie szlify podporuczników.

Nie należy tego łączyć z normalną ścieżką rozwoju, raczej z aktem desperacji podyktowanym ekonomią. Tracimy w ten sposób doświadczonych podoficerów, a zyskujemy uwstecz-nionych oficerów na szczeblu dowódcy plutonu.

Czy można zapobiec takiemu marnotrawstwu?

Tak. Jeśli odchodzą oni ze szczebla batalionu, należy awansować ich na stopień kapitana, tak jak ma to miejsce w armiach brytyjskiej czy amerykańskiej.

A gdy uparcie pozostają na stanowisku?

Wynagrodzenie pomocnika, również wzorem sojusznicych armii, powinno być adekwatne do ponoszonej przez niego odpowiedzialności. Mówił o tym między innymi generał Tadeusz Buk w swoim ostatnim wywiadzie dla POLSKI ZBROJNEJ.

Czy na kursach oficerskich czekają na „starych” podoficerów z otwartymi ramionami?

Ja już na starcie miałbym mniej punktów od plutonowego i niewiele więcej od kaprała z kilkuletnim stażem. Komisja rekrutacyjna szkoły oficerskiej tak wycenia „prestżowe stanowisko”.

Co należy zrobić, żeby podnieść prestiż korpusu podoficerskiego?

Trzeba prawnie usankcjonować podległość merytoryczną ogniw łańcucha wsparcia dowodzenia oraz samo pojęcie tego łańcucha. Powinny się tam także znaleźć przepisy dotyczące udziału i roli pomocników w opiniowaniu, kwalifikowaniu, awansowaniu podoficerów i szeregowych, dzięki czemu zyskaliby realny wpływ na kształtowanie karier podwładnych. Ceremoniał wojskowy również powinien uwzględniać pozycję pomocników dowódców. ■

OGŁOSZENIE





 **ORLIK**

WYŚWIETLACZ HUD



NOWY

 **AIRBUS MILITARY**

WZROK
ORLIKA

PRZY WSPÓLPRACY ITWL



EADS PZL „Warszawa – Okęcie” S.A.

Al. Krakowska 110/114, 00-971 Warszawa, Poland.

Tel. (+48 22) 57 72 202, Fax. (+48 22) 57 72 203, eadspzl@pzl.eads.net

Nieformalny filar

W jednostkach ciągle brakuje pomocników do spraw podoficerów. Dowódcy nie mogą doczekać się regulacji systemowych i sami szukają rozwiązań.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Kiedy wjeżdża się do amerykańskiej bazy wojskowej, zwykle tuż przy wejściu widać dwa zdjęcia: dowódcy jednostki oraz jego sierżanta majora, czyli pomocnika do spraw podoficerów. Jest on tam bowiem traktowany na równi z dowódcą. Czy w Polsce będzie podobnie? Na razie w batalionach brygadowych dowódcy nie mają pomocników do spraw podoficerów.

AWANGARDA Z MIĘDZYRZECZA

„Kiedy przed laty dowodziłem 1 Batalionem Pancernym Ułanów Krechowieckich, w etacie nie było stanowiska dla pomocnika do spraw podoficerów. Nie ma go zresztą do dziś”, przyznaje generał Rajmund T. Andrzejczak, dowódca 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej. „Gdy zostałem dowódcą brygady, nie wyobrażałem sobie, by cały ten mechanizm działał bez pomocnika. Służy tu blisko trzy tysiące ludzi, z czego zaledwie 200 to oficerowie”.

17 Brygada, prawdopodobnie jako jedna z niewielu w polskiej armii, stworzyła autorski łańcuch wsparcia dowodzenia. Polega on na tym, że we wszystkich jednostkach 17 WBZ wybrano najbardziej doświadczonych i zaufanych podoficerów, którzy nieetatowo pełnią funkcję pomocników.

„Nie mogliśmy się doczekać, aż przełożeni przygotują dla nas etat i stworzyliśmy nieformalny łańcuch wsparcia dowodzenia”, mówi dowódca. „Najbardziej dziwi mnie to, że moja propozycję w pełni akceptują zarówno dowódcy batalionów, dowódcy kompanii, jak i sami żołnierze”.

System testowano przez kilka miesięcy, a jego efekty oceniono pozytywnie. Generał Andrzejczak nie kryje, że jest pod



ADAM ROIK/COMBAT CAMERA DOSZ

ogromnym wrażeniem wyników. Jest spokojny o swoich żołnierzy i pewny, że wszyscy szeregowi i podoficerowie rozumieją zadania stawiane przez przełożonych.

„Dowódca batalionu zarządza czasami nawet 800 ludźmi”, opowiada podpułkownik Rafał Miernik, dowódca 7 Batalionu Strzelców Konnych Wielkopolskich. „Wśród żołnierzy są kierownicy Rosomaków, działonowi, operatorzy ppk Spike. Ich szkolenie dużo kosztuje. Odpowiadam za ich kariery, więc powinienem mieć swojego odpowiednika w korpusie podoficerskim. Muszę mieć pełen wgląd w ich środowisko”.



PODOFICEROWIE POWINNI PRZEKAZYWAĆ SWOJĄ WIEDZĘ

Oczekiwania dowódcy 7 bSKW doskonale rozumie starszy chorąży Andrzej Woltmann, pierwszy podoficer 17 Brygady: „Trudno byłoby mi pracować bez nieetatowych pomocników w batalionach. Byłbym oderwany od rzeczywistości. Jako pomocnik dowódcy brygady mam mniejszy kontakt z podoficerami i szeregowymi z jednostek. Trudno mi doradzać, jeśli w brygadzie służy ponad dwa tysiące podoficerów i szeregowych”.

Podoficer wspólnie z dowódcami jednostek wybierał swoich odpowiedników na poziomie bata-

lionów. Pomocnikami zostali najbardziej doświadczeni żołnierze, głównie dowódcy plutonów i szefowie kompanii.

„Do moich obowiązków należy między innymi opiniowanie wniosków żołnierzy o kierowanie do szkoły podoficerskiej czy na kursy specjalistyczne”, opisuje chorąży Woltmann. „Zanim zarekomenduję żołnierza dowódcy, muszę wiedzieć, co dana osoba sobą reprezentuje. Do tego potrzebna jest mi rzetelna ocena pomocników w batalionach, bo to oni mają bezpośredni kontakt z żołnierzem”.



17 WIELKOPOLSKA BRYGADA ZMECHANIZOWANA, JAKO JEDNA Z NIEWIELU W POLSKIEJ ARMII, STWORZYŁA AUTORSKI ŁAŃCUCH WSPARCIA DOWODZENIA

W przyszłości etatowe stanowiska pomocników do spraw podoficerów w batalionach mają zajmować szefowie kompanii, których zadaniem będzie opiniowanie żołnierzy, utrzymywanie dyscypliny oraz doradzanie dowódcy w sprawach szkolenia.

„Zmiany systemu są konieczne. Żołnierze mają mnóstwo obowiązków, a za nieetatowo wykonywaną pracę nie otrzymują wynagrodzenia”, twierdzi chorąży Andrzej Woltmann.

KRĘGOSŁUP BATALIONU

Młodszy chorąży Bartłomiej Rochewicz służy w wojsku od 12 lat. Dwukrotnie był w Afganistanie. Pierwszy raz w 2007 roku na II zmianie PKW, a później – na IX. Tam też udowodnił, na co go stać. Pod Hindukuszem dowodził plutonem, który odniósł największe sukcesy w walce z rebeliantami. Dwa razy najechał na ajdika, ale mimo obrażeń do końca zmiany pozostał dla swoich żołnierzy dowódcą. Jego pluton zlikwidował kilkadziesiąt ładunków i był wielokrotnie ostrzeliwany. Kilkakrotnie odznaczano chorążego za męstwo i odwagę, otrzymał między innymi medal US Army – Distinguish of Merit oraz Gwiazdę Afganistanu. Za swoją postawę na IX zmianie PKW został także wyróżniony wpisem do Księgi Honorowej WP.

Chorąży Rochewicz jest prawą ręką podpułkownika Rafała Miernika, dowódcy 7 Batalionu Strzelców Konnych Wielkopolskich z Wędrzyna.

„Bycie pierwszym podoficerem to prestiż”, opowiada o swoim pomocniku podpułkownik Miernik. „Osobiście wybierałem tego żołnierza. Zwracałem uwagę na jego doświadczenie, wysługę, autorytet i szacunek, jakim cieszy się wśród żołnierzy wszystkich korpusów. Doskonale zna środowisko podoficerów i szeregowych”.

Chorąży Rochewicz jest etatowym zastępcą dowódcy plutonu w kompanii zmotoryzowanej i nieetatowym pomocnikiem dowódcy do spraw podoficerów. Poza tym przygotowuje się do objęcia stanowiska szefa kompanii. Do jego głównych, choć nieetatowych zadań należy wyszukiwanie żołnierzy nadających się na podoficerów lub tych, którzy powinni awansować. Poszukuje ludzi, dla których służba w wojsku jest pasją i sensem życia, poświęcających swój wolny czas na dodatkowe zajęcia i biorących udział w różnych zawodach. Takich, którzy jako szeregowi są zdolni wykonywać zadania techników, szefów, zastępować tymczasowo dowódców drużyn. Ocenia wnioski dotyczące kierowania do szkoły podoficerskiej, a także weryfikuje, czy opiniowanie służbowe zostało właściwie przeprowadzone.

„Sprawdzam, czy żołnierz, który dostaje piątkę, zna specyfikę swojego stanowiska, historię i tradycje dziedziczone przez jednostkę. Liczę zwolnienia lekarskie. Nie mają ze mną lekko”, przyznaje chorąży.

Od siebie wymaga tyle samo, co od innych. Wypełnia zadania wynikające z dwóch etatów i przygotowuje się do trzeciego, więc dużo pracy bierze do domu. Sumiennie rozpatruje przypadek każdego żołnierza. Proponuje kursy doskonalące, pomaga w rozwoju zawodowym. Dowódcy batalionu zaś podsuwa pomysły związane z innowacjami szkoleniowymi.

„Udało mi się przekonać dowódcę do organizowania szkoleń medycznych”, opowiada. „Każda kompania ma przypisany zespół medyków, którzy raz w miesiącu uczą żołnierzy podstawowych czynności ratowniczych, na przykład intubacji czy masażu serca”.

Rochewicz przyznaje, że jego praca nie byłaby tak efektywna, a podoficerowie w batalionie nie czuliby się tak docenieni, gdyby nie dowódca, który młodym oficerom przychodzącym do jednostki poleca współpracę z podoficerami.

„Wielu z naszych było dowódcami plutonów i drużyn na misji. Podoficerowie chcą i mogą przekazywać swoją wiedzę. Na szczęście oficerowie chcą ich słuchać”, dodaje pomocnik. „Poza tym oni często zmieniają stanowiska, a podoficerowie w jednostkach zostają przez lata – to oni są kręgosłupem tego batalionu”.

OCZEKIWANIA INNYCH

Nie tylko 17 Wielkopolska Brygada Zmechanizowana uważa potrzebę wprowadzenia etatowych pomocników w swoich batalionach i unormowania ich obowiązków. Podobne przemyślenia mają dowódcy innych jednostek. Dowódca 3 Batalionu Zmechanizowanego z Trzebiatowa, podpułkownik Jarosław Jalowski, proponuje wprowadzenie zmian w etacie jednostki.

„Taka osoba jest niezbędna. Pododdział znajduje się w znacznej odległości od dowództwa 7 Brygady Obrony Wybrzeża, dlatego należałoby ten problem szybko rozwiązać. Tylko jakim kosztem?”, zastanawia się dowódca 3 bz. Według niego stworzenie etatu pomocnika przez likwidację innego etatu podoficerskiego to sytuacja niedopuszczalna. „To musi być osoba, która w moim imieniu będzie kontaktowała się z szeregowymi i podoficerami. Dzięki niej można byłoby położyć kres w tym środowisku plotkom wynikającym z niedoinformowania”.

Dowódca przyznaje, że z chęcią skorzystałby z pomocy w ustalaniu ścieżki rozwoju podoficera i szeregowego. Widzi też potrzebę przekazania pomocnikowi bieżących spraw kadrowych podoficerów i opiniowania ich podczas wyznaczania na kolejne stanowiska służbowe. Pomocnicy mogliby także pomóc w kwalifikowaniu żołnierzy na kursy i szkolenia. Obecnie dowódcę batalionu wspomaga w tym podoficer, ale robi to społecznie i niezależnie od swoich stałych obowiązków.

Naprzeciw oczekiwaniom dowódców batalionów 7 BOW i zgodnie z sugestią dowódcy słupskiej brygady pułkownika Sławomira Kowalskiego, pomocnik do spraw podoficerów młodszy chorąży sztabowy Adam Okonek wyznaczył podoficerów kontaktowych w każdym podległym pododdziale:

„Nasza brygada leży w trzech garnizonach. Etatowy pomocnik do spraw podoficerów w każdym z nich poprawiłby przepływ informacji. Właśnie na poziomie batalionu powinna odbywać się pierwsza weryfikacja najlepszych kandydatów na podoficerów i oficerów”.

Dowództwo 7 Brygady w 2012 roku wystąpiło do przełożonych z propozycją wykonania poprawek w etacie, żeby wprowadzić w podległych jednostkach etatowe stanowiska pierwszych podoficerów. ■

Uczył kapral kapitana

Czy oficer może się nauczyć czegoś od podoficera?

PIOTR BERNABIUK
PIOTR ZARZYCKI

Próbą znalezienia odpowiedzi na to pytanie był udział oficerów 5 Pułku Artylerii z Sulechowa w podoficerskim kursie Lider. Szkolenie trwało tydzień, przebiegało według wypracowanego od paru lat schematu – kilka dni wbijania teorii z różnych dziedzin, przekonywania uczestników, że jako dowódcy mogą również osiągnąć najwyższe stadium przywództwa, stać się liderami swoich zespołów.

W finale całe to gadanie należało zweryfikować w forsownym marszu z wykorzystaniem elementów taktyki, czystej żołnierki i sztuki dowodzenia na najniższym szczeblu. W trakcie zajęć zniknęły naramienniki, oficerowie weszli w role szeregowych żołnierzy. Podejmowali decyzje, motywowali do działania swych kolegów w sytuacjach żywcem przeniesionych z operacji bojowych – w czasie budowy zasadzki, ataku na obiekt, akcji ratowniczej pod ogniem, wzywania medycznego wsparcia, patrolowania wyznaczonego obszaru... Przerwy między zadaniami wypełniał forsowny marsz. Z kilkunastoosobowej grupy jedynie dziesiątka uczestników dotarła do mety. Cel, którym było zdobycie certyfikatu Lidera, osiągnęli kapitan Artur Zielichowski oraz podporucznicy Adam Kukta i Tomasz Brzywey.

ULEGALI WPLYWOM

Czy w trakcie tych trudnych zajęć znaleźli odpowiedź na postawione na wstępie pytanie? Czy oficer może się czegoś nauczyć od podoficera? Kapitan Zielichowski nie ma wątpliwości: „Podoficerowie są najlepszymi nauczycielami, jeżeli chodzi o bezpośrednie dowodzenie ludźmi, ponieważ robią to przez lata na co dzień. Na tym polega ich praca. Oficerowie w ciągu całej swojej kariery w pododdziałach spędzają czasami tylko trzy lata. I, niestety, nie mają czasu ani okazji, by stać się prawdziwymi przywódcami”.

Kapitan Artur Zielichowski, dowódca kompanii 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej w Międzyrzeczu (obecnie wykładowca Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu), nie musiał się sprawdzać. Dowodził swoimi żołnierzami w Afganistanie, tworzył zespół na misję, wykonywał bardzo trudne zadania, jest od lat znakomitym liderem. Uczestniczył w szkoleniu, by zobaczyć z bliska, odczuć na własnej skórze, jak działa mechanizm „budowania” przywódcy na kursie, który przeszło już wielu jego podoficerów.

Jego zdaniem istotę Lidera można zrozumieć dopiero wówczas, gdy usłyszysz się od instruktora, że to już koniec, przemyśli się, jakie procesy zachodziły w grupie, jak kto dowodził, w jakim stopniu poszczególni członkowie zespołu przejawiali ini-

cyjatywę: „Jedni byli aktywni tylko wtedy, gdy przychodziła ich kolej kierowania, inni dawali z siebie wszystko od początku do końca. Widać było znakomicie różne style dowodzenia i to, czy poszczególni oficerowie ulegali wpływowi innym”.

Dostrzegł też istotny mankament w swojej grupie i w innych: „Uczestnicy nadmiernie się koncentrowali na samym marszu, na działaniu praktycznym, jakby zapominali o wykorzystaniu, co wynikało z treści wykładów. Instruktorzy wiele mówili o wnioskach płynących z praktyki operacji afgańskiej. Niestety, było to niezrozumiałe i nieprzekładalne na praktykę dla osób, które wcześniej nie uczestniczyły w misji lub spędziły pół roku w bazie”.

SKUTECZNY NAUCZYCIEL

Dla podporucznika Tomasza Brzywego z 5 Pułku Artylerii w Sulechowie przystąpienie do kursu było wyzwaniem, a zarazem okazją do zaspokojenia ciekawości, czy to, co słyszał o kursie Lider, potwierdzi się w rzeczywistości. „Starałem się wyciągać z zajęć jak najwięcej pożytku. Myślałem o tym, co mogą wnieść do mojej dalszej pracy. W ich trakcie wiele się wydarzyło, trzeba było walczyć, odciąć się od zmęczenia, pokonać słabości swojej psychiki, kiedy byłem bliski rezygnacji. Gdy rozpoczynaliśmy kurs, nie wszyscy znaliśmy nawet swoje imiona. Na końcu dodawaliśmy już do nich przydomki, świadczące o tym, że powstał zespół i ludzie poczuli więź, sympatię, byli jak monolit”.

Zdaniem młodego oficera, uczestnika VII zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie, w takim szkoleniu powinni brać udział – w odpowiednim wymiarze – również dowódcy wyższego szczebla. „Oczywiście nie w takim stopniu, jak my, bo trudno sobie wyobrazić dowódców batalionu, którzy przez dobę będą wojowali po lesie... Dzięki temu jednak łatwiej zrozumieliby intencje swoich podwładnych, tak aby ci z kolei mogli swobodnie realizować założenia, których mogą się podczas Lidera nauczyć”.

W wojskowej mentalności tak się już utarło, że oficer szkoli swych podwładnych – podoficerów i szeregowych, stojących niżej od niego w hierarchii stanowisk i stopni. Udział oficerów w kursie Lider przełamał tę barierę, udowodnił, że skutecznym nauczycielem porucznika może być sierżant. Bo nie chodziło o to, aby mieć satysfakcję ze ściągania kogoś wyższego stopniem, być może własnego dowódcy, ale aby przekazać wiedzę i umiejętności z poziomu podstawowego zespołu, działaniu czy drużyny. ■

ŚMIERCIONOŚNE

Jak twierdzą saperzy, na amunicję strzelecką, miny, porzucone granaty i pociski artyleryjskie oraz niewybuchy z II wojny światowej będziemy natrafiali jeszcze kilkadziesiąt lat.

TADEUSZ WRÓBEL

W Warszawie, szczególnie dotkniętej wojenną przeszłością – oblężenie we wrześniu 1939 i powstanie w 1944 roku – w ciągu roku znaleziono już trzy niewybuchy niemieckich pocisków moździerzowych kalibru 600 milimetrów. Dwa z nich na budowie metra.

EFEKT SUSZY

Obniżający się w końcu lata poziom wody w Wiśle spowodował, że z jej nurtów wyłoniły się nie tylko zabytkowe przedmioty sprzed wieków, lecz także śmiercionośne pamiątki po wojennej zawierusze. 16 września znaleziono w pobliżu mostu Świętokrzyskiego minę przeciwpiechotną z czasów II wojny światowej. Dwa dni wcześniej w tej samej okolicy, niedaleko Centrum Nauki Kopernik, dostrzeżono niewybuch z moździerza. Saperów wzywano też do odkrytych nad Wisłą pocisków z dział i wyrzutni raketowych, które nie wybuchły

po wystrzeleniu. Ogromna różnorodność niebezpiecznych pamiątek z lat 1939–1945 zaskanawia, zadziwiająca są też miejsca odkrycia niektórych z nich. Niewykluczone, że przynajmniej część z niewybuchów została wrzucona do Wisły po zakończeniu wojny. Być może niektóre całkiem niedawno mieszkańcy Warszawy znaleźli na swoich posesjach i pozbyli się ich bez informowania saperów.

Innym miejscem w stolicy niezwykle zasobnym w niebezpieczne wojenne pamiątki są place budów. Przy okazji robót ziemnych znajdowane są niewybuchy lub zapomniane pociski do dział i moździerzy mniejszych kalibrów. Niedawno podczas prac w rejonie stacji Warszawa-Stadion odkryto amunicję kalibru około 150 milimetrów. Początkowo zakładano, że pocisków jest kilka, po dokładnym sprawdzeniu terenu okazało się, że kilkadziesiąt.

Usuwanie niewybuchów z terenu stolicy zajmują się stacjonujący w Nowym Dworze Mazowieckim saperzy



W REJONIE WARSZAWY

OPERUJĄ CZTERY
PATROLE SAPERSKIE.
TRZY SĄ W NOWYM
DWORZE MAZOWIECKIM,
JEDEN JEST W WESOŁEJ

PAMIĄTKI HISTORII

z 2 Inowrocławskiego Pułku Inżynieryjnego. Za Warszawę (i powiat legionowski) odpowiada 20 Patrol Saperski, wspomagany przez dwa inne – 18. i 19.

„Ze względu na swą wojenną historię stolica jako jedyne miasto w Polsce ma własny patrol saperski. Dzięki temu, że są trzy grupy, mogą pełnić służbę w trybie zmianowym”, powiedział POLSCE ZBROJNEJ pułkownik Artur Talik, główny specjalista w Szefostwie Inżynierii Wojskowej, który do niedawna dowodził 2 Inowrocławskim Pułkiem Inżynieryjnym. Saperzy nie mogą narzekać na brak zajęć w stolicy. W okresie od wiosny do końca jesieni zdarzają się dni, w których patrol przeprowadza cztery interwencje w Warszawie i jej okolicach. Rocznie jest ich znacznie ponad trzysta.

ZNALEZISKA W METRZE

Najbardziej spektakularnych znalezisk dostarcza w ostatnich miesiącach budowa drugiej linii warszawskiego metra. Od lutego w trakcie prowadzonych tam prac wykopano już bombę lotniczą i dwa pociski niemieckiego ciężkiego moździerzka typu Karl (Gerät 040). Ostatni odkryto 28 sierpnia w rejonie placu Powstańców Warszawy. Ważył 1,7 tysiąca kilogramów. Według źródeł niemieckich metalowa skorupa wypełniona w celu zwiększenia masy kilkuset kilogramami betonu, skrywała prawdopodobnie 220–280 kilogramów materiału wybuchowego.

„Nie mamy pewności co do masy ładunku, bo nie rozbrajamy niewybuchów, a w publikacjach historycznych są informacje, że często obok materiału wybuchowego umieszczano w pociskach do moździerzy Karl wypełniacz”, powiedział POLSCE ZBROJNEJ starszy sierżant Tomasz Ku-

biak, zastępca dowódcy 20 Patrolu Saperskiego. „Niemniej jednak eksplozja podczas likwidacji niewybuchu z placu Powstańców Warszawy na poligonie toruńskim była bardzo silna”.

Pułkownik Talik nie wyklucza, że w czasie budowy metra może zostać znalezionych jeszcze kilka takich niewybuchów. Ponieważ broń ta została skonstruowana do niszczenia betonowych fortyfikacji, zapalniki pocisków moździerzka nie były zbyt czułe i dlatego po trafieniu w budynki ceglane nie wybuchwały, w ziemię zaś wbijały się na kilka metrów w głąb. „Zaczęto je odkrywać, gdy rozpoczęły się bardzo głębokie wykopy”, mówił zastępca dowódcy 20 Patrolu Saperskiego. „Niewybuch z Karla jest bardzo groźny, bo jeśli dojdzie do nacisku na niego, może dojść do eksplozji”. Sierżant Kubiak wyjaśnił, że do najgroźniejszej sytuacji dochodzi wtedy, gdy pocisk jest w pionie, czyli tak jak wbił się w ziemię w czasie wojny. Łątwo wówczas natrafić na umieszczony z tyłu zapalnik. Dlatego saperzy uczulili budowniczych metra, aby byli bardzo ostrożni przy palowaniu i drażeniu tuneli.

WYWIEŻĆ I ZNISZCZYĆ

Procedura postępowania w razie znalezienia niewybuchu jest prosta. Gdy stanie się to na placu budowy, jej kierownik jest zobowiązany poinformować o tym jedną ze służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo – policję, straż pożarną lub miejską. Ich funkcjonariusze zabezpieczają wówczas miejsce znalezienia stanowiącego zagrożenie przedmiotu przed osobami postronnymi i próbują określić wstępnie, z czym mają do czynienia. Potem przychodzi czas na saperów.



MOŹDZIERZ OBLĘZNICZY KARL KALIBRU 600 MILIMETRÓW OSTRZELIWAŁ STOLICĘ W CZASIE POWSTANIA W 1944 ROKU.

Niemcy opracowali je w latach trzydziestych XX wieku z myślą o niszczeniu fortyfikacji francuskiej Linii Maginota. Jednak broń ta trafiła do Wehrmachtu dopiero po zwycięstwie nad Francją. Stąd pierwszy raz armia niemiecka użyła supermoździerzy dopiero podczas walk na froncie wschodnim.

W sumie wyprodukowano siedem moździerzy, z których sześć przekazano Wehrmachtowi. Potwierdzono, że jeden 600-milimetrowy Karl ostrzeliwał stolicę w czasie powstania w 1944 roku. Są też informacje, że Niemcy ściągnęli pod Warszawę dwa 540-milimetrowe moździerze Karl (Gerät 041), które dzięki zmniejszeniu kalibru z jednoczesnym wydłużeniem lufy miały większy zasięg ognia. Poza pociskami 1700-kilogramowymi, jak ten znaleziony w sierpniu w Warszawie, strzelano z 600-milimetrowych Karli jeszcze dwoma innymi, o masie 2170–2180 kilogramów i 1250-kilogramowymi. W publikacjach istnieją duże rozbieżności, jeśli chodzi o to, jaką ilość materiału wybuchowego zawierały. W największym po-

pisku mogło być, według danych, od 280 do 348 kilogramów, w przypadku najmniejszego – od 240 do aż 460 kilogramów. Zasięg ognia wersji Gerät 040 wynosił, zależnie od rodzaju pocisku i ilości ładunków miotających, od 2,8 tysiąca do 6,7 tysiąca metrów.

Wariant 540-milimetrowy strzelał pociskami o masie 1580 kilogramów na odległość ponad 10 kilometrów.



„Dla nas najważniejsze w zawiadomieniu są miejsce znalezienia oraz dane osoby kontaktowej”, stwierdza pułkownik Talik. Oficer dyżurny przekazuje wiadomość systemem informatycznym dowódcy patrolu. Zgłoszenia dzielą się na pilne, wymagające reakcji w ciągu 24 godzin, i zwykłe, które mogą być wykonane w ciągu trzech dób. Niezależnie od rodzaju zgłoszeń saperzy starają się usuwać niebezpieczne pozostałości wojenne jak najszybciej. Oprócz miejsca znalezienia niewybuchu niezwykle istotne jest szybkie określenie skali ewakuacji ludzi w danej miejscowości.

Po przybyciu na miejsce dowódca patrolu musi dokładnie obejrzeć znalezisko. W razie wszelkich wątpliwości kontaktuje się z oficerem dyżurnym w jednostce. Ten z kolei, gdy też nie ma wystarczającej wiedzy o znalezisku, zwraca się do specjalistów z zewnątrz.

Dowódca patrolu musi zdecydować, czy niewybuch, który kilkadziesiąt lat leżał w ziemi, można podjąć i wywieźć na poligon, gdzie zostanie zniszczony. W każdym kraju istnieją nieco inne zasady postępowania z niewybuchami. W niektórych państwach saperzy rozbijają je lub niszczą w miejscu znalezienia. W Polsce niewybuchy są wywożone. Niemniej jednak, jeśli takie działanie może zagrazać bezpieczeństwu saperów, również u nas mogą oni zdecydować o zniszczeniu niebezpiecznego ładunku na miejscu.

„Dotychczas nie znalazłem się w takiej sytuacji, ale nie da się jej wykluczyć w przyszłości, bo każdy niewybuch jest inny”, stwierdził sierżant Kubiak. Dowódca patrolu saperkiego musi też określić promień strefy bezpieczeństwa, z której należy ewakuować ludzi. Jej zasięg zależy od masy bomby czy kalibru pocisku. W miastach najczęściej ewaku-

owane są tylko budynki w bezpośrednim sąsiedztwie znalezionego niewybuchu, ponieważ gęsta zabudowa stanowi rodzaj naturalnej osłony.

Stosunkowo łatwo jest podjąć małe niewybuchy. Saperzy robią to ręcznie, ale w rękawicach – ze względu na możliwość wycieku żrących substancji. Bardziej skomplikowane jest usuwanie większych znalezisk. Potrzebne są specjalne pasy o udźwigu kilku ton oraz dźwig lub koparka. Saperzy przyznają, że wydobycie i ładunek niewybuchu to najmniejbezpieczne momenty operacji, ale jednocześnie zauważają, że jego niszczenie na terenie miasta stanowiłoby o wiele większe zagrożenie.

DŁUGA DROGA

Niewybuch umieszczany jest na specjalnym podłożu ciężarowego stara i wywożony na poligon. Konwój składa się zwykle z dwóch terenowych honkerów z sygnalizacją ostrzegawczą i dwóch ciężarówek. Jedna stanowi rezerwę na wypadek nieprzewidzianych sytuacji.

Znaleziska z Warszawy i okolic niezawierające więcej niż 20 kilogramów materiału wybuchowego są niszczone na poligonie w Kazuniu. Niestety, na terenie województwa mazowieckiego nie ma miejsca, gdzie można likwidować większe niewybuchy. Dlatego znaleziony w sierpniu pocisk z Karla zniszczono na odległym o 200 kilometrów od stolicy poligonie w Toruniu. Alternatywnym miejscem likwidacji jest poligon w Orzyszu.

Od zakończenia II wojny światowej upłyne niebawem 70 lat. Saperzy uważają, że śmiercionośność pamiętki po tym konflikcie będą odnajdywane jeszcze przez następnych kilkadziesiąt. ■



Celujemy

Celujemy

w przyszłość...

flesz

ĆWICZENIA

„ANAKONDA”
ODBYWA SIĘ
CO DWA LATA.
PIERWSZĄ
PRZEPROWADZONO
W 2006 ROKU

SEBASTIAN KINASIEWICZ / COMBAT CAMERA DOSZ



POD JEDNĄ FLAGĄ KONDA AWA

W tegorocznych ćwiczeniach „Anakonda” wzięło udział 11,5 tysiąca żołnierzy. Mieli do dyspozycji 2,3 tysiące pojazdów, różnych środków uzbrojenia i innego ciężkiego sprzętu. W zadaniach bojowych brało udział: 150 czołgów i transporterów opancerzonych, 24 samoloty, 30 śmigłowców oraz 20 okrętów wojennych.



O SILE NATARCIA
DECYDOWAŁY NIE TYLKO
CZOŁGI, LECZ TAKŻE
DOBRZE UZBROJONE
**BOJOWE
WOZY
PIECHOTY**

Po raz pierwszy powstała **sieć teleinformatyczna** zapewniająca ćwiczącym wojskom błyskawiczny i bezawaryjny obieg informacji na wszystkich szczeblach dowodzenia.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Duże ćwiczenia są jak igrzyska. Bierze w nich udział wiele jednostek i pododdziałów z różnych związków taktycznych i rodzajów sił zbrojnych. Każdy stara się pokazać z jak najlepszej strony. Nawet najtrudniejsze zadania w takiej atmosferze wykonywane są zazwyczaj lepiej, szybciej i dokładniej niż w czasie zajęć na placu ćwiczeń. Tak było na tegorocznej „Anakondzie”. Nadrzędnym celem sprawdzianu było doskonalenie umiejętności obrony granic własnego kraju pod jedną wspólną flagą. Na poligonach w Drawsku Pomorskim, Ustce i Orzyszu wykonano ponad 30 różnych zadań taktyczno-ogniowych.

Forsowanie szerokiej przeszkody wodnej było jednym z bardziej widowiskowych epizodów tegorocznej „Anakondy”. Z uznaniem obserwował je premier Donald Tusk. Elementem zadania było przeprowianie kilkudziesięciotonowych czołgów promem z 5 Pułku Inżynieryjnego ze Szczecina.

Przedsięwzięciem dowodził podporucznik Tomasz Wachowski. Miał do dyspozycji kilka bloków promowych, dwa kutry KH-200 i ośmiu saperów.

POLSCE ZBROJNEJ powiedziała, że aby zbudować taki prom „z wody” i uzyskać ocenę bardzo dobrą, według obowiązujących w wojsku norm trzeba się uwinąć w 15 minut. Podczas „Anakondy” prom powstał zaledwie w 9 minut i 19 sekund. Na docenienie saperskiej roboty zabrakło więc skali ocen.

NOWOCZESNOŚĆ

Każde manewry z serii „Anakonda” są okazją do przetestowania nowoczesnego sprzętu wchodzącego do armii. W czasie tegorocznych pojawiły się między innymi bezpilotowe samoloty rozpoznawcze nieużywane kiedyś w tak dużej skali, wyrzutnie raketowe Langusta, najwyższej jakości sprzęt obserwacyjny czy nowoczesne kontene- ➔

ADAM ROIK / COMBAT CAMERA DOSZ (4)

flesz

GROŹNĄ BRONIĄ DLA ŚMIGŁOWCÓW PRZECIWNIKI OKAZAŁY SIĘ RĘCZNE PRZECIWLOTNICZE POCISKI RAKIETOWE STRZAŁA I GROM



Operatorzy Formozy przygotowani są głównie do działania na wodzie i pod wodą. Podczas „Anakondy '12” udowodnili jednak, że potrafią być skuteczni także na lądzie.



OKRETY TRANSPORTOWO- -MINOWE

MOGĄ PRZETRANSPORTOWAĆ PRAWIE
NA SAM BRZEG 9 CZOŁGÓW LUB
17 SAMOCHODÓW ALBO INNY
SPRZĘT ORAZ 135 ŻOŁNIERZY.

ADAM ROKK / COMBAT CAMERA DOSZ (5)



Jednym z najbardziej widowiskowych epizodów było desantowanie przez żołnierzy Formozy ze śmigłowca.



BOGUSŁAW POLITOWSKI
SEBASTIAN KINASIEWICZ
COMBAT CAMERA DOSZ



rowe stanowiska dowodzenia. Po raz pierwszy w historii na potrzeby wojsk zbudowano specjalną sieć teleinformatyczną AWAN (Anakonda Wide Area Network). Zapewniła ona ćwiczącym wojskom błyskawiczny i bezawaryjny obieg informacji i transmisję danych na wszystkich szczeblach dowodzenia.

Przeciwnicy na poligonie w Ustce mieli zaś okazję przetestować nowy element systemu dowodzenia SAMOC-Przełot, który docelowo ma zautomatyzować dowodzenie brygadą raketową i udoskonalić komunikację teleinformatyczną pomiędzy stacjami naprowadzania.

**NA POLIGON W DRAWSKU
POMORSKIM PRZYJECHAŁO
76 ŻOŁNIERZY ZE STANÓW
ZJEDNOCZONYCH**
– KOMPANIA MILITARY
POLICE STACJONUJĄCA
NA TERYTORIUM NIEMIEC

TEGOROCZNE MANEWRY MIAŁY MIĘDZYNARODOWY CHARAKTER



BOGUSŁAW POLITOWSKI

Manewry pod kryptonimem „Anakonda” odbywają się od 2006 roku. Od tamtej pory każde kolejne mają większy rozmach i angażowanych jest w nie więcej ludzi i sprzętu. Tegoroczne po raz pierwszy miały międzynarodowy charakter. Wpisane zostały bowiem do natowskiego programu ćwiczeń i wzięli w nich udział żołnierze Korpusu Północno-Wschodniego, armii Stanów Zjednoczonych i Kanady. Były okazją do sprawdzenia w praktyce złożeń artykułu V traktatu waszyngtońskiego, w którym zapisano, że w przypadku agresji na państwo członka NATO pozostałe udzielą mu natychmiastowej pomocy.

CYWILE NA POLIGONIE

Mimo upływu lat podczas „Anakondy” jedno jest niezmiennie – organem kierującym ćwiczeniami jest Dowództwo Operacyjne Sił Zbrojnych, a jego dowódca (obecnie generał broni Edward Gruszka) pełni funkcję kierownika tego militarne przedsięwzięcia.

Tak jak w poprzednich latach ważne były również doskonalenie różnych szczebli dowodzenia oraz ich współpraca w czasie prowadzenia tak zwanych operacji połączonych, w których brali udział żołnierze wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Oprócz żołnierzy ćwiczyli też cywile. Sprawdzaniowi poddawane były wybrane komponenty systemu obronnego państwa – władz i urzędów centralnych oraz wojewódzkich, a także starostw powiatów oraz miast. Tegoroczne manewry odbywały się na terenie aż ośmiu województw.

„Anakonda” była bardzo ważna dla dwóch kompani zmotoryzowanych z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej.

Pododdziały te już niebawem czeka bowiem kolejny ważny egzamin – ćwiczenia sprawdzające przed rozpoczęciem dyżuru w składzie Weimarskiej Grupy Bojowej Unii Europejskiej, który zaczną pełnić od początku 2013 roku.

POWRÓT DO TRADYCJI

Dla żołnierzy, głównie Wojsk Lądowych, których w „Anakondzie” uczestniczyło ponad siedem tysięcy (około 80 procent wszystkich ćwiczących), była to okazja do przypomnienia sobie działań bojowych w warunkach wojny obronnej-symetrycznej. Przez ostatnich kilka lat ze względu na udział w misjach w Iraku i Afganistanie główny nacisk w trakcie szkolenia kierowali na działania ekspedycyjne i asymetryczne, a z konieczności mniej uwagi poświęcali doskonaleniu taktyki konwencjonalnej.

O procedurach zaopatrywania kontyngentów zagranicznych musieli zapomnieć także logistycy. Dla ich jednostek i instytucji podlegających w ostatnich latach nieprzerwanej reorganizacji „Anakonda” była bodaj najważniejszym zadaniem. Dość powiedzieć, że tylko w obrębie jednego poligonu w Drawsku posiłki przygotowywano w sześciu różnych obiektach. W każdym używanych było około 12 kuchni polowych, obsługiwanych przez ponad 20 kucharzy.

Aby sprzęt i żołnierze mogli dojechać na poligony, zorganizowano 23 kolejowe transporty operacyjne. Lokomotywy ciągnęły na ćwiczenia aż 528 wagonów. W tym samym czasie już od drugiej dekady sierpnia w rejon Drawska, Ustki i Orzysza przemieszczało się 78 kolumn i różnych grup pojazdów kołowych. ■



MAGDALENA MIERNICKA

SPOTKANIA Z... ANAKONDA

Dwunasty Zagon odbył się pod znakiem obrony przeciwlotniczej i największych ćwiczeń organizowanych w tym roku przez Wojsko Polskie.

MACIEJ SZOPA

Obrona powietrzna jest dzisiaj tematem często poruszonym w polskich mediach. Nic w tym dziwnego, skoro politycy mówią o potrzebie jej unowocześnienia, a nawet stworzenia kompleksowego systemu obrony przeciwrakietowej. W tej sytuacji warto, aby dziennikarze wiedzieli cokolwiek na temat funkcjonowania jednostki przeciwlotniczej. Taką jednostką, a dokładnie 8 Pułk Przewodniczy, można było zwiedzić w Koszalinie już pierwszego dnia Spotkań z Armią. Na wystawie statycznej i w polu największe zainteresowanie wzbudziły zestawy przeciwlotnicze Osa i Kub. Załadunek rakiet na wyrzutnię tego drugiego typu można było obserwować z bliska. Tak rzadko spotykany widok był gratką dla fotografów.

O ile prezentowany sprzęt przeciwlotniczy był na przyzwyczajonym poziomie, o tyle wątpliwości mogło budzić wyposażenie indywidualne żołnierzy OPL. W większości 8 Pułk dysponuje niestety oporządzeniem rodem z lat siedemdziesiątych

i osiemdziesiątych XX wieku. Żołnierze mają metalowe hełmy, a zamiast kamizelek taktycznych – parciane pasy z przywieszonymi torbami i chlebakami. To przykre, wzięwszy pod uwagę, że koszt wyposażenia osobistego nie jest wysoki.

Przeciwlotników można było oglądać w akcji przy okazji ćwiczeń na poligonie w Wicku Morskim. Na podniebne poszukiwania wystrzelili kilkanaście pocisków rakietowych S-125 Nawa SC. Wcześniej można było w tym miejscu obserwować też działania żołnierzy Wojsk Specjalnych z Formozy, desant morski, walki na plaży i wydmach z użyciem amfibii Marynarki Wojennej oraz bojowych wozów piechoty. Potem przyszedł czas na efektowne ataki w wykonaniu polskich samolotów bojowych: Su-22, MiG-29 i F-16.

Ostatni zestaw przeciwlotniczy można było podziwiać trzeciego dnia Spotkań na poligonie w Drawsku Pomorskim, kiedy samobieżne zestawy Biała pędziły do ataku razem z kompaniami czołgów Leopard 2A4. ■

JASMIN

**jedyny w kraju, rzeczywiście kompleksowy,
wszechstronnie sprawdzony, referencyjny,
gotowy do użycia ...**



... i po prostu INTEROPERACYJNY

Głos w eterze

Już od kilku lat polscy żołnierze tworzą radio dla Afgańczyków. Może przyjdzie czas na rozgłośnie dla naszego wojska?

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Audycje w radiu Hamdard emitowane są przez całą dobę. Na antenie lektorki czytają modlitwy, ogłoszenia, wiadomości, bajki dla dzieci, poezję. Ogłaszają akcje rolnicze, mówią o nowych szkołach, uczą angielskiego. I choć za mikrofonami siedzą Afgańczycy, to odpowiedzialni za projekt i koncepcje programów są polscy żołnierze. Od IV zmiany radiem Hamdard opiekują się Centralna Grupa Działań Psychologicznych (CGDP) z Bydgoszczy.

„Sajopsi” (od angielskiego skrótu PSYOPS) wyjeżdżają do Afganistanu w ramach polskich kontyngentów wojskowych od I zmiany, a od IV wchodzi w skład zespołów taktycznych działań psychologicznych w bazach Ghazni i Warrior. We wcześniej dobrą robotę wykonywali w Iraku. Do ich obowiązków należało między innymi przygotowywanie krótkich audycji radiowych, które emitowało lokalne radio w Diwanii. O swojej rozgłośni wówczas jeszcze nie myśleli.

DO USŁYSZENIA NA 94,9 FM

Misja w Afganistanie przyniosła jednak nowe wyzwania. Kiedy służyli pod Hindukuszem, stwierdzili, że najlepszym sposobem na komunikację ze społeczeństwem będzie radio. Pomysł nie był co prawda autorski, ponieważ w Afganistanie stacje radiowe prowadzą także żołnierze innych państw, ale okazał się strzałem w dziesiątkę.

„W Polsce radio to już trochę archaizm”, opowiada młodszy chorąży Maciej Amtmann, szef rozgłośni radiowej VIII zmiany, na co dzień młodszy redaktor w Centralnej Grupie Działań Psychologicznych w Bydgoszczy. „Wszędzie je-

steśmy bombardowani przez telewizję, internet, gazety. W Afganistanie jest zupełnie inaczej”.

Słuchaczy pozyskali sprytem. Znaleźli to, co interesowało Afgańczyków i jednocześnie to, czego zabrakło w lokalnych audycjach. Kluczem do sukcesu okazała się prognoza pogody. Żołnierze Centralnej Grupy Działań Psychologicznych przyznają, że dla lokalnych i krajowych rozgłośni radiowych nie są konkurencją, lecz raczej alternatywą.

„Radio na siebie nie zarabia. Nie mamy reklam i sponsorów. Dajemy za to odbiorcom to, czego inne media, często przytłoczone naciskami z zewnątrz, dać nie mogą: prawdziwą i rzetelną informację”, mówi major Sławomir Starzyński, szef Grupy Wsparcia Psychologicznego IX zmiany PKW w Afganistanie. Początkowo radio nadawało w godzinach od 10 rano do 20 wieczorem. Później czas antenowy został wydłużony.

„Kontynuujemy pracę swoich poprzedników ze zmiany na zmianę, zwłaszcza jak coś jest dobre i cieszy się powodzeniem”, mówi plutonowy Michał Kotlenga z IX zmiany. „Nie można bagatelizować znaczenia afgańskich pracowników. Tak naprawdę to oni tworzą radio. My je moderujemy, ale to miejscowi nadają audycjom kształt. Musi mieć ono afgański charakter”.



SŁUCHACZY POZYSKALI SPRYTEM. ZNALEŻLI TO, CO INTERESOWAŁO AFGAŃCZYKÓW I TO, CZEGO BRAKOWAŁO W LOKALNYCH ROZGŁOŚNIACH RADIOWYCH

Główną zasadą radia Hamdard jest to, że na antenie wypowiadają się Afgańczycy lub za pośrednictwem tłumacza przedstawiciele PKW. „Mówią o działaniach żołnierzy, opowiadają o otwarciu szkół czy przedszkoli”, twierdzi major Starzyński. „Pytamy o zdanie dyrektorów szkół, ministra edukacji, gubernatora. Nie chcemy być tubą propagandową”.

Radiowcy w swoich przekazach nie unikają kłopotliwych tematów. „Talibowie też mają swoje radio”, mówi starszy chorąży Jacek Kozicki, który kierował pracą radia podczas VI i X zmiany PKW. „Nadają z różnych miejsc i trudno ich zlokalizować. Tylko czekają na różnego rodzaju potknięcia żołnierzy, żeby o nich poinformować. Kiedy opisujemy jakieś wydarzenia, chcemy być krok przed negatywną propagandą”.

Praca „sajopsów” ściśle wiąże się z działalnością kontyngentu wojskowego. Koncentrują się zatem oni na spotach radiowych, w których zawarte są treści dotyczące promocji zdrowego trybu życia, profilaktyki zdrowotnej. Pokazują również projekty rozwojowe wykonywane przez siły koalicji oraz rząd Afganistanu. W audycjach przemycają też treści związane z promocją administracji rządowej oraz emitują spoty mułłów o tematyce religijnej i działalności Afgańskich Sił Bezpieczeństwa.

Programy uatrakcyjniają materiałami przygotowanymi przez żołnierzy taktycznych zespołów działań psychologicznych, którzy podczas patroli nagrywają wypowiedzi mieszkańców Ghazni na temat ważnych wydarzeń czy operacji prowadzonych przez Afgańskie Siły Bezpieczeństwa.

Przełomem dla radiowców była VIII zmiana, gdy generał brygady Andrzej Reudowicz, dowodzący wówczas Polskimi Siłami Zadaniowymi, zaakceptował koncepcję rozwoju rozgłośni. „Sajopsi” dostali w bazie nowe lokum. W budynku znalazły się miejsce do pracy dla dziennikarzy, pokój dla gości i pomieszczenie do nagrywania.

ISAF/MILITARIUM STUDIO



RADIO DZIAŁA DZIĘKI PRZENOŚNEMU SPRZĘTOWI RIAB PXB. MIMO ŻE ŻOŁNIERZE NADAJĄ Z KONKRETNEGO MIEJSCA – GHAZNI I WARRIOR – TO ICH SPRZĘT JEST MOBILNY. MA ZASIĘG 40–60 KILOMETRÓW

„To było jak przesiadka z malucha do porsche, ponieważ na początku pracowaliśmy w kontenerze”, żartuje chorąży Kozicki. Wówczas rozszerzono również formułę przygotowywanych dotąd audycji. Do Hamdardu dołączyli też nowi pracownicy, w tym jedna kobieta.

„To było dla nas wyjątkowe osiągnięcie, choćby ze względów kulturowych. Fiza, dziennikarka pracująca niegdyś w kabulskich mediach, dziś mieszkanka Ghazni, w radiu Hamdard specjalizuje się w audycjach dla dzieci i kobiet. Doskonale wie, jakie tematy interesują ludzi. Dzięki niej łatwiej też było sprawdzić, czy nasze programy cieszą się popularnością”, opowiada major Starzyński, współtwórca koncepcji rozwojowej radia.

„Sajopsi” rozpoczęli też akcję promocyjną radia. Przygotowali ulotki, autorskie dżingle, które puszczała lokalna stacja radiowa. Żołnierze rozdawali także odbiorniki radiowe (od początku misji Polacy rozproszili ich kilkadziesiąt tysięcy).

Od VIII zmiany PKW radia można słuchać w całej prowincji Ghazni przez 24 godziny na dobę, ale nie na żywo.

„Mamy niewielkie opóźnienie”, tłumaczy chorąży Amtmann. Po pierwsze, nasze materiały muszą być przetłumaczone na dari i paszto, a po drugie chcieliśmy uniknąć na antenie głosu rebeliantów, którzy potrafia zadzwonić, żeby nawoływać do ataku na siły koalicyjne”.

Oferta programowa jest bogata. Ramówka w jednej czwartej opiera się na spotach radiowych, które łączone są w kilkunastominutowe bloki. Dodatkowo w eter puszczane są informacje dotyczące bieżących wydarzeń. Wszystko przeplatane jest muzyką (naprzemiennie piosenki w językach dari i paszto). Nie brakuje też bollywoodzkich hitów, które Afgańczycy uwielbiają.

„Nie lubią za to ciężkiego grania, ale hinduskie kawałki i niektóre z polskich utworów przypadły im do gustu”, opowiada chorąży Kozicki. Wspomina, że kiedyś do bajek dla dzieci przygotował podkład z polskiego serialu „Janosik”. Melodia ta spodobała się zwłaszcza afgańskiej dziennikarce. Popularnością wśród słuchaczy cieszyła się też piosenka Urszuli „Dmuchawce, latawce, wiatr”.

Na antenie można usłyszeć wiadomości podawane w dwóch językach, audycje tematyczne, wywiady. Materiały publikowane są cyklicznie, każdemu towarzyszy zapowiedź dźwiękowa, żeby w słuchaczach wyrobić nawyk i nauczyć ich rozpoznawania konkretnych programów. Popularnością cieszyły się koncert życzeń, wszelkiego rodzaju programy edukacyjne, w szczególności dotyczące historii Afganistanu, czytana poezja i lekcje języka angielskiego na poziomie podstawowym.

Radiowcy oceniają, że dobrym pomysłem było uruchomienie telefonu do radia. Udało im się nawiązać kontakt ze słuchaczami, którzy nie szczędzili słów krytyki i pochwał. Dzięki rozmowom telefonicznym personel radia wiedział, co się ludziom podoba, jakie mają oczekiwania, a co należy zmienić.

„Radio cieszy się coraz większym zaufaniem Afgańczyków”, twierdzi pułkownik Marek Dragan, dowódca CGDP. „To wielka wartość zarówno dla nas, jak i mieszkańców Ghazni. Zadania wykonywane w Afganistanie dają nam satysfakcję oraz pozwalają zrozumieć lokalną społeczność, a uzyskana wiedza i umiejętności są kapitałem na przyszłość”.

TERAZ POLSKA

Dowódca „sajopsów” przyznaje, że warto już dziś pomyśleć o tym, jak wykorzystać doświadczenie zdobyte w Afganistanie.

„Może w celach szkoleniowych oraz podtrzymania kwalifikacji, zwłaszcza specjalistów sekcji radiowej, w kraju warto zorganizować radio wojskowe”, twierdzi dowódca CGDP pułkownik Marek Dragan. „Tak robią inne armie, na przykład amerykańska i niemiecka”. Byłoby to doskonałą szkołą dla radiowców, którzy bez przerwy szlifowaliby swoje umiejętności pod kątem wykorzystania ich w misjach. Dotychczas żołnierze, kiedy przygotowują się do obsługi radia w Afganistanie, korzystają z uprzejmości lokalnej, bydgoskiej rozgłośni radiowej, gdzie czasami praktykują. Gdyby zajęli się własnym projektem, mogliby sami usiąść za mikrofonami. Infrastruktura częściowo jest już gotowa, ponieważ Centralna Grupa Działań Psychologicznych dysponuje w Bydgoszczy studium dźwiękowym.

O pomysłach na rozgłośnię radiową dla polskich żołnierzy w kraju i Afganistanie oraz cywili za wiele jeszcze mówić nie chcą. Wszystko jest bowiem w sferze planów. Wojskowi radiowcy z Bydgoszczy przyznają, że marzy im się, by za pomocą swoich audycji pokazywać wojsko. Chcieliby między innymi przyczynić się do tego, by na forach internetowych pojawiało się dzięki lepszej informacji mniej wpisów obrażających polskich żołnierzy.

„Koncepcja jest już przygotowana, czeka na konsultację i przychyłność przełożonych”, dodaje dowódca CGDP. „Koszty są niewielkie, a korzyści szkoleniowe, informacyjne i edukacyjne ogromne”.

Idea jest taka, by radio tworzone przez „sajopsów” z Bydgoszczy było dostępne przez internet. Jeśli projekt się sprawdzi, żołnierze będą zabiegać o przyznanie częstotliwości i zgodę na to, by nadawać w eterze.

„Chcielibyśmy, żeby było to ogólnopolskie radio tematyczne, różniące się od współczesnych komercyjnych rozgłośni. Kiedy przez jakiś czas służyłem w Belgii, przeszukując radiowe, częstotliwości trafilem na radio prowadzone przez amerykańskich żołnierzy. Myślę, że fajnie byłoby mieć coś takiego w Polsce”, przyznaje chorąży Amtmann.

„Puszczalibyśmy dobrą muzykę i wiadomości”, przekonują radiowcy. Audycje wypełniałyby treści związane z wojskiem, historią oręża polskiego, szeroko rozumianymi militariami. Żołnierze przeprowadzili wstępne badania marketingowe w sprawie nazwy. Największą popularnością cieszą się WOJ FM i Wojskowe FM. ■

Czy Twoi podwładni potrafią
obsługiwać radiostacje F@stnet?

NIE?...Mamy rozwiązanie!!!

TRENAŻER RADIOSTACJI F@STNET

- pojedynczy zestaw umożliwia samokształcenie z obsługi radiostacji
- już dwa zestawy umożliwiają naukę pracy w sieci
- nauczanie e-learning
- interakcja z rzeczywistą radiostacją
- symulacja łączności w działaniach bojowych
- wielopoziomowe kursy operatorów



Stan podgorączkowy

W Kosowie służy zaledwie 120 polskich żołnierzy, niewielu w porównaniu z misją afgańską.

KAROLINA KAMIŃSKA

Kosowo – jedno z najmłodszych państw świata – odwiedziłam nie bez powodu. Kiedy szykowałam się do wyjazdu, szukałam różnych publikacji o tym regionie. Uświadomiłam sobie wówczas, jak mało – odkąd bierzemy udział w operacji w Afganistanie – pojawia się w mediach informacji o sytuacji na Bałkanach czy misji polskich żołnierzy.

XXVI zmianę Polskiego Kontyngentu Wojskowego KFOR w Kosowie wystawiali żołnierze z 4 Pułku Przeciwlotniczego w Czerwińsku – zaledwie 120 Polaków. Kolejna przypada w udziale żołnierzom z 5 Pułku Artylerii z Sulechowa. Można ich spotkać między innymi w amerykańskiej bazie Bondsteel na południu Kosowa, w niewielkiej górskiej bazie Nothing Hill oraz w Prisztinie, gdzie mieści się Kwatera Główna KFOR.

W czasie dwutygodniowego pobytu w Kosowie odwiedziłam między innymi bazę Bondstell niedaleko miejscowości Urocevac, Prisztinę, pojechałam także do Mitrovicy – miasta stanowiącego niewidzialną granicę dzielącą Kosowo na północ i południe. Miałam też okazję przekonać się, jak żyją żołnierze w Nothing Hill niedaleko Leposavica. Odwiedziłam Prizren – miasteczko, które

w innych realiach politycznych mogłoby stanowić dużą atrakcję turystyczną.

WIZYTÓWKA

**KAROLINA
KAMIŃSKA**

Jest dziennikarką Polskiego Radia Regionalnej Rozgłośni „Radio Zachód” w Zielonej Górze. Pracuje jako reporter, przygotowuje serwisy informacyjne. Od pięciu lat w województwie lubuskim zajmuje się tematyką wojskową. W 2011 roku (IX zmiana PKW Afganistan) była korespondentką Radia Zachód w Afganistanie, w 2012 roku wyjechała do Kosowa.

KOSOWO JEST SERBSKIE?

Pierwsze wyjazdy poza bazę Bondsteel dają mi złudne poczucie, że w nieuznawanym przez część państw kraju toczy się zwyczajne życie. Patrol bez hełmu i kamizelki kuloodpornej, bez strachu, jak w Afganistanie, że za chwilę wyjazd przerwie IED lub ostrzał z RPG. Im dalej się jednak jedzie na północ, tym coraz bardziej zmieniają się te odczucia. Wszechobecne serbskie flagi

na północy kraju powieszono szpalerem na słupach i napisy na co drugim murze „Kosowo jest serbskie” nie pozostawiają wątpliwości, że nie jest tu spokojnie. Billboardy z podobizną premiera i prezydenta Rosji to także jasny sygnał dla każdego, kto wspiera serbskie aspiracje.

„Spójrz na auta. Nie mają w ogóle tablic rejestracyjnych, a jeżeli już jakaś jest, to serbska”, zwrócił mi uwagę jeden z żołnierzy. To forma protestu przeciwko kosowskiemu rządowi i państwu, którego Serbowie, jak wiadomo, nie uznają. Pod koniec sierpnia rząd po raz kolejny poinformował, że będzie egzekwował od odbywateli, zwłaszcza w części serbskiej, obowiązek stosowania na samochodach wyłącznie kosowskich tablic. Po tej



informacji w obawie przed reakcją społeczeństwa polscy żołnierze wzmoczyli czujność.

BAŁKAŃSKIE NOTHING HILL

„Tu wystarczy jedna iskra, by na Bałkanach znów zrobiło się gorąco”, usłyszałam od żołnierzy w bazie Nothing Hill, która ze względu na wąską drogę dojazdową i łańcuch górski otaczający teren zajmowany przez Polaków w razie jakiegoś konfliktu mogłaby być łatwym celem dla Serbów. Za pozostaniem w tym miejscu przemawia jednak jeden argument – stąd wszędzie blisko. Wszędzie, gdzie może się coś wydarzyć.

Żołnierze mogą trzymać rękę na pulsie dzięki tak zwanym OP (observation point), które mają na

celu niedopuszczenie do blokady głównych dróg łączących północ z południem.

„Pytamy kierowców, gdzie jadą”, opowiada kapitan Remigiusz Rudykow. „Zdajemy sobie bowiem sprawę, że Serbowie są przygotowani do zablokowania dróg w strategicznych miejscach”.

Czy tak jest rzeczywiście? Kiedy jedzie się drogą za Mitrovićą, mimo trzydziestostopniowego upału odnosi się wrażenie, jakby zima była za pasem. Niemal przy każdym zakręcie stery dać bowiem gigantyczne sterty bel drewna. To jednak pozory.

„W sytuacji kryzysowej wystarczy moment, by za pomocą tych bel i ciężarówek sparaliżować



Most na rzece Ibar w Mitrovićy



Observation point na drodze między Mitrovićą a Prisztiną



Nothing Hill



W Kosowie obok cerkwi i monasterów pojawiają się nowe meczety.



Kosowe Pole pod Prisztiną



W KOSOWIE NA
PIERWSZY RZUT OKA
PANUJE SPOKÓJ.
WYSTARCZY JEDNA
ISKRA, BY
ZNÓW ZROBIŁO SIĘ
GORĄCO

ruch”, tłumaczy sierżant Marek Cenja, który pełni służbę na OP w Soczenicy. Uwagę zwracają także puste ciężarówki i naczepy, które stoją przy głównej trasie na północ. Oczy dookoła głowy – to dewiza, która przyświeca tu mundurowym. Nawet z pozoru niewinne zatrzymanie się serbskiego auta na poboczu, próba obserwacji mundurowych z ukrycia to sygnały, że na tej umownej granicy między północą a południem kraju coś może się wydarzyć.

ZAWSZE W GOTOWOŚCI

Polacy są przygotowani na sytuacje kryzysowe. Gdyby doszło do jakiegokolwiek incydentu, polscy żołnierze wysłaliby Siły Szybkiego Reagowania (Quick Reaction Force, QRF) na rozpoznanie. Obecnie QRF to jeden pluton znajdujący się pod dowództwem kapitana Rudykova. „Mają godzinę, by być w pełnej gotowości i udać się w rejon zamieszek”, tłumaczy. →

ARCHIWUM K. KAMIŃSKIEJ (6)

„Czy rzeczywiście czuje się to napięcie na granicy?“, pytam żołnierzy pełniących służbę poza bazą. Ci, zamiast komentarza, pokazują niewielkie namioty, w których siedzą mężczyźni opłacani przez Serbię. Taki „stójkowy” ma obserwować siły KFOR, ruch na granicy, a na sygnał zablokować przejazd. Serbowie przyglądają się także polskiej policji działającej w ramach EULEX i służbom celnym, które mają za zadanie między innymi pilnować, by nieocelony towar nie przekroczył granicy. W zablokowaniu niekontrolowanego przepływu dóbr z północy na południe ma pomóc, przynajmniej częściowo, wystawiany przez Polaków Vehicle Check Point (VCP). Na takim posterunku żołnierze mają prawo zatrzymać i skontrolować kierowcę.

„Jeśli przewozi nieocelony towar, jest przez nas kierowany na Gate-1 [przejście graniczne między Kosowem a Serbią], gdzie przejmują go już celnicy”, dodaje jeden z misjonarzy. Takie działania polskich policjantów i żołnierzy KFOR nie przysparzają im sympatii wśród miejscowej ludności (oprócz żołnierzy w Kosowie jest 115 policjantów z jednostki specjalnej polskiej policji).

Szybkie reagowanie w wypadku zamieszek, blokady dróg i mostów oraz rozdzielanie zwaśnionych grup etnicznych to tylko część zadań, z którymi muszą się tam zmierzyć. Pojawiające się na murach napisy „EULEX go home” nie wymagają komentarza. Czasem jednak niechętnie spojrzenia i słowa przeradzają się w czyn. Na początku września z broni automatycznej ostrzelano konwój Unii Europejskiej. Rany odniósł policjant, a dwa samochody ochraniające, w tym jeden EULEX-u, zostały uszkodzone.

DWA NARODY – JEDNO MIASTO

W spornym mieście Mitrovica – zamieszkiwanym po jednej stronie rzeki Ibar przez Serbów, a po drugiej przez Albańczyków – także czuć napiętą atmosferę. Most po dawnych zamieszkach blokuje gigantyczna sterta gruzu i piachu. Każdy Serb i Albańczyk zdaje sobie sprawę z tego, że nie warto tamtędy przekraczać rzeki. W Leposaviciu i Mitrovicy doszło we wrześniu do kilku ataków skierowanych przeciwko lokalnej serbskiej władzy i policji.

Na północy Kosowa strach odezwać się po albańsku. W południowej części natomiast nie każdy głośno przyzna się, że jest Serbem.

„W południowej i wschodniej części Kosowa są niewielkie enklawy serbskie”, opowiada podpułkownik Adam Luzyńczyk, dowódca XXVI zmiany KFOR. Na życie tutaj decyduje się niewielu Serbów. Liczni pod wpływem presji albańskiej wyjeżdżają.

„W rejonie Graczanicy czy Strpca Albańczycy płacą Serbom po kilkaset tysięcy euro za opuszczenie swoich domów, by tylko enklawy zniknęły z mapy Kosowa, a niechciani mieszkańcy się wynieśli”, dodaje podpułkownik. Czasem próby przekonania opornych kończą się tragicznie. Na początku września zostało zamordowane serbskie małżeństwo, które zdecydowało się powrócić w rodzinne strony, na południe Kosowa.

Walki narodowe to niejedyny problem, z którym borykają się na Bałkanach polscy żołnierze. Podpułkownik Luzyńczyk zwraca także uwagę na narastające zjawiska kryminalne: „Kwitną tu handel ludźmi, przemyt broni, handel narkotykami. Tędy przechodzą narkotykowe kanały przerzutowe do Europy”.

DLA ODWAŻNYCH TURYSTÓW

Niektórzy Polacy chcą zobaczyć Kosowo mimo napiętej sytuacji w tym kraju. W Prizren spotkałam dwóch Polaków. Piotr Brzozowski i Maciej Michałkiewicz fotografowali obiekty sakralne na Bałkanach. Podzielili się ze mną refleksjami po rozmowie z jednym z kosowskich emigrantów, który na co dzień mieszka w Belgii. Przez cztery godziny opowiadał im o swoim dzieciństwie, o godzinie policyjnej, rewizjach, prześladowaniach Albańczyków, gwałtach i mordach bliskich.

„Spójrz na ulice, co widzisz?”, spytał poznanych Polaków emigrant. „Sama młodzież, jesteśmy najmłodszym krajem w Europie. Ci młodzi ludzie pójdą do wojska. Będzie wielka wojna, jakiej Europa jeszcze nie widziała”, roztaczał czarne wizje Albańczyk.

Poznani w Prizren Polacy nie pozostawiają złudzeń. „Jeśli jeszcze chcesz wrócić na Bałkany, jedź, póki jest czas... pokoju”, mówią. ■

PATRONAT POLSKA ZBROJNA



Flyfilm
FESTIVAL

3. MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMÓW LOTNICZYCH

9/10
listopada 2012
Kinoteka / PKiN Warszawa

www.flyfilmfestival.pl

Podporucznik Aleksander Mroczek

Rocznik 1988. Dowódca plutonu rozminowania w 1 Brzeskim Pułku Saperów.

+ **GDYBYM NIE ZOSTAŁ ŻOŁNIERZEM, BYŁBYM DZISIAJ...**

ZAPEWNE INŻYNIEREM. PO MATURZE ZOSTAŁEM PRZYJĘTY RÓWNIEŻ NA WYDZIAŁ BUDOWNICTWA POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ. WYBRAŁEM JEDNAK WOJSKO I NIE ŻAŁUJĘ.

+ **W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBA MI SIĘ...**

PROSTOTA I ELEGANCJA MUNDURU GALOWEGO, PRZYWIĄZANIE DO TRADYCJI, CZEGO PRZYKŁADEM JEST CZAPKA ROGATYWKĄ.

+ **EDUKACJA WOJSKOWA:**

sądzę, że Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych, którą dopiero ukończyłem, jest początkiem mojej edukacji. Jakie uczelnie, kursy i kierunki ukończę w przyszłości – tego jeszcze nie wiem.

+ **NAJWIĘKSZE WOJSKOWE OSIĄGNIĘCIE:**

mianowanie na pierwszy stopień oficerski.

+ **SŁUŻĘ OD:**

27 sierpnia 2007 roku jako podchorąży w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Od 13 września 2012 roku jestem dowódcą plutonu rozminowania w 1 Brzeskim Pułku Saperów.

+ **UDZIAŁ W MISJACH:**

nie miałem jeszcze okazji brać udziału w żadnej misji. Fascynuje mnie jednak kultura Bliskiego Wschodu. Znam język arabski i mam nadzieję, że kiedyś wyjadę służbowo do tej części świata.

+ **ULUBIONA BROŃ:**

ROZBRAJAJĄCY UŚMIECH I UROK OSOBISTY (ŚMIECH)

+ **ULUBIONY FILM LUB ZESPÓŁ MUZYCZNY:**

podobają mi się filmy z Russellem Crowe i Melem Gibsonem. Słucham muzyki, głównie rozrywkowej, szczególnie gdy prowadzę samochód albo biegam. W wolnej chwili sięgam też po książki. Najczęściej są to reportaże Ryszarda Kapuścińskiego, Wojciecha Jagielskiego i Jacka Pałkiewicza.

+ **GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU, ZMIENIŁBYM...**

chciałbym przyczynić się do rozwoju armii, ale żebym miał wpływ na zmiany, muszę się najpierw dobrze zaznajomić ze stanem obecnym, co właśnie robię.

+ **OCENA Z EGZAMINU Z WF:**

z wychowaniem fizycznym nigdy nie miałem problemów. Przedmiot ten zaliczyłem oczywiście na ocenę bardzo dobrą.

+ **ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO...**

MOGĘ REALIZOWAĆ MARZENIA, SŁUŻYĆ KRAJOWI, SPEŁNIAĆ OBOWIĄZEK WOBEC OJCZYZNY. ROBIĆ COŚ, CO MIEŚCI SIĘ W SŁOWIE „PATRIOTYZM”. WOJSKO JEST RÓWNIEŻ SZANSĄ NA ROZWÓJ OSOBISTY I DOBRE PERSPEKTYWY.

+ **ZA 10 LAT BĘDĘ...**

bez wątplenia starszy, ale mam nadzieję, że również bogatszy o nową wiedzę i doświadczenia. Chciałbym także w tym czasie zapracować na awans.

+ **ZA 10 LAT NASZE WOJSKO BĘDZIE...**

mam nadzieję, że bardziej nowoczesne i darzone szacunkiem społecznym.

+ **MOJE HOBBY:**

lubię wysiłek fizyczny, przepadam też za podróżami po krajach Orientu.





40-letnie doświadczenie Bumar sp. z o.o. na krajowych i międzynarodowych rynkach pozwala z powodzeniem realizować kontrakty na dostawy sprzętu zarówno dla wojska, jak i innych służb: policji, straży granicznej, grup antyterrorystycznych.

Wyposażenie specjalistyczne dostarczamy także służbom cywilnym, między innymi do krajów dotkniętych zniszczeniami w wyniku działań wojennych czy klęsk żywiołowych. Bierzymy też udział w realizacji programów offsetowych.



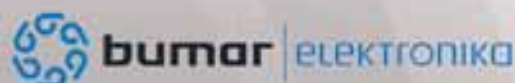
Bumar Ląd – sprzęt pancerny, w tym: czołgi, wozy zabezpieczenia technicznego, mosty, maszyny inżynieryjno-drogowe, trenażery i symulatory, remonty i modernizacja, wielozadaniowa platforma bojowa „ANDERS”.



Bumar Amunicja – amunicja mało- i średniokalibrowa, pistoletowa i rewolwerowa oraz o ograniczonym rykoszecie, systemy raketowe, zapalniki, splonki, amunicja moździerzowa, granaty, amunicja do granatników, amunicja bombowa, prochy nitrocelulozowa, flary, amunicja sygnałowa, ładunki wybuchowe, miny.



Bumar Żołnierz – broń osobista (pistolety, karabiny szturmowe), karabiny snajperskie, optoelektronika, zdalnie sterowane systemy uzbrojenia, różne rodzaje ciężkich karabinów maszynowych, granatniki i moździerze, a także kompleksowe rozwiązania w zakresie indywidualnego sprzętu ochronnego (m.in. hełmy, kamizelki kuloodporne, inne ubrania ochronne, np. NBC). Projekt systemu indywidualnego wyposażenia Żołnierza Przyszłości.



Bumar Elektronika – systemy radarowe, systemy automatyzacji dowodzenia, przeciwlotnicze systemy artyleryjskiej raketowej, systemy identyfikacji swój-obcy, systemy ochrony informacji i sprzęt pola walki, kompleksowe systemy obrony powietrznej. Projekt narodowego, kompleksowego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwraketowej TARCZA POLSKI.



Bumar sp. z o.o.

Al. Jana Pawła II, nr 11, 00-828 Warszawa, Polska
tel. +4822 314 15 71, +4822 314 15 95, fax +4822 314 15 39
www.bumar.com

Zimno okrutne

Przypominanie **zawodowym żołnierzom** o tym, że zimą jest zimno i trzeba się ciepło ubrać, założyć czapkę i rękawiczki, mogłoby zakrawać na kpinę. Gdyby nie rzeczywistość...



PIOTR BERNABIUK
NARCZYŻ SADŁOŃ

W rzeczywistości widok bezradnie skulonych na mrozie profesjonalistów, z rękami w kieszeniach, nie jest wcale czymś wyjątkowym. Z analizy dziesiątków przypadków medycznych i doświadczenia zbieranego w wojskowym i górskim szkoleniu wynika, że kłopoty z zimą zaczynają się najczęściej w sytuacjach oczywistych i banalnych, kiedy zabraknie chociażby umiejętności przewidywania. Stąd, zanim się wpakujemy w tarapaty, powinniśmy wypracować sobie procedury postępowania czy też raczej rytuały.

Podczas przygotowywania planu taktycznego oprócz zadań bojowych należy skrupulatnie przeanalizować warunki działania. Przeprowadzić wizualizację pokonywanego terenu, zaplanować poziom wysiłku z uwzględnieniem pogody, dobrać do tego wyposażenie, odzież, żywność i płyny do nawadniania organizmu. Następnie przeprowadzić w zespole grę wyobraźni, polegającą na wymyśleniu możliwych i niemożliwych sytuacji awaryjnych. Na zakończenie poszukać odpowiedzi na pytanie: Co zrobimy, gdy się zdarzy najgorsze?! A potem można się już pakować i w drogę.

GRA Z NATURĄ

W zimowej rozgrywce z naturą liczą się przede wszystkim cztery zewnętrzne czynniki – temperatura, wilgotność powietrza, siła wiatru oraz czas ich oddziaływania. Pominięcie jednego z nich może się zakończyć niepowodzeniem misji. Należy też w kalkulacjach uwzględnić siebie

samego, ze swoimi osobniczymi właściwościami. Podejźmy do tego prosto: jesteśmy urządzeniem energetyczno-termicznym, funkcjonującym sprawnie przy temperaturze wewnętrznej 36,6 stopnia Celsjusza. Paliwem jest żywność, wytworzona z niego energię ciepłą rozprowadza krwiobieg. Do tego mamy izolację ciepłą w postaci tkanki tłuszczowej. Nie znaczy to jednak, że osoby otyłe mają lepiej, borykają się one bowiem często z kłopotami z krążeniem, a to zjawisko bardzo niekorzystne w niskiej temperaturze. Należy więc dobrze w naszym piecu palić, kumulować ciepło, uważając, by nie uciekało. A ucieka, gdy nie jesteśmy odpowiednio izolowani lub poprzez wyczerpaną pracę wydajemy energię. Ludzkie ciało ma jeszcze tę właściwość, że może osłabić swą odporność na surowe warunki zimowe poprzez zmęczenie i wiążący się często z nim stres. Psychika ludzka potrafi być w skrajnych warunkach destrukcyjna, samoniszcząca, ale również dokonywać cudów ocalenia, przekraczając wszelkie, wypracowane przez naukowców i praktykę, granice przetrwania.

W ZASADZCE

Żołnierz spędzający wiele czasu niemalże w bezruchu, w zasadzce lub na punkcie obserwacyjnym, powinien kumulować ciepło, zapewnić sobie izolację od podłoża, osłonę od wiatru i śniegu. Jeśli nawet nie ma specjalistycznego wyposażenia, takiego jaki posiadają specjaliści, powinien urządzić sobie termos. Najpierw więc położyć na ziemi karimatę lub gałęzie, a na nie

PIOTR
BERNABIUK

Od kilkudziesięciu lat zbiera doświadczenia dotyczące funkcjonowania żołnierzy w skrajnych warunkach, eksperymentuje również na sobie. Wykładowca sztuki przetrwania i organizator survivalowych symulacji.

MAJOR LEKARZ
NARCZYŻ SADŁOŃ

Wychowany w Tatrach, wielokrotnie zapuszczał się także w Alpy i Himalaje. Startuje w rajdach ekstremalnych i uczestniczy w rozmaitych wyprawach, bada funkcjonowanie człowieka w skrajnych sytuacjach. Pracuje w szpitalnym oddziale ratunkowym, ponadto prowadzi szkolenia, między innymi dla specjalistów, z zakresu ratownictwa pola walki i w sytuacjach ekstremalnych.





W SZTUCE PRZETRWANIA I RADZENIA SOBIE W NAJTRUDNIEJSZYCH SYTUACJACH NAJWAŻNIEJSZE SĄ NADZIEJA I MYŚLENIE.

Jeśli masz nieprzepartą wiarę w sukces i z głową zabierzesz się do rzeczy, zawsze znajdziesz wyjście z sytuacji. Do tego zestawu dobrze jest dołożyć jak najlepszą teorię, wspartą własnym doświadczeniem. Stąd w cyklu „Na własnej skórze” będziemy korzystali ze wsparcia żołnierzy, którzy w trudnych sytuacjach dali radę, ponieważ działali z głową, wierzyli w sukces i podpierali się najlepszą wiedzą.

Jeśli żołnierz włoży na siebie zestaw odzieży termoaktywnej, po czym przycisnie to kamizelkę i wszystkim, co powinien mieć na sobie, to z tego „oddychania” ciuchów nic nie będzie. Zablockowanie odparowania potu przy silnych mrozach stanowi większe zagrożenie niż działanie przeciwnika.

płachtę lub folię. Ratownicza folia NRC nic nie waży i nie zabiera miejsca, przydaje się za to w wielu sytuacjach. Jeśli nie ma lepszego rozwiązania, możemy wydrążyć też jamę w śniegu, gdzie przy silnym mrozie temperatura będzie wyższa niż na zewnątrz.

Nasza energia cieplna będzie się wówczas wyczerpywała wolniej, aczkolwiek z czasem nastąpi konieczność uzupełnienia „paliwa”. Niezbędne jest więc doładowanie kalorii, a także wchłanianie płynów, najlepiej ciepłych. Ogromnie przydatne są tu dobry termos lub możliwość podgrzania napoju i posiłku. W racjach suchych pojawiło się już kilka typów podgrzewaczy, począwszy od paliwa w kostkach po zestawy chemiczne, które grzeją po zalaniu wodą.

Ogrzewać powinniśmy również ciało. Dobrze więc mieć zawsze przy sobie podgrzewacze chemiczne, działające wiele godzin. Rozmieszczenie ich w strategicznych punktach ciała jest znacznie lepszym rozwiązaniem, niż palenie ogniska, które przeciwnik łatwo może zdemaskować.

W RUCHU

zupełnie inaczej sprawy się mają, gdy patrol wykonuje zadanie bojowe w trakcie przemieszczania się na długim dystansie. Pokonując marszem wiele kilometrów, ze znacznym obciążeniem, musimy pilnować wydatkowania zasobów „paliwa”, czyli bilansu kalorycznego. A także, w miarę możliwości, unikać wilgoci odprowadzającej na zewnątrz ciepło.

Biorąc przykład z takich wojskowych mistrzów przetrwania w niskich temperaturach, jak Norwegowie, Szwedzi oraz żoł-

nierze jednostek alpejskich, zimą, przy panującym mrozie, nie należy działać forsownie. Jeśli sytuacja taktyczna nie wymusza znacznego i gwałtownego wysiłku, powinniśmy włączyć opcję ekonomiczną.

„Napieranie na maksa” jest na dłuższą metę nieefektywne, a ponadto zakłóca termoregulację ciała. Nie trzeba też mieć wiele wyobraźni, by przewidzieć, co się stanie, gdy spocony żołnierz, w mokrej odzieży, będzie niespodziewanie musiał zalec w śniegu, chociażby na kilka kwadransów. To może się dla niego źle skończyć!

Jeśli już jesteśmy spoceni i robi się zimno, powinniśmy zrzucić to, co mokre, założyć suche. Absolutną więc koniecznością jest posiadanie dwóch kompletów, a jeszcze lepiej trzech, termoaktywnych majtek, koszulek i skarpet. W przypadku białej termoaktywnej, jeśli potu nie ma na nas zbyt wiele, można suszyć ją na sobie, ale tylko dotąd, dopóki nie poczujemy wychładzania ciała. Najlepszym jednak sposobem jest wystawienie jej na mróz, a gdy się zamieni w zbroję, wykruszenie lodu. Działanie w warunkach polarnych to nieustanne przebijanie się i troska o suche ubranie i ciało.

W przypadku stosowania odzieży standardowej w zasadzie trudno mówić o możliwości długotrwałych i intensywnych działań taktycznych zimą. Hasło: „Bawelna zabija!”, nie wzięło się znikąd. ■

W grudniowym poradniku opowiemy, jak uniknąć odmrożeń i hipotermii, a także co zrobić, gdy już stanie się najgorsze.

AW149

Najlepsze polskie rozwiązanie

W obronie Ojczyzny



Sily Zbrojne RP potrzebują niezawodnych rozwiązań oraz niezrównanej mobilności niezależnie od tego, gdzie i kiedy są potrzebne.

AW149 to jedyny na świecie wojskowy śmigłowiec stworzony w XXI wieku aby sprostać współczesnym wymaganiom wojskowym. Zaprojektowany przez inżynierów AgustaWestland i PZL-Świdnik, AW149 uosabia wkład polskiego know-how, wiedzy i doświadczenia. To śmigłowiec o doskonałych osiągnięciach i wyjątkowej wszechstronności. Produkowany w PZL-Świdnik, jedynym przedsiębiorstwie w Polsce zdolnym do samodzielnego projektowania, produkcji i rozwoju śmigłowców własnej konstrukcji. AW149 to wielozadaniowa platforma gotowa do wsparcia żołnierzy na polu walki, obrony Ojczyzny i ochrony społeczeństwa.

www.pzl.swidnik.pl



PZL-ŚWIDNIK S.A.



AgustaWestland
A Finmeccanica Company

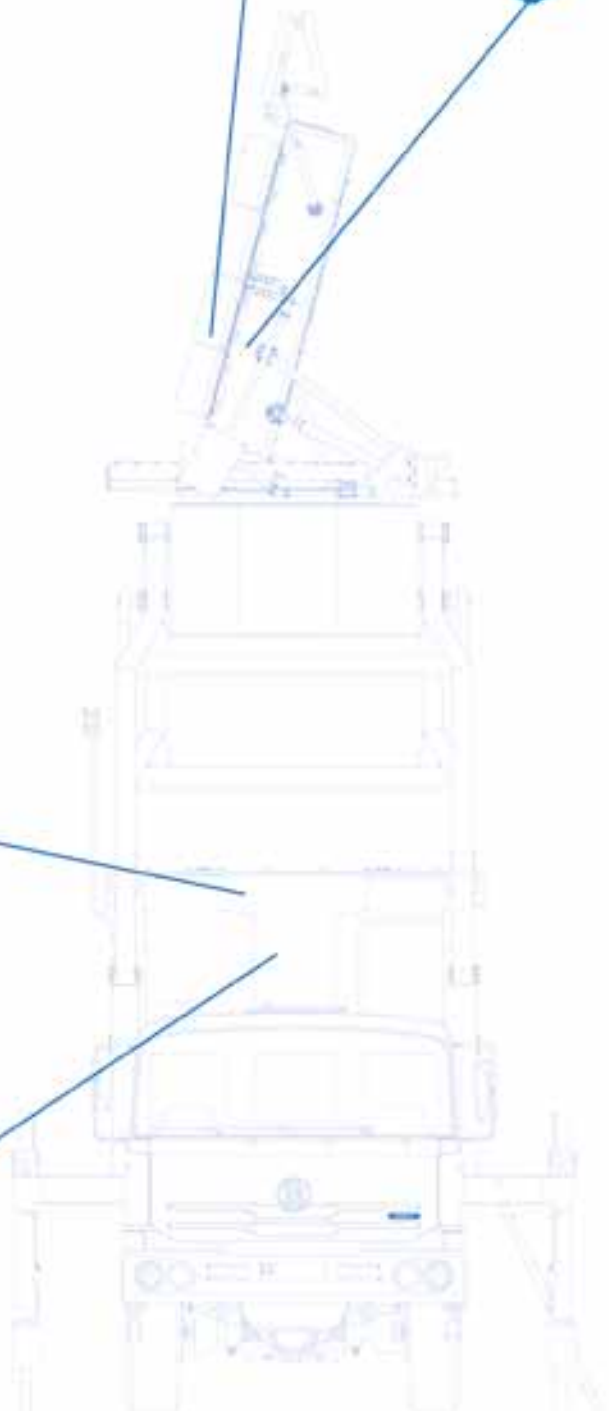
INNOWACJE DLA OBRONNOŚCI POLSKI

www.bumar.com/elektronika

OD PONAD 75 LAT ROZWIJAMY
POLSKĄ MYŚL TECHNICZNĄ

INWESTUJEMY W TECHNOLOGIE
PODNOŚĄC POTENCJAŁ OBRONNY KRAJU

INNOWACYJNOŚCIĄ ZDOBYWAMY
UZNANIE W KRAJU I ZA GRANICĄ



PIOTR CIESIELSKI był dobrym żołnierzem, opanowanym, zawsze starał się wykonać zadanie – tę opinię dowódcy 20 Brygady potwierdzają koledzy.

NIE TAK SIĘ UMAWIALIŚMY

Podobno pierwsza rocznica jest najtrudniejsza. Koledzy z brygady będą ich wspominać. Męska przyjaźń? Więcej. Mówią, że to było braterstwo.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Bartoszycka brygada wielokrotnie wystawiała kontyngenty wojskowe w zagranicznych misjach. Jej żołnierze służyli w Kosowie, Iraku, Czadzie i ostatnio w Afganistanie. Wracali szczęśliwie. Aż do X zmiany PKW Afganistan. Pięciu zginęło w grudniu ubiegłego roku pod Hindukuszem w trakcie wykonywania zadania bojowego. Dwoch służyło w Bartoszycach, trzech – w Morągu.

„To pierwsze straty. Oby ostatnie”, mówi z troską generał brygady Jarosław Mika, dowódca Dwudziestej, bo sześciu żołnierzy teraz tam służy, a dwóch przygotowuje się do wyjazdu.

„Pamiętamy o chłopakach, mają swoje miejsce w historii brygady, staramy się dedykować im nasze sukcesy”, zapewnia dowódca. Utrzymują także bliskie kontakty z rodzinami. Każda z nich ma opiekuna, który czuwa niczym anioł stróż.

Gdy generał Mika objął obowiązki dowódcy 20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej, dowódca Wojsk Lądowych skierował go do Afganistanu – na stanowisko zastępcy dowódcy regionu wschodniego do spraw koalicji. Czekał na swoich żołnierzy na miejscu, kiedy przyjeżdżali na X zmianę. Każdego starał się powitać, jeśli nie na płycie lotniska, to w bazie Bagram.

Starszy kapral Piotr Ciesielski z Ostródy, starszy szeregowy Łukasz Krawiec spod Rzeszowa, starszy szeregowy Marcin Szczurowski z Morąga, starszy szeregowy Marek Tomala z Bartoszczyk oraz szeregowy Krystian Banach z okolic Morąga trafili do Zespołu Odbudowy Prowincji (PRT). Mieli ochraniać specjalistów zajmujących się budową infrastruktury i pomocą lokalnej ludności. Afganistan ich nie zaskoczył, wiedzieli, że to inny świat, inna kultura i wartości. Wiedzieli, że zagrożenie bę- ➔



ŁUKASZ KRAWIEC po powrocie z Afganistanu chciał się zaręczyć.



To była pierwsza misja **MARCINA SZCZUROWSKIEGO**.



MAREK TOMALA był świetnym kucharzem – potrafił wspaniale przyrządzić to, co złowił. W Afganistanie zdążył jeszcze przygotować rybę wigilijną.

dzie im towarzyszyć na każdym kroku, w bazie i na patrolach. Dowódca X zmiany generał brygady Piotr Błazeusz wspomina, że sekcja, w której służyli, zapewniała mu bezpieczeństwo, gdy wyjeżdżał poza bazę. „To był zgrany zespół, który dobrze realizował postawione mu zadania”, mówi. Czuł się bezpiecznie, gdy z nimi jeździł. Zapamiętał Piotra Ciesielskiego, bo było widać, że to żołnierz z krwi i kości.

21 grudnia 2011 roku. Ostatni dzień, gdy generał Mika pełnił obowiązki zastępcy dowódcy regionu wschodniego do spraw koralicji. Na siedemnastą zaplanowano pożegnanie w mesie oficerskiej w Bagram. O jedenastej dotarła wiadomość o ataku.

„To był sądny dzień dla naszego kontyngentu. Zostaliśmy uderzeni w samo serce”, mówi generał Błazeusz.

Afgańscy rebelianci podkładają improwizowane ładunki wybuchowe – to ich główna broń w walce z afgańskimi i koalicyjnymi siłami bezpieczeństwa. Tania, prosta, trudno wykrywalna i, niestety, czasami zabójcza. Tego dnia na Highway 1 – głównej drodze łączącej Kabul z Kandaharem – ponadstukilogramowy ładunek odpalony został ręcznie, za pomocą kabla, którego resztki znaleźli żołnierze badający miejsce tej tragedii.

Czterokołowy opancerzony wóz typu M-ATV produkcji amerykańskiej, specjalnie zbudowany do ochrony przed takimi ładunkami, rozpadł się na trzy części. Starszy kapral Piotr Ciesielski, starszy szeregowy Łukasz Krawiec, starszy szeregowy Marcin Szczurowski, starszy szeregowy Marek Tomala i szeregowy Krystian Banach zginęli na miejscu. Najmłodszy miał 22, najstarszy 33 lata.

Generał Błazeusz uczestniczył wówczas w obradach szury [spotkanie starszyny] w dystrykcie Zana Khan. Właśnie wsta-

wał, by przemówić do zgromadzonych Afgańczyków. Chciał ich zapewnić, że wojska zachodnie są po to, żeby im pomóc, że oni muszą przejść odpowiedzialność za swój kraj. Wtedy podszedł żołnierz i szepnął mu do ucha, że zginęło trzech żołnierzy. Kazał potwierdzić i wezwać śmigłowce, aby wrócić do bazy w Ghazni. A potem przemówił.

Gwałtownie pogorszyła się pogoda. Przy silnym wietrze śmigłowiec nie mógł wystartować. Generał Błazeusz czekał ponad godzinę. Odruchowo wziął od kogoś papierosa, a przecież nie pali. Dopiero wieczorem zauważył, że jego ręce czują nikotyną.



KRYSTIAN BANACH kochał wyścigi, lubił adrenalinę, ale jeździł bezpiecznie.

AFGANISTAN ICH NIE ZASKOCZYŁ, WIEDZIELI, ŻE ZAGROŻENIE BĘDZIE IM TOWARZYSZYĆ NA KAŻDYM KROKU, W BAZIE I NA PATROLACH

ARCHIWUM PKW AFGANISTAN (6)

Szeregowy Paweł Gałuszka, zaprzyjaźniony z chłopakami z plutonu, słyszał tamten wybuch, ale że te zdarzały się często, to nie zwrócił na niego specjalnie uwagi. „Pewnie nasi ćwiczą, to wybuch kontrolowany”, pomyślał. Po kilku minutach przez radio podano komunikat o zamachu na PRT. Razem z kolegami czekał na kolejne doniesienia. Znał wszystkich chłopaków z tego zespołu, bo pochodzili albo z Bartoszcyc, albo z Morąga. Zadzwoił na komórkę do Marcina, potem do Krystiana i Łukasza. Zgłosiła się poczta. „Może zagłuszyli sygnał?”, pomyślał z nadzieją. Było po siedemnastej, gdy na wąskim i długim korytarzu w budynku koszarowym w bazie Ghazni kilkudziesięciu żołnierzy stało wpatrzonych w ekran telewizora. Padły nazwiska.

Kapral Rafał Mista, saper, przyjaciel Piotra, pojechał następnego dnia na miejsce wypadku. Ocenia, że był to „śpioch”, który mógł tam leżeć kilka miesięcy. Niewykluczone, że przejechało nad nim dziesiątki patroli. Do dziś myśli, że gdyby jechał w tym konwoju, może by coś zauważył. Koledzy mówią, że ma fart. Może oni by żyli?

W konwoju w sąsiednim wozie jechali starszy kapral Daniel Prusaczyk i starszy szeregowy Ariel Czajkowski. Gdy mówią o wypadku, zdania się urywają, słowa grzęzną w gardle. Co wówczas czuli? Rozpacz, wściekłość, bezradność. Dla generała Błazeusza najbardziej bolesną chwilą było pożegnanie. Pięć owiniętych białą-czerwoną flagą trumien czekało na powrót do kraju. Przez długą chwilę był z nimi sam w śmigłowcu. To bardzo osobisty moment. Żegnał nie tylko swoich żołnierzy, śmierć zabrała żonom mężów, dzieciom – ojców, rodzicom – synów.

Na wigilijnej wieczerzy w bazie Ghazni były barszcz czerwony z uszkami, kompot z suszu i śledzie, które zdążył jeszcze

przygotować Marek Tomala. Stało pięć pustych talerzy. Trudno było znaleźć odpowiednie słowa, aby złożyć życzenia. Generał Błazeusz życzył wszystkim więcej żołnierskiego szczęścia. Powiedział też: „Obyśmy o nich nie zapomnieli, aby ich trud nie poszedł na marne, aby taka tragedia się już nie powtórzyła”.

Kolejny dzień w polskim kontyngencie był normalnym dniem pracy.

ZNICZE POD BRAMA

Minęło zaledwie kilkanaście minut od chwili, gdy media podały informację o śmierci pięciu żołnierzy w Afganistanie, gdy przed jednostką w Bartoszcycach podjechały pierwsze telewizyjne wozy transmisyjne. Zastępca dowódcy pułkownik Wojciech Dobrzyń wiedział, że nie może poddać się emocjom. Trzeba było objąć opieką rodziny poległych i zorganizować wyjazd do Warszawy, aby na Okęciu mogły powitać trumny z ciałami bliskich.

W tym czasie w stolicy przed Pałacem Prezydenckim i Belwederem flagi zostały opuszczone do połowy masztu, a sejm chwilą ciszy oddał hołd pięciu polskim żołnierzom.

Pod bramą 20 Brygady zapłonęły znicze. Anna Rzodkiewicz, której syn Paweł miał być w jednym plutonie z chłopakami, wspomina, że czuła nie tylko żal, że zginęli, lecz także dzieliła ból z rodzinami, które zostały, i z kolegami obwiniającymi się o to, że nie zapobiegli tej śmierci. W każdym urzędzie i sklepie rozmawiano o tragedii. Łały się łzy. Nawet tych, którzy nie znali poległych. Choć zdarzyło się, że ktoś wtrącił złe słowo, że to najemnicy, że pojechali tam po dużą kasę...

Pułkownik Dobrzyń wspomina, że najgorsza była chwila, gdy C-130 siadł na płycie lotniska, opuszczona została rampa i żołnierze wynieśli pięć trumien. Każdy dowódca czuje się odpowiedzialny za swoich żołnierzy, ale jak udźwignąć taką tragedię? „Jestem twardy, ale głos mi się łamał”, przyznaje.

Potem pięć konduktów rozjechało się w pięć różnych stron. Następnego dnia, w Wigilię, w rodzinnych miejscowościach żołnierzy odbyły się pogrzeby. Wszyscy zostali pośmiertnie awansowani.

Młodszy chorąży Piotr Ciesielski spoczął w Ostródzie. Sierżant Marcin Szczurowski został pochowany w Morągu, a sierżant Krystian Banach w Pieckach koło Mrągowa. Pogrzeb sierżanta Marka Tomala odbył się w Borowie koło Annapola, a sierżanta Łukasza Krawca w Jelnie koło Nowej Sarzyny. W kościołach nie mieścili się wszyscy, którzy przyszli ich pożegnać.

ŻYCIE ZA MIŁOŚĆ

„Piotrek, nie tak się umawialiśmy. To ja miałem na Was czekać po powrocie z Afganistanu”, mówił nad urną Piotra Ciesielskiego na cmentarzu w Ostródzie wyraźnie wzruszony generał Mika. Poległy żołnierz miał 33 lata, od sześciu służył w wojsku. Zostawił żonę Annę i dwie córki – czteroletnią Natalkę i roczną Julkę. „Życiem zapłacił za swoją miłość do wojska”, powiedział obecny na pogrzebie minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak.

To był dobry żołnierz, opanowany, zawsze starał się wykonać zadanie. Tę opinię dowódcy 20 Brygady potwierdzają koledzy. Daniel Prusaczyk i Ariel Czajkowski są zgodni, że Piotrek sprawdzał się jako dowódca, miał autorytet, zawsze był dobrze przygotowany do wykonania zadania, mówił, czego oczekuje i jak to ma być zrobione. Umiał słuchać, czasem zażartował, że by rozładować napięcie.





MALGORZATA SCHWARZGRUBER

1 LISTOPADA I 21 GRUDNIA NA PEWNO ZŁOŻYMY KWIATY NA WSZYSTKICH PIĘCIU GROBACH.

Spotkamy się z rodzinami poległych żołnierzy”, zapewnia generał Mika. Znicze zapłoną pod tablicą na ścianie kościoła pod wezwaniem błogosławionego papieża Jana XXIII, a może już wkrótce także pod upamiętniającym misionarzy polmnikiem, na którego postawienie zgodziły się władze miasta. Podobno pierwsza rocznica jest najtrudniejsza. Koledzy w brygadzie będą ich wspominać nie tylko oficjalnie, lecz także w swoim gronie. „Myślmy o nich, nie da się zapomnieć. Oni są z nami”, mówią Daniel Prusaczyk i Ariel Czajkowski. „Łączyła nas mocna więź”. „Męska przyjaźń?”, pytam. „Więcej – mówią – to było braterstwo”.

„Był dobry w tym, co robił. Miał zasady i nimi się kierował. Ambitny, trenował kajakerstwo, a kontakt z wodą wymaga ostrego charakteru”, wspomina chorąży Robert Romańczyk. W konwojach jeździli zazwyczaj razem, on w pierwszym wozie, Piotrek – w ostatnim.

SWOJE CHŁOPAKI

Szeregowy Paweł Gałuszka znał ich wszystkich. Z Markiem Tomalą służył na kompanii logistycznej batalionu dowodzenia. Krystiana Banacha poznał w zasadniczej służbie, a Marcina Szczurowskiego i Tomasza Krawca na szkoleniu przed wyjazdem do Afganistanu. Grali w piłkę nożną, czasem szli na siłownię. Najślabiej znał Piotra, tydzień przed misją wypili razem piwo, pogadali. Z Piotrem przyjaźnił się kapral Rafał Mista. „Dużo opowiadał o rodzinie, z Afganistanu codziennie dzwonił do żony”, wspomina.

Cała piątka wiązała dalsze plany z wojskiem. Byli pasjonatami armii.

Marcin Szczurowski miał 30 lat, pochodził z Morąga. W wojsku służył od 2003 roku – jako strzelec, celowniczy, operator załogi wozu dowodzenia. To była jego pierwsza misja. Zawsze miał przy sobie cukierki, które rozdawał afgańskim dzieciom.

Paweł Gałuszka trafił razem z Marcinem do Zegrza na kurs obsługi radiostacji. „To był swój chłop, podobnie jak ja miał żonę i dwójkę dzieci. Po pierwszych zajęciach poszliśmy nad zalew. Zabieraliśmy zeszyty, aby się uczyć, ale czas schodził na rozmowie”, wspomina Paweł. „Marcin opowiadał, że chce się usamodzielniczyć, ojciec rolnik ciągnął go na gospodarzkę, ale on wołał liczyć na siebie. Planował, że gdy wróci z Afganistanu, pójdzie do szkoły podoficerskiej. Umawialiśmy się, że spotkamy się na jego działce pod Morągiem, żony zajmą się dziećmi, a my wypijemy za szczęśliwy powrót. Nie pomyślałem wówczas, że któryś z nas może nie wrócić”, opowiada. Marcin pozostawił żonę Magdalenę i córki: trzyletnią Oliwzię oraz roczną Maję.

Łukasz Krawiec także snuł plany. Po powrocie z Afganistanu chciał się żaręczyć. Miał 24 lata, mówił, że przyszedł już jego

czas. W wojsku służył od 2007 roku. To była jego druga misja. Strzelec wyborowy. Koledzy podkreślali, że nigdy nie przeszedłby obojętnie obok kogoś, kto potrzebował pomocy.

Krystian Banach miał 22 lata. „Synek” lub „Dzieciak” – nazywali go koledzy, bo był najmłodszy. Kawaler. W wojsku służył od 2008 roku jako kierowca. To była jego pierwsza misja.

„Gejzer pomysłów”, wspomina Paweł. „Kochał wyścigi, ścigał się nawet zimą na zamrożonym jeziorze. Śmiało się, że po takich wyczynach jego samochód stracił kolejny błotnik. Lubił adrenalinę, ale jeździł bezpiecznie. Wychował się w wielodzietnej rodzinie, miał dziewięcioro braci i sióstr, wcześniej musiał zakończyć naukę, aby pomóc mamie. Był zdolnym mechanikiem. Chwalił się, że jako dwunastolatek rozłożył i złożył malucha. Kiedyś na poligonie popsuł się pancerny BWP. Byliśmy w kompanii logistycznej, wóz naprawiało kilku chłopców w kompanii remontowej. Nie dali rady. Krystian w niecałą godzinę uporał się z awarią”, opowiada. „Chcieli go ściągnąć do siebie, obiecywali złote góry. Został z nami”.

Marka Tomalę sołtys wsi Zabelcze zapamiętał jako grzeczne-go, dobrego chłopaka. Miał 25 lat. W wojsku służył od 2006 roku. To była jego druga misja wojskowa. Paweł wspomina, że Marek kochał wędkowanie, lekką ręką kupował dobry sprzęt wędkarski. Czasem trafiła się większa ryba, szczególnie gdy łowił w Wiśle. Był świetnym kucharzem – potrafił wspaniale przyrządzić to, co złapał. W Afganistanie zdążył jeszcze przygotować rybę wigilijną. Lubił grać na gitarze, śpiewał przy ognisku. Zostawił żonę i trzyletnią córkę.

Czasem rozmawiali o tym, co zrobią po powrocie. Marek chciał kupić sonar, aby lepiej obserwować ryby pod wodą. Krystian planował, że zrobi rodzinie prezenty niespodzianki, w tym kupi komputer. Marcin myślał o szkole podoficerskiej, ale nie mógł się doczekać, kiedy uściska swoje dziewczynki. Krystian snuł plany dotyczące żaręczenia i ślubu. Piotrek tęsknił za rodziną i czekał na wigilijną kolędę w wykonaniu czteroletniej Nataliki. ■

KOMPONENTY OTWARTEGO ŹRÓDŁA W ŚRODOWISKU SIĘCIOCENTRYCZNYM
DLA OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ

PTAKI



KOGUT
System Pasywnej
Obserwacji
Przestrzeni Walki



PELIKAN
Wyrzutnia Rakiel



WRÓBEL
Rakieta



JĄSKÓŁKA
Radar Śledzenia
i Podświetlania Celi

INNE



BŁAZENEK
Symulator Zagrożenia
- Trener

WOJSKOWE ZAKŁADY UZBROJENIA S.A.

Polska, 86-300 Grudziądz, ul. Parkowa 42

tel. 56 64 46 200, fax 56 46 23 783

www.wzu.pl, e-mail: wzu@wzu.pl



OSOBISTY INFORMATOR ŻOŁNIERZA

PSI

TOPAZ

ZAUTOMATYZOWANY
ZESTAW KIEROWANIA OGNIEM

FLYEYE

CYFROWY SYSTEM
ŁĄCZNOŚCI WEWNĘTRZNEJ FONET

FONET

SYSTEM OBSERWACYJNY
OPARTY NA MINI BSL

Granie w rytm

Żeby zostać muzykiem wojskowej orkiestry, nie wystarczy sama umiejętność gry na instrumencie. Trzeba najpierw poznać specyfikę zawodu.

ANNA DĄBROWSKA

Zapomnijcie o unitarce, teraz chodzimy inaczej”. Starszy chorąży sztabowy Mirosław Chilmanowicz, tamburmajor Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego, staje na środku sali. „Wzrok na wprost, postawa wyprostowana, każdy element kroku trzeba wykonać w tym samym tempie”, prezentuje. „Akcentujemy zatrzymanie, zwrot i wyrok”.

SPRAWA KASY

Na kursie podoficerskim muzyków orkiestr wojskowych trwają właśnie pierwsze zajęcia z musztry paradnej. Słuchacze będą musieli opanować nie tylko maszerowanie w rytm muzyki, lecz także przećwiczyć jednoczesne chodzenie i granie oraz poznać ruchy tamburmajora.

Szkoli się tutaj 26 cywilnych perkusistów, trębaczy, flecistów, saksofonistów, klarnecistów, puzonistów i tubistów. Większość z nich to absolwenci konserwatoriów i akademii muzycznych, między innymi z Wrocławia, Poznania, Krakowa czy Warszawy. Grali już w teatrach, filharmoniach, operach, a także orkiestrach dętych straży pożarnej, policji, górniczych i kolejowych.

„Chcę dalej pracować w zawodzie, dlatego zdecydowałem się na karierę w wojsku”, tłumaczy jeden z uczestników. Jednak głównym powodem są zarobki. „W filharmoniach początkujący muzyk zarabia 1200–1700 złotych na rękę, i to po 15 latach nauki i ćwiczeń”, podkreślają kursanci. W armii natomiast muzycy jako kaprale dostaną 2940 złotych brutto, nie licząc przysługujących im dodatków. „Dzięki temu szybciej można się ustabilizować”, uważa szeregowy kadet Grzegorz Martinson, klarnecista i saksofonista, absolwent krakowskiej Akademii Muzycznej. Występował też w tamtejszej filharmonii.

GEŃSTE SITO

O miejsce na kursie muzyków wojskowych mogą się starać absolwenci średnich szkół muzycznych, pod warunkiem że grają na instrumentach znajdujących się w wojskowej orkiestrze dętej, takich jak harmonia (czyli orkiestrze złożonej z instrumentów dętych drewnianych i blaszanych oraz perkusyjnych). Szans w armijnych zespołach nie mają natomiast wolonczeliści, organiści czy pianiści.

W tym roku podania o przyjęcie na coroczny kurs przysłały 64 osoby.

„Żeby się dostać, trzeba być dobrze przygotowanym, szczególnie z WF, tym bardziej że muzycy zwykle nie poświęcają wiele czasu na ćwiczenia”, tłumaczy szeregowy kadet Martinson. Kandydatów czekały badania lekarskie, egzamin z gry na

instrumencie, test ze sprawności fizycznej i języka angielskiego oraz rozmowa kwalifikacyjna.

Ci, którym udało się przejść przez sito egzaminów, trafili na miesięczne szkolenie podstawowe do Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu. Nauczyli się tam wojskowej dyscypliny, poznali regulaminy, przeszli szkolenie ze strzelania i musztry. „Początki w armii były ciężkie, trzeba się było przyzwyczaić do panujących w wojsku zasad, wykonywania wszystkiego na rozkaz, regulaminów czy codziennej zaprawy”, stwierdza starsza szeregowka Lilianna Stokłosa-Siuta, absolwentka katowickiej Akademii Muzycznej. Występowała jako wokalistka w Filharmonii Śląskiej, grała też na klarnecie w Operze Śląskiej. W armii jest ponad rok. Najpierw skończyła kurs Narodowych Sił Rezerwowych w Koszalinie w specjalności wartownik, potem służyła w Kompanii Reprezentacyjnej WP, skąd została oddelegowana do Orkiestry Reprezentacyjnej WP. Po kursie chce do niej wrócić, już jako podoficer.

Po przysiędze wojskowej pod koniec września kadeci przenieśli się na zajęcia z Poznania do Zegrza. Czeka ich teraz blisko pół roku nauki.

W programie są zarówno zajęcia wojskowe typowe dla kursu podoficerskiego, jak i specjalistyczne ćwiczenia dla żołnierzy muzyków. Będą między innymi doskonalić grę na instrumencie oraz umiejętności musztry paradnej orkiestr wojskowych. Pod koniec nauki czekają ich egzaminy, promocja na pierwszy stopień podoficerski oraz praca w jednej z 20 orkiestr wojskowych.

TYSIĄCE WIDZÓW

Po maszerowaniu w takt muzyki przyszedł czas na ćwiczenia z jednoczesnego grania i chodzenia. „Najtrudniej jest zsynchronizować elementy muzyczne i ruchowe”, tłumaczy chorąży Chilmanowicz. Faktycznie, nawet doświadczeni muzycy mają problem z zagranieniem prostego utworu i zrobieniem w tym czasie kilku kroków. „Trudno się skupić na graniu i chodzeniu, liczyć kroki i pamiętać o idealnym zwrocie”, przyznają kursanci. Na koniec zajęć kadeci przećwiczyli jeszcze podnoszenie i odkładanie instrumentów w jednakowym tempie.

„Musicie pamiętać, że musztra paradna to widowisko o ogromnej oglądalności. Na największe sale koncertowe przychodzi około tysiąca osób, na pokaz musztry – kilka tysięcy”, tłumaczy chorąży. Dodaje też, że o ile na muzyce oglądający mogą się nie do końca znać, o tyle na pewno zauważą każdą niedoskonałość w wykonaniu musztry. „Jedyną receptą na idealną równość jej wykonania są ćwiczenia”.



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa, skr. poczt. 96

tel.: 22 685 10 13; tel./faks: 22 836 44 71

www.itwl.pl

e-mail: poczta@itwl.pl



ZINTEGROWANY SYSTEM ŁACZNOŚCI



NAHELMOWY SYSTEM WYŚWIETLANIA PARAMETRÓW LOTU



PRZYKŁADOWE WYŚWIETLENIE PARAMETRÓW



NAHELMOWY SYSTEM CELOWNICZY



ZINTEGROWANY SYSTEM AWIONICZNY

ZINTEGROWANY SYSTEM AWIONICZNY

Zdjęcie w żałobie

Kursanci w najbardziej partyjnej szkole w wojsku jako pierwsi przewidzieli upadek nie tylko Gierka, lecz także ustroju.

WŁODZIMIERZ KAŁETA

Rok 1980. Pełen nadziei i obaw, emocji i dyskusji. Wyjątkowy czas w naszej historii. Powstała Solidarność, zaczęto szczerze mówić o rzeczywistości, ale też ją naciągać, bo często te opisy znacząco odbiegały od tego, co było widać za oknem. Fala gorących dysput przetoczyła się przez wszystkie środowiska. Nie ominęła także wojska, choć – jak twierdzą niektórzy – nawet dziś niezręcznie o tym mówić.

Rozdyskutowane było w tym czasie nawet Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych (CSOP) w Łodzi, gdzie według niektórych znawców historii wojskowości PRL wykuwano partyjnych janczarów armii. Przeszkolenie w cesopie musiał przejść każdy oficer polityczny, również absolwent studiów wyższych. Do tej grupy zaliczano wielu żołnierzy zawodowych zupełnie niezwiązanych ze szkoleniem politycznym w jednostkach, służących w komórkach i instytucjach obsługujących armię, na przykład prawników czy dziennikarzy wojskowych.

W CSOP zbierała się najczęściej śmietanka intelektualna oficerów, także tych z jednostek w terenie. W latach osiemdziesiątych XX wieku – wbrew temu, co potocznie wówczas sądzono – to właśnie w łódzkiej szkole produkującej rzekomo mundurowy, partyjny beton dyskusje polityczne były bardzo gorące. Oficjalnie wręcz naśmiewano się ze wszystkich, często zaskakująco niepoważnych przedsięwzięć kadry cesopu, którego komenda starała się, często za wszelką cenę, sterować programem zgodnie z linią partii i nakazami politycznej wierzchołki.

Bywało, że propartyjna gorliwość przybierała kuriozalny charakter. Stawała się poniekąd wyjątkowym pokazem głupoty. Decyzje podejmowane pod wpływem ogromnych emocji, a najpewniej również nacisków z góry, zaświadczały dobitnie, jak nowa sytuacja odarła z poczucia rzeczywistości również najwaleczniejszych partyjnych druhów w mundurach.

Groteskowo wyglądały wiszące na ścianach korytarzy i sal plakaty zapewniające, że każdy oficer jest wykształconym marksistą czy też, że armia zawsze jest z partią. Na niemal



każdej klatce schodowej czy korytarzu wisiało słynne wówczas w armii zdjęcie Edwarda Gierka w wojskowej pelerynie idącego przez poligon z generałem Jaruzelskim i jego żoną z jednej strony oraz Piotrem Jaroszewiczem z drugiej.

Partyjna wojna na górze sprawiła, że towarzyszył Piotr popadł w niełaskę, został nawet zwolniony ze stanowiska przewodniczącego Rady Państwa. W ciągu jednej nocy Jaroszewicz nagle zniknął ze wspomnianej fotografii. Po komunikacie o zwolnieniu towarzysza Piotra wszystkie zdjęcia, na których był, zamalowano grubą czarną krechą tuszu, która przyciągała uwagę wszystkich. Śmiechowi i komentarzom (oficjalnym, podczas zajęć) nie było końca. Mawiano, że zdjęcie w żałobie musi mieć swoją symbolikę. Niczym przepowiednia wieszczą zdarzenia z przyszłości.

To wtedy któryś z oficerów, patrząc na przerobione na politycznie poprawne zdjęcie, powiedział: czarno to wszystko widzę. Później zdarzenie to było opiewane jak anegdota. Kursanci w najbardziej partyjnej szkole w wojsku jako pierwsi przewidzieli upadek nie tylko Gierka, lecz także ustroju. ■

**nieruchomości
sprzedaż, zamiana
dzierżawa, wynajem
na terenie całej Polski**



Środki z obrotu nieruchomościami przeznaczone są
na inwestycje mieszkaniowe dla wojska.

www.wam.net.pl



Województwo mazowieckie
Warszawa 00-065
ul. Królewska 2
(lokal użytkowy
o nr ewid. 1U-144)

Powierzchnia działki: 0,28 ha

Numer działki: 53/2

Charakterystyka:

Lokal użytkowy o powierzchni 214,86 m² usytuowany jest na pierwszym piętrze w budynku mieszkalnym (tzw. Dom bez kantów), przy Trakcie Królewskim – głównym ciągu spacerowym najczęściej odwiedzanym przez polskich i zagranicznych turystów; w bliskim sąsiedztwie znajduje się m.in. hotel Bristol, Uniwersytet Warszawski, Pałac Prezydencki RP, w nieco dalszym – Zamek Królewski, Stare Miasto.



Województwo dolnośląskie
Świdnica 58-100
Plac Grunwaldzki 2

Powierzchnia działki: 0,12 ha

Numer działki: 19

Charakterystyka:

Nieruchomość zabudowana budynkiem biurowym o powierzchni użytkowej 2034,17 m², trzykondygnacyjnym ze strychem nieużytkowym, podpiwniczonym oraz budynkiem 6 garażowym o powierzchni 104,23 m² w zabudowie szeregowej. Nieruchomość ogrodzona wraz z bramą wjazdową na dziedziniec nieruchomości. W sąsiedztwie zabudowa mieszkaniowa jedno i wielorodzinna z usługami.



Województwo dolnośląskie
Szklarska Poręba 58-580
ul. Górna 4

Powierzchnia działki: 2,52 ha

Numer działki: 36

Charakterystyka:

Nieruchomość zabudowana budynkiem pensjonatu murowanym o powierzchni użytkowej 688,63 m², wybudowanym w roku 1904, z rozbudową przeprowadzoną w 1928 r. dwukondygnacyjnym z poddaszem użytkowym i podpiwniczeniem, o nieregularnej bryle. W sąsiedztwie nieruchomości zabudowa mieszkaniowo-pensjonatowa oraz tereny zielone.

Nieruchomości WAM. Szeroki wybór,
atrakcyjne ceny, profesjonalna obsługa.

LEOPARD

S A L O N O W Y

Rheinmetall Landsysteme ma własną koncepcję modernizacji Leoparda 2A4.



T A D E U S Z W R Ó B E L

Deklaracje MON na temat planowanej modernizacji czołgów Leopard 2A4 znajdujących się w wyposażeniu Wojska Polskiego spowodowały, że podczas tegorocznego MSPO koncepcje unowocześnienia tych wozów przedstawiły niemieckie firmy, które są ich współproducentami. Rheinmetall chciałby dokonać tej modernizacji we współpracy z poznańskimi Wojskowymi Zakładami Motoryzacyjnymi SA oraz innymi polskimi firmami zbrojeniowymi.

Wojsko Polskie ma 128 czołgów Leopard 2A4, które otrzymało od Niemiec w 2002 roku. Większość z nich znajduje się w dwóch batalionach 10 Brygady Kawalerii Pancernej ze Świętoszowa. Wyprodukowano je w latach osiemdziesiątych XX wieku. Leopard 2A4 jest ostatnią powstałą przed zakończeniem zimnej wojny wersją, do jakiej doprowadzono wszystkie czołgi wyprodukowane dla Bundeswehry (2125 sztuk) i wojsk lądowych Holandii (445 sztuk). Kolejna faza modernizacji rozpoczęła się w latach dziewięćdziesiątych. Jej efektem były wozy Leopard 2A5 i Leopard 2A6. Najnowsze rozwiązanie to Leopard 2A7+, opracowany przez Krauss-Maffei Wegmann.

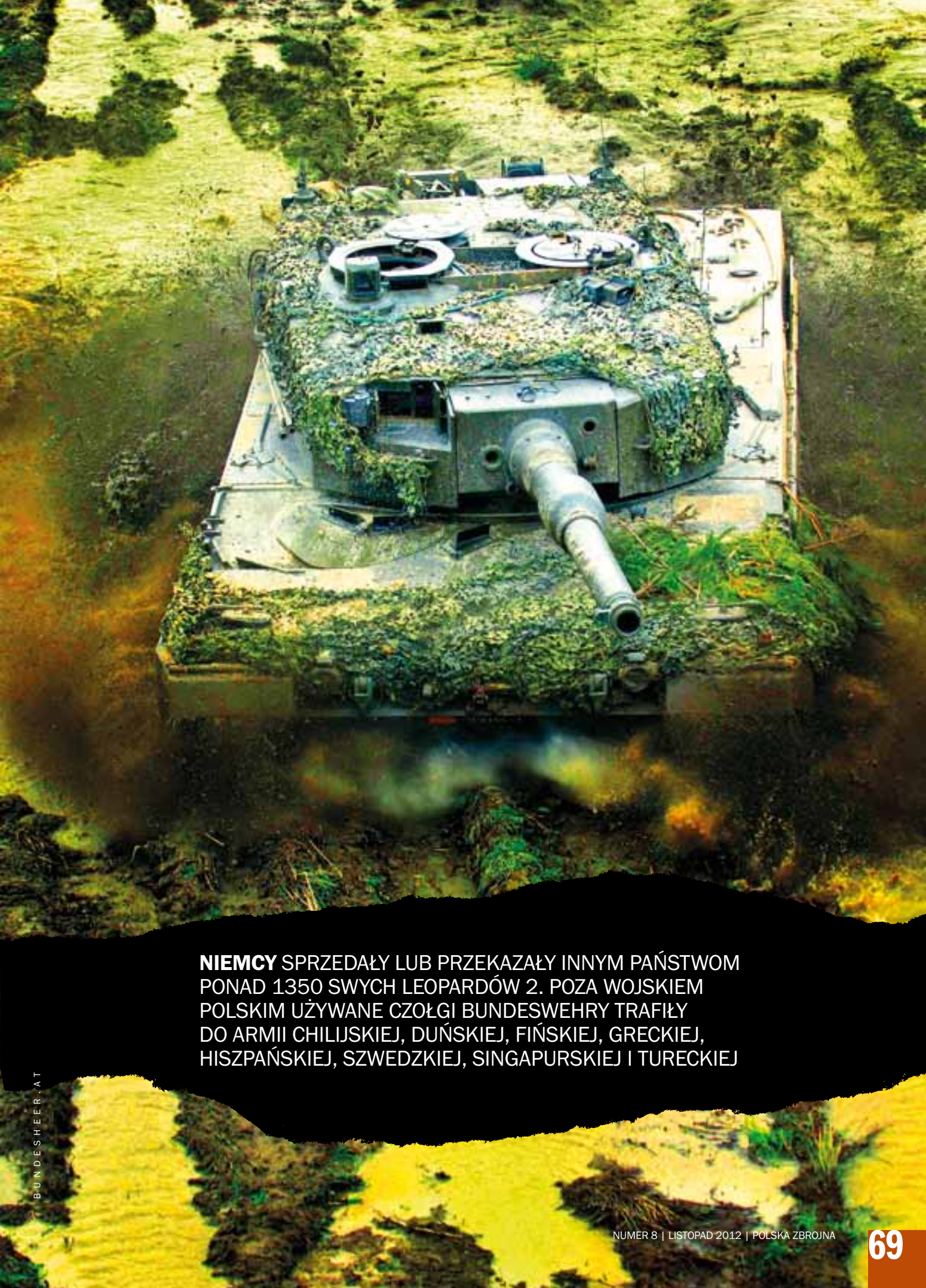
MODUŁY DO WYMIANY

Własną koncepcję modernizacji Leoparda 2A4 ma Rheinmetall Landsysteme. Specjaliści tej firmy po przeprowadzeniu analiz wskazali obszary konstrukcji Leoparda 2A4, gdzie modernizację uważają za konieczną, jak również te, które mogą być

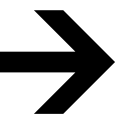
poddane unowocześnieniu, jeśli zażyczy sobie tego użytkownik. Wśród elementów czołgu, które można zachować, są między innymi napęd i armata Rh-120 L-44 (oczywiście na życzenie może być ona zastąpiona L-55 z dłuższą lufą). Jeśli chodzi o tę ostatnią, to za niezbędną uznali modernizację stabilizacji i wymianę systemu kierowania ogniem. Armatę należy także przystosować do strzelania nowymi rodzajami amunicji, w tym odłamkowo-burzącą z programowalnym czasowym zapalnikiem uderzeniowym. Nowym elementem uzbrojenia jest zdalnie sterowane stanowisko strzeleckie na wieży, które można uzbroić w karabin maszynowy lub 40-milimetrowy granatnik automatyczny.

Wśród koniecznych zmian przedstawiciele Rheinmetall Defence widzą wprowadzenie elektrycznych napędów wieży w wersjach Leopardów A5 i A6 zamiast dotychczasowych hydraulicznych. Dzięki uzyskanej w ten sposób dodatkowej przestrzeni w jej wnętrzu będzie można zamontować klimatyzację, która pozwoli utrzymać temperaturę na określonym poziomie. Z kolei kierowca zostałby wyposażony w kamizelkę chłodzącą.

Według Rheinmetalla należy zamontować nowy termowizor w celowniku działonowego oraz dalmierz laserowy, a także nowy przyrząd obserwacyjno-celowniczy z kanałami dziennym i nocnym oraz własnym termowizorem dla dowódcy, ponieważ obecny system kierowania ogniem w Leopardzie 2A4 nie jest szczytem techniki... Przedziwno też montaż systemu zarządza- ➔



NIEMCY SPRZEDAŁY LUB PRZEKAZAŁY INNYM PAŃSTWOM PONAD 1350 SWYCH LEOPARDÓW 2. POZA WOJSKIEM POLSKIM UŻYWANE CZOŁGI BUNDESWEHRY TRAFIŁY DO ARMII CHILIJSKIEJ, DUŃSKIEJ, FIŃSKIEJ, GRECKIEJ, HISZPAŃSKIEJ, SZWEDZKIEJ, SINGAPURSKIEJ I TURECKIEJ



LEOPARD SALONOWY



nia polem walki (Battle Management System) oraz interkomu, który ma zapewnić dwukierunkową łączność między załogą Leoparda a współdziałającymi z nią piechurami.

Niezwykle ważne jest wzmocnienie ochrony balistycznej i przeciwminowej czołgu. W przypadku MBT Revolution oferowane są zestawy modułowych osłon (Advanced Modular Armor Protection) – przewidziane, by chronić najbardziej czułe na atak części konstrukcji pojazdu, przy czym dla każdej z nich osłony są nieco inne, uwzględniające rodzaj najbardziej prawdopodobnego zagrożenia. Skorzystali z tego rozwiązania Singapurczycy, kiedy postanowili modernizować swoje Leopardy 2A4. Bezpieczeństwo załogi mają poprawić nowe siedzisko kierowcy, podwieszane do stropu, i przekonstruowane magazyny amunicyjne (podział na więcej niezależnych komór). Z ochroną przed minami związany jest montaż osłon drążków skrętnych.

Wśród zalecanych elementów modernizacji czołgu Leopard 2A4 znalazły się tylna kamera i nowy przyrząd obserwacyjny kierowcy. Należy też zamontować pomocniczą jednostkę napędową – silnik wysokoprężny napędzający generator o mocy 17 kilowatów – zapewniającą energię dla pracujących urządzeń wewnętrznych przy wyłączonym silniku.

SWOBODA DECYZJI

W grupie zmian, które mogą być wprowadzone na życzenie użytkownika czołgów Leopard 2A4, ale nie są konieczne, znalazł się hamulec dowódcy, czyli przycisk na ścianie wieży przy jego stanowisku, pozwalający zatrzymać mu czołg, gdyby nie mógł zrobić tego kierowca, na przykład z powodu utraty przytomności w wyniku odniesionych obrażeń. Wśród rozwiązań opcjonalnych są systemy osłony aktywnej i obserwacji dookreślnej, w promieniu 360 stopni. Ten ostatni może się składać z od dwóch do czterech par kamer (diennej i termowizyjnej) w narożnikach wieży. Poprawa świadomości operacyjnej skraca czas reakcji ogniowej załogi na zagrożenia. Rheinmetall podaje, że

podczas testów udało się go skrócić z 33 do 13 sekund. Inne opcjonalne zmiany wprowadzane na życzenie zamawiającego to ochrona przed improwizowanymi ładunkami wybuchowymi, system lokalizacji snajperów, nowe wyrzutnie granatów dymnych zapewniające zasłony wielospektralne, czyli chroniące na przykład przed amunicją naprowadzaną na podczerwień lub laserowo. W tym ostatnim przypadku na rogach stropu wieży czołgu zamontowano cztery dziesięcioprowadnicowe wyrzutnie kalibru 40 milimetrów systemu ROSY-L (Rapid Obscuring System). Klient może zamówić również wewnętrzne oświetlenie LED. Przewidziano też system diagnostyczny.

Tworząc pakiet modernizacyjny, specjaliści z Rheinmetalla starali się, aby po wprowadzeniu wszystkich opcji masa czołgu nie przekroczyła 62,5 tony, czyli aby pozostał on w klasie MLC-70. Wieża ich pojazdu jest zaś lżejsza niż Leoparda 2A6.

„MBT Revolution nie jest gotowym rozwiązaniem, lecz zestawem modułów, z których użytkownik może zbudować docelową konfigurację”, powiedział przedstawiciel Rheinmetalla Michael Kerwin. Niemiecka firma chce modernizować polskie Leopardy we współpracy z naszymi firmami zbrojeniowymi. Jej partnerem są Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne SA z Poznania. „Doświadczenia strony polskiej z offsetem wskazują, że najkorzystniejszym rozwiązaniem wydaje się polonizacja”, powiedział PZ Janusz Potocki, prezes zarządu, dyrektor generalny WZM SA. Oznacza to ustalenie już w kontrakcie, które elementy produkowane w Polsce lub których produkcja ruszy w naszych zakładach po przekazaniu know-how, zostaną wykorzystane w modernizacji czołgów. Nasze firmy powinny zostać też ich dostawcami dla zagranicznych odbiorców. Taka specjalizacja byłaby ogromną szansą dla polskich producentów, którzy przystąpiłoby do programu modernizacji Leopardów. Prezes WZM SA uważa, że współpraca powinna być łatwa, ponieważ już istnieją zawiązki między Rheinmetallem a niektórymi naszymi firmami (jak Bumar Żołnierz) i wedle jego wiedzy układa się ona dobrze. ■

CTS CELOWNIK TERMOWIZYJNY

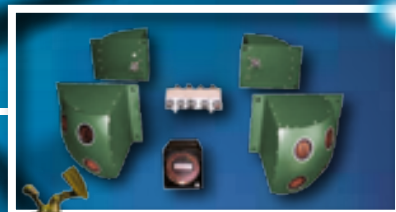


BUMAR ŻOŁNIERZ S.A.

03-982 Warszawa, ul. Jena Nowaka-Jeziorańskiego 28

tel. +48 22 613 94 24; fax +48 22 613 92 15

e-mail: pc@pcosa.com.pl; www.bumar-zolnierz.com.pl



LWR-H (MSPO-2011)

System ostrzegania
o oświetleniu
promieniowaniem
laserowym

WZĘ S.A.

nowoczesna
technologia
o mocnych podstawach

**MZRiASR
(MSPO-2010)**

Mobilny Zestaw
Rejestracji i Analizy
Sygnałów Radiolokacyjnych



PRZEBIŚNIEG (MSPO-2007)

Zautomatyzowany System
Rozpoznawczo-Zakłócający
ESM/COMINT



Czołg po trzydziestce

Leopardy 2 są w służbie już 33 lata. W tym czasie zdobyły uznanie wojskowych. Odniosły też sukces poza Bundeswehrą i są najchętniej kupowanymi czołgami trzeciej generacji.

MICHAŁ NITA

Skonstruowano go z myślą o zastąpieniu Leoparda 1. W latach osiemdziesiątych XX wieku opracowano wersje A0, A1, A2, A3 i A4. Dalsze prace nad rozwojem czołgu prowadzono w ramach programu KWS (Kampfwertsteigerung – podniesienie wartości bojowej). Jego pierwszy etap obejmował modernizację uzbrojenia, drugi – zwiększenie ochrony oraz testy systemu kontroli i wymiany informacji. Zamierzano również przygotować wóz z nową wieżą, armatą kalibru 140 milimetrów i automatem ładowania; zrezygnowano jednak z tych planów w 1995 roku. Początkowo powstał prototyp KVT (Komponentenversuchstrager), a po nim – IVT (Instrumentenversuchstrager), przeznaczony do prób systemu kontroli i wymiany informacji. Później pojawiły się, testowane także w wojsku, trzy prototypy TVM (Truppenversuchsmuster) oraz SVT (Schiessversuchstrager), służący do próbnych strzelań.

Z CZWÓRKI DO PIĄTKI

Prace z prototypami doprowadziły do powstania wersji A5. Pierwsze takie czołgi przekazano Bundeswehrze w 1995 roku. Dostał je 33 Batalion z Luttmersen.

Na przodzie wież zamontowano dodatkowy pancierz o charakterystycznym kształcie „dziobów”. Na kadłubach prototypów TVM 1 założono dodatkowe opancerzenie. Nie zainstalowano go jednak w seryjnych A5. W czołgach tych przekonstruowano wąż kierowcy, zmodernizowano wałki skrajne i zmieniono charakterystykę ograniczników ugięć zawieszania. Celowniki działonowych umieszczono wyżej w porównaniu z Leopardami 2 starszych wersji. Stanowiska dowódców wyposażono w celowniki PERI R17A2 i termowizory z zoomem. Z myślą o wersji A5 opracowywano system wymiany danych IFIS, który zamontowano na próbę na czołgach z 84 Batalionu Pancernego.

Zapasy celowniki umieszczono w jarmach dział. Ich lufy mają tę samą długość co w wersji A4. Układy naprowadzania armat są elektryczne. Czołgi wyposażono w inercyjne układy nawigacyjne i odbiorniki GPS z antenami na wieżach. Planowano też zamontowanie urządzeń wykrywających śmigłowce.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku rozpoczęto prace nad czołgami w wersji A6, które Bundeswehra odebrała w 2001 roku. Pojazdy te mają armatę z dłuższą lufą, do zmiany działa dostosowano też przeliczniki balistyczne. Odmianą tych wozów jest Leopard 2A6M, pod którego kadłubem znajduje się płyta ochronna. Pierwszy egzemplarz przekazano do służby w 2004 roku. Czołgi te pozyskała też Kanada. W 2007 roku w Afganistanie jeden z nich zaatakowano ładunkiem wybuchowym. Kanadyjski generał Rick Hillier poinformował, że uszkodzony wóz wkrótce powrócił do działań, a Franz Jung, minister obrony Niemiec, dostał od Kanadyjczyków list z podziękowaniami. Podkreślono w nim, że załoga wykonująca zadanie w innym czołgu miałyby mniejsze szanse przeżycia.

Płytę pod dnem kadłuba zamontowano też w wersji PSO, przeznaczonej do działań w miastach. Czołg wyposażono w lemiesz i kamery obserwacyjne. Karabin na wieży jest naprowadzany na cel zdalnie. Wśród amunicji armatniej są naboje odłamkowo-burzące. Długość lufy działa w wersji PSO jest taka sama jak w Leopardzie 2 A5.

ZAGRANICZNA KARIERA

W latach osiemdziesiątych XX wieku na zakup Leopardów 2 zdecydował się resort obrony Holandii. Później podjęto decyzję o ich modernizacji. Pierwszą jednostką, która otrzymała wersję A5NL, był 42 Batalion z Havelte. Oprócz „dziobów” czołgi miały inne karabiny maszynowe i wyrzutnie granatów. Maszyny przeznaczone na misję w byłej Jugosławii otrzymały dodatkowe radiostacje Motorola. Leopardy 2A6 odebrano w 2001 roku. W ubiegłym roku na poligonie w Bergen-Hohne przeprowadzono ostatnie strzelanie i odbyła się uroczystość rozformowania jednostek pancernych.

Trzecim państwem, które zdecydowało się na zakup Leopardów 2, była Szwajcaria. Ich produkcję podjęto w Thun. W 2000 roku rozpoczęto prace nad programem modernizacyjnym. Czołgi zamierzano wyposażyć w system kontroli i wymiany informacji, a stanowiska dowódców w termowizor i dalmierz. Planowano zamontowanie dodatkowego opancerzenia oraz podjęcie prac nad ochroną wozu przed minami. →

W Szwajcarii przygotowano czołg z armatą 140-milimetrową, jednak uznano, że kaliber ten jest zbyt duży i nie zdecydowano się na tę wersję.

W 1993 roku zaproponowano Leopardy 2 Hiszpanii. Początkowo przewidywano pozyskanie czołgów wersji A4. Później postanowiono, że eksploatowane w przyszłości Leopardy otrzymają nowsze armaty. W większości wozy te miały być wyprodukowane w zakładach w Santa Barbara. Pierwszy Leopard 2 A6 był gotowy w 2003 roku. Oprócz charakterystycznego dodatkowego opancerzenia czołgi te mają nowsze termowizory. Stanowiska dowódców wyposażono w system zarządzania polem walki i wymiany danych Lince. Do porozumiewania się zainstalowano radiostacje PR4G i telefony wewnętrzne ROVIS. Kierowcy mają nocne przyrządy obserwacyjne PCN-160. Na ogniach gaśnic zamontowano nowsze gumowe nakładki.

KIERUNEK SKANDYNAWSKI


W 1994 roku Leopardy 2A4 przyjęła Szwecja. Później wprowadzono do służby podobne do niemieckich A5 czołgi Strv-122. Od 1998 roku w szwedzkich zakładach rozpoczęto ich produkcję. Zmieniono im wyrzutnie granatów. Dowódcy tych wozów mają systemy kontroli i wymiany danych TCCS.

Ponadto w czołgach wymieniono radiostację i telefony wewnętrzne.


W 1997 roku na pozyskanie Leopardów 2A4 zdecydowała się Dania. Duńczycy zamontowali w nich odbiorniki GPS i swoje radiostacje. Pierwszy nowoczesniejszy wóz odebrano w 2002 roku. Początkowo zakładano posiadanie 57 czołgów A5DK. Ostatni zmodernizowany dotarł w 2004 roku. Maszyny te służą w Pułku Dragonów z Holstebro. Tak samo jak Strv-122 mają dodatkowy pancerz na przodach kadłubów. Czołgi wyposażono w silniki pomocnicze i generatory prądowłórcze. Na jarmach armat zamontowano niewielkie światła, a na wieżach są zamocowane zimowe ostrogi. Niekiedy na boki wież zakładano panele identyfikacyjne. Duńskie czołgi wyposażono w izraelskie termowizory. Gaśnice P0 wyprodukowała firma Diehl. W 2006 roku Dania zamówiła naboje PELE przeznaczone do strzelań w działaniach w terenach zurbanizowanych. Leopardy 2DK testowano też w Hiszpanii. Podczas trwającego trzy dni pierwszego testu każdy z nich przejechał 180 kilometrów. Podczas drugiego – 480 kilometrów. We wrześniu 2007 roku cztery Leopardy wysłano do Afganistanu.

NABYWCY Z POŁUDNIA

W 2006 roku Leopardy 2A4 odebrały wojska tureckie. W ubiegłym roku zaprezentowano Leoparda 2, przygotowanego przez przemysł Turcji. Uzbrojenie główne pozostało nie-



Pododdział Bundesheer
na ćwiczeniach
na poligonie
w północnej Austrii



O SUKCESIE
LEOPARDÓW 2
ZDECYDOWAŁY
RUCHLIWOŚĆ
I ODPORNOŚĆ
NA ŚRODKI RAŻENIA

zmienione. Jest nim 120-milimetrowa armata z lufą o długości 44 kalibrów, ale naprowadzana na cel układami elektrycznymi. Na stropie wieży zamontowano nakierowywany zdalnie karabin M2HB kalibru 12,7 milimetra. Czołg wyposażono w turecki system kierowania ogniem. Jego celownik składa się z toru optycznego, termowizyjnego, kamery TV i dalmierza laserowego o zasięgu 10 kilometrów. Tak samo jak w japońskim typ 90 Leopard 2 można wyposażać w układ automatycznego śledzenia celu. Wóz ma mieć inercyjny układ nawigacyjny, GPS i system zarządzania polem walki. Dodatkowo opancerzenie zamontowano na wieży oraz przodzie i burtach kadłuba. Na jego bokach, „na wysokości” silnika z napędem, zamocowano osłony prętowe. Czołg ma być wyposażony w system ostrzegający przed dalmierzami laserowymi. Według specjalistów Leopard 2 tej wersji będzie w porównaniu ze starszymi jeszcze mniej podatny na awarie.


W 2002 roku decyzję o przyjęciu Leoparda 2A4 podjęło ministerstwo obrony Grecji. Kraj ten zamierzał też nabyć czołgi nowszej wersji A6. Grecy wojskowi zapoznali się z jedną z nowych modernizacji na przykładzie obecnego na testach w Litohoro czołgu Strv-122. Podczas opracowywania odmiany wersji A6 wzorowano się na Leopardzie 2A6EX DEMO. W próbach A6 HEL uczestniczyli wojskowi z 25 Brygady Pancerniej z Xanthi. Do służby wóz ten wszedł w 2008 roku. Jego produkcję podjęły zakłady w Salonikach. Dla Leoparda 2HEL opracowano także system zarządzania

pojem walki Iniochos, bazujący na niemieckim IFIS. Dowódca czołgu ma termowizor Ophelios. Cechą charakterystyczną Leoparda 2HEL jest czujnik meteorologiczny. Kierowca otrzymał nocny przyrząd obserwacyjny NX-148A.

Z uwagi na posiadanie dużych ilości naboju do armat L7 postanowiono uzbroić w nie Leopardy 2. Wykonano już prace dostosowujące armatę kalibru 105 milimetrów do zamontowania w wersji A4. Strzelania Leoparda 2 z armatą L7 odbyły się w 2011 roku.

POLSKIE PLANY

Pochodzące z lat osiemdziesiątych XX wieku Leopardy 2A4 są w uzbrojeniu 10 Brygady Kawalerii Pancerniej. Obecnie trwają dyskusje nad koniecznością ich modernizacji. Polscy czołgarnie mieli okazję zobaczyć jedną z najnowszych wersji czołgu. W ćwiczeniach „Borsuk, 12” uczestniczyły Leopardy 2A6 z 203 Batalionu z Augustdorfu. Planowaną modernizację podzielono na dwa etapy. Pierwszy przewiduje montaż silnika pomocniczego, wymianę układów naprowadzania uzbrojenia i termowizora oraz prace nad zwiększeniem odporności na wybuchy ładunków improwizowanych. Zmiany mają dotyczyć systemu kierowania ogniem. Etap drugi ma objąć montaż systemu zarządzania polem walki, układu nawigacji i wprowadzenie nowych naboju. Prace można wykonać w Polsce we współpracy z partnerem zagranicznym doświadczonym w modernizowaniu Leopardów 2. ■



ZALETAMI LEOPARDA SĄ JEGO SYSTEM KIEROWANIA OGNIEM ORAZ ARMATA 120-MILIMETROWA, KTÓRA MOŻE RAZIĆ CELE W ODLEGŁOŚCI 2,5 KILOMETRA



BEZPIECZEŃSTWO NARODOWE TO NIE POLIGON DOŚWIADCZALNY

HELIKOPTER **BLACK HAWK**

najczęściej wybierany śmigłowiec wielozadaniowy na świecie

- W służbie **25 państw**
- **9 700 000** godzin w locie
- **1 400 000** godzin w boju
- Produkowany w Mielcu,
gotowy do służby
w Polskich Siłach Zbrojnych

pzlmelec
A Sikorsky company



Sikorsky

A United Technologies Company

421

BIAŁORUŚ

Su-30 dla Mińska

Nowe samoloty bojowe obiecane Białorusi przez Rosję to zwrócone przez Indie ich producentowi maszyny Su-30K.

Prezydent Aleksander Łukaszenka ujawnił, że podczas spotkania 15 września w Soczi Władimir Putin obiecał białoruskim siłom powietrznym nowe samoloty. Według rosyjskiego dziennika „Wiedomosti” Mińsk może dostać 18 myśliwców Su-30K, które Indie zwróciły producentowi po otrzymaniu nowszej wersji Su-30MKI. Korporacja Irkut, by uniknąć zapłacenia podatku w Rosji, postanowiła przetrzymać te samoloty w 558 Lotniczym Zakładzie Remontowym w Baranowiczach na Białorusi, dopóki nie znajdzie nowego nabywcy. Jej były prezes Aleksiej Fiedorow w 2011 roku oszacował wartość 18 egzemplarzy Su-30K na co najmniej 360 milionów dolarów.

W dzienniku „Kommiersant” napisano, że strona rosyjska chce otrzymać za te samoloty przynajmniej 270 milionów dolarów. Według gazety eksindyjskimi maszynami zainteresowana była Białoruś, ale nie miała pieniędzy na ich zakup, a rosyjskie ministerstwo finansów odmówiło jej kredytu. Teraz Białoruś dostanie go od rządu Rosji. Kredyt ten Mińsk spłaci między innymi poprzez dostawy podwozi do zestawów rakiet. Analityk wojskowy Aleksander Alesin zasugerował, że możliwa jest transakcja wiązana. Białoruś w zamian za Su-30K może udostępnić Rosji bazę wojskową w rejonie Lidy, w której stacjonowałaby brygada rakiet wyposażona w zestawy Iskander. w



RUAG DEFENCE

SZWAJCARIA

Łądowe bezzałogowe

Szwajcarska firma RUAG Defence opracowała dwa demonstratory bezzałogowych pojazdów lądowych. Konstruktorzy RUAG wspólnie ze specjalistami z Instytutu Federalnego Technologicznego w Zurychu i armii szwajcarskiej opracowali dwa pojazdy bezzałogowe w ramach programu badawczego ARTOR. Oba mogą działać autonomicznie, śledzić ludzi i inne pojazdy, jak też wykrywać i omijać przeszkody, które pojawią się na ich drodze. Pierwszy bezzałogowiec ma 100 centymetrów długości, 80 centymetrów szerokości i waży ćwierć tony. Jego ładowność wynosi 100 kilogramów. Drugi pojazd, o prawie dwa razy większej ładowności, waży 425 kilogramów i ma około 170 centymetrów długości. Oba wozy mogą poruszać się z prędkością ponad 15 kilometrów na godzinę. w

KOREA POŁUDNIOWA

Trzy możliwości

Korea Południowa wybierze jeden z trzech typów śmigłowców szturmowych. Dwa z nich to konstrukcje amerykańskie.



USA F

Defense Security Cooperation Agency poinformowała Kongres USA o dwóch możliwych kontraktach na sprzedaż Korei Południowej 36 śmigłowców szturmowych. Pierwszy dotyczy maszyn Bell AH-1Z Cobra (na zdjęciu), a drugi – AH-64D Apache Longbow Block III. Kobry wraz z dodatkowym wyposażeniem oraz uzbrojeniem, w tym 288 pociskami AGM-114K3 Hellfire i 72 sztukami AIM-9M-8 Sidewinder

der kosztowałyby 2,6 miliarda dolarów. Na Apache'a wraz z 400 pociskami AGM-114R1 Hellfire, 438 rakietami Stinger Block I 92H, 11 020 pociskami Hydra i 774 144 nabojami do 30-milimetrowych działek Koreańczycy musieliby wyasygnować o miliard dolarów więcej.

Zajmująca się zamówieniami militarnymi południowokoreańska agencja DAPA do końca listopada ma wskazać zwycięzcę przetargu na 36 śmigłowców szturmowych. Poza amerykańskimi maszynami w ostatecznej rozgrywce uczestniczy też włosko-turecka konstrukcja T-129. w

RUMUNIA

Z drugiej ręki

Serwis BucharestHerald poinformował, że Rumunia zakupi w Portugalii 12 używanych myśliwców F-16 za około 600 milionów dolarów. Samoloty zostaną spłacone w ciągu pięciu lat. Minister obrony Corneliu Dobrițoiu podał, że pierwsza transza spłaty w 2013 roku wyniesie 70 milionów dolarów. W sierpniu 2012 roku zapewniał on, że portugalskie szesnastki są w „bardzo dobrym” stanie. Każda z nich ma wylatane około 3,5 tysiąca godzin, co oznacza, że mogą spędzić w powietrzu kolejne 4–4,5 tysiąca. Przy rocznym nalocie 200 godzin mogą być używane przez 20 lat. w R

bezpieczeństwo

AZJA



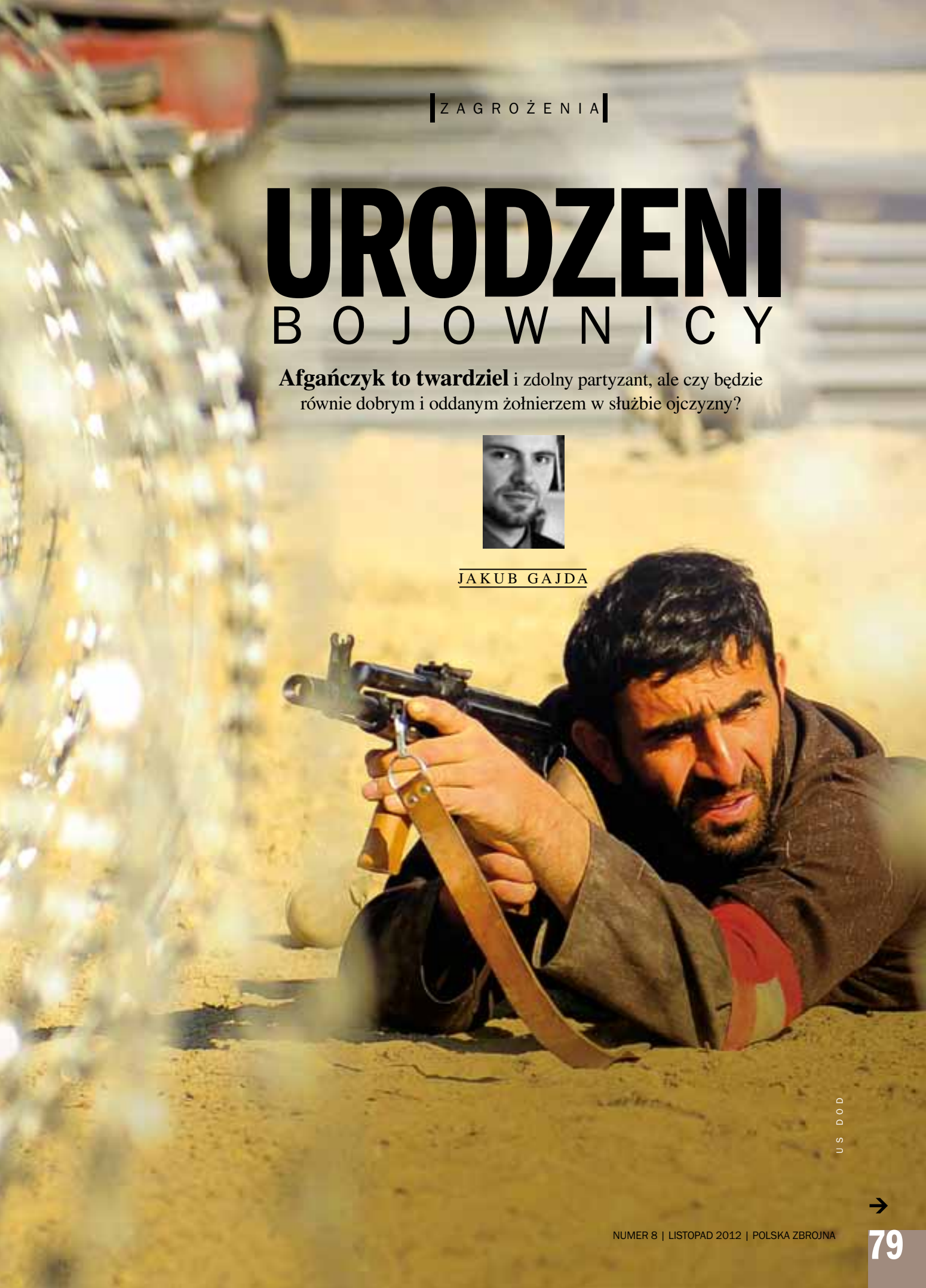
| Z A G R O Ż E N I A |

URODZENI BOJOWNICY

Afgańczyk to twardziel i zdolny partyzant, ale czy będzie równie dobrym i oddanym żołnierzem w służbie ojczyzny?



JAKUB GAJDA



U S D O D





→ URODZENI BOJOWNICY

Afgańczycy w historii zawsze zapisywali się jako wytrwali wojownicy – wystarczy spojrzeć na bilans toczonych przez nich na przestrzeni wieków wojen z armiami potężnych najeźdźców. Walka jest bezsprzecznie esencją życia Afgańczyków – ludzi, którzy aby bić się do ostatniej kropli krwi, nie potrzebują zbyt wiele. Wspomina się, że w czasach interwencji radzieckiej w Afganistanie mudżahedinowi wystarczały garść słodkich owoców morwy i dzbanek kwaśnego mleka (dugh), aby mógł całą dobę biegać z karabinem po górach i spędzać sen z powiek nieporównywalnie lepiej wyposażonym i wyszkolonym żołnierzom radzieckim. Czy jednak twardziel i zdolny partyzant będzie równie dobrym i oddanym żołnierzem?

Już wkrótce wyłączna odpowiedzialność za przeprowadzanie operacji zbrojnych na terenie całego Afganistanu spocznie na barkach Afgańczyków. Data wyjścia wojsk koalicji wyznaczona została już kilka lat temu na 2014 rok, a kolejne oświadczenia dowódców NATO i głów państw zaangażowanych potwierdzają, że nic się nie zmieni. Chwila próby zbliża się więc wielkimi krokami, a wraz z nią pojawia się wiele obaw o to, czy administracja publiczna Afganistanu, a przede wszystkim siły bezpieczeństwa tego kraju poradzą sobie z samodzielną.

Narodowe Siły Zbrojne Afganistanu (NASF), w których skład wchodzi Afgańska Armia Narodowa (ANA) i policja narodowa (ANP) oraz afgański wywiad (NDS), budowane są z mozołem od momentu obalenia reżimu talibów w 2001 roku. Po początkowym marazmie i rozmaitych trudnościach organizacyjno-rekrutacyjnych od 2006 roku można zaobserwować zdecydowany wzrost zainteresowania pracą w afgańskich armii i policji. Sojusz północnoatlantycki oraz rząd w Kabulu dążą do tego, aby stworzyć naprawdę silne formacje. Temu służą między innymi rekrutacja i szkolenia prowadzone pod skrzydłami amerykańskich i nатовskich instruktorów.

SILA PIENIĄDZA

Wydawać by się więc mogło, że prawie 150 tysięcy policjantów (stan na wrzesień 2012) i ponad 200 tysięcy żołnierzy ANA nie powinno mieć większych problemów z kontrolą nad Afganistanem, gdyby nie kilka szczegółów. W konflikt afgański zaangażowanych jest kilkadziesiąt tysięcy bojowników związanych z różnymi ugrupowaniami, topografia kraju sprzyja działalności partyzanckiej, a jakość wyszkolenia afgańskich żołnierzy i funkcjonariuszy, podobnie jak ich morale, wciąż jeszcze pozostawia wiele do życzenia.



BRT LOMIEJ TOFEL (2)



UN (2)

W konflikt afgański zaangażowanych jest kilkadziesiąt tysięcy bojowników związanych z różnymi ugrupowaniami.



W CZASACH INTERWENCJI RADZIECKIEJ MUDŻAHEDINOWI, ABY MIAŁ SIŁĘ **WALCZYĆ,** WYSTARCZAŁY GARŚĆ OWOCÓW MORWY I DZBANEK KWAŚNEGO MLEKA

Choć armia Islamskiej Republiki Afganistanu powstała od podstaw w iście ekspresowym tempie (liczebność afgańskich sił zbrojnych od 2005 roku zwiększyła się dziesięciokrotnie!), na tle Chin, Pakistanu czy Iranu Afgańczycy wypadają wciąż jeszcze słabo. Z drugiej strony to, że armia afgańska rośnie w siłę, też jest sąsiadom, a szczególnie Pakistanowi, niekoniecznie na rękę.

Jednym z czynników wpływających na rozwój formacji są pieniądze. Fakt, że armia i policja stanowią najbardziej dofinansowane sektory w kraju, ma niewielkie znaczenie, biorąc pod uwagę to, że Kabul dysponuje ograniczonymi środkami, a Afganistan wciąż znajduje się na liście najbiedniejszych państw świata. Oczywiście zatem wydaje się, że afgańskie siły zbrojne zostały zbudowane praktycznie w stu procentach przez Amerykanów z pomocą sojuszników z NATO. Większość wynagrodzeń w ANA również pochodzi z funduszy Stanów Zjednoczonych. Sam Afganistan dostarczył jedynie najważniejszy z elementów – personel. Afgańscy żołnierze szeregowi to często pasterze, którzy stracili swe bydło, kupcy, którym nie wiodło się w interesach, byli plantatorzy maku opiumowego, uchodźcy z Pakistanu i Iranu oraz bezrobotna, niewykształcona młodzież, której w żadnym z zakątków kraju nie brakuje. Do służb mundurowych, w państwie, w którym panuje nędza i powszechne bezrobocie, przyciąga ich perspektywa stałego dochodu. Nie zarabiają jednak kokosów. Wysokość żołdu w przeliczeniu na złotówki wynosi od pięciuset do ośmiuset złotych miesięcznie – lepiej zarabiają jedynie wysocy rangą oficerowie. Wykorzystują to talibowie, którzy starają się płacić swoim bojownikom nieco więcej. W samym Afganistanie często można spotkać się z opi- ➔

Topografia kraju sprzyja działalności partyzanckiej, a jakość wyszkolenia afgańskich żołnierzy i funkcjonariuszy, podobnie jak ich morale, wciąż jeszcze pozostawia wiele do życzenia.

nią, że osoby znajdujące się na rzemiośle wojennym, niemające jednak zaufania ani do prezydenta Karzaja, ani też do talibów, niejednokrotnie na chłodno kalkulują, który pracodawca zaofertuje im więcej. Oni sami za postawienie się po jednej ze stron też niejednokrotnie muszą zapłacić – własnym życiem.

Najważniejszy problem związany z afgańską obronnością i pieniędzmi polega jednak na tym, że gdyby Afganistan został pozbawiony pomocy z zewnątrz, niemal natychmiast rozpadłyby się armia i policja. Wyjście NATO z Afganistanu w żadnym wypadku nie oznacza więc pełnej niezależności Afgańskich Sił Bezpieczeństwa – będzie to wyłącznie sprawdzian ich samodzielnego działania. Pieniądze muszą płynąć dalej.

MAŁE OJCZYZNY

Pieniądze to niejedyna bolączka afgańskiej obronności. Są jeszcze kwestie świadomości narodowej i lojalności wobec dowódców oraz rządu, korupcji oraz wyszkolenia. Pod tym względem bywa bardzo różnie. Afgańska policja rekrutuje się z zepsutej wieloma latami wojen i nędzy społeczności lokalnej – stąd biorą się korupcja i częste przypadki kolaboracji z talibami, ale z drugiej strony także większe zaangażowanie w działania na rzecz swojego regionu, rodzaj lokalnego patriotyzmu. W Afgańskiej Armii Narodowej jest inaczej. Rekrutów z północy kraju kieruje się do jednostek na dalekim południu i odwrotnie. Takie działania rzeczywiście eliminują potencjalne bratobójcze starcia oraz kolaborację, mają jednak również negatywne skutki. Rzuceni tysiąc kilometrów od własnego domu (w Afganistanie już kilkadziesiąt kilometrów to ogromna odległość) żołnierze, szczególnie ci młodzi, często nie wiedzą, po co właściwie walczą na terenach zamieszkałych przez ludzi odmiennych kulturowo, którzy bardziej utożsamiają się z „rodzinnymi” talibami niż z „obcymi” z ANA. Niejeden był afgański żołnierz spotkany w północnym Badachsanie przyznawał, że gdy służył na południu, czuł się jak zwykły najeźdźca, i tak też był traktowany zarówno przez wrogów, jak i miejscową ludność. Zdarza się również słyszeć opinie, że żołnierz ANA – na przykład Tadżyk z Badachszanu – to w Kandaharze lub Helmandzie taki sam obcy jak Polak czy Amerykanin.

Toczący się w Afganistanie konflikt zbrojny dla wielu Afgańczyków pozostaje niezrozumiały, a przywiązanie do poszczególnych regionów i etnocentryzm pasztuński, tadżycki czy też hazarski rodzą kolejne problemy w ANA i ANP.

**AFGAŃCZYK,
JEŚLI WIERZY
W WARTOŚCI,
O KTÓRE
WALCZY,
BĘDZIE
WALCZYŁ
DO KOŃCA**

Sporo mówi się o niesubordynacji, braku motywacji i pokrętej naturze afgańskich oficerów i żołnierzy. Afgańczykom zarzuca się też często brak zaangażowania i problemy z przyswajaniem stricte wojskowych umiejętności. Swego czasu w internecie prawdziwą furorę robił krótki film szkoleniowy, na którym młodzi żołnierze ANA bez koordynacji, w komiczny sposób ćwiczyli pajacyki. Rzeczywiście, jeszcze w latach 2009–2010 zazwyczaj nieprzychylnie wypowiedziano się na temat ich bystrości. Od kilku miesięcy jednak chwali się afgańskich żołnierzy oraz policjantów i podkreśla, jak dużej robią postępy. W wystąpieniach medialnych dowódcy NATO wyrażają głęboką nadzieję, że Afgańczycy poradzą sobie z wszelkimi trudnościami i niebawem godnie zastąpią na posterunku żołnierzy koalicyjnych. W kontekście wojsk ANA mówi się o milowym kroku na drodze do samodzielnej obrony własnego państwa. Niektórzy doszukują się w tych superlatywach wyłącznie propagandy. Niewątpliwie jednak rzeczywistość niebawem podobne wątpliwości zweryfikuje.

DROGA DO SAMODZIELNOŚCI

To, czy Afgańskie Siły Bezpieczeństwa poradzą sobie z utrzymaniem (a może raczej zaprowadzeniem?) pokoju w Afganistanie nie zależy, niestety, wyłącznie od nich samych. Nie zależy również od dobrej woli afgańskich grup partyzancko-rebelianckich, które przez ostatnią dekadę wykazały się niezwykłym uporem i konsekwencją w przeprowadzaniu ataków i organizowaniu zamachów na przedstawicieli Zachodu i administracji Hamida Karzaja.

No właśnie, Afgańczyk, jeśli wierzy w wartości, o które walczy, będzie walczył do końca, bez względu na wyszkolenie czy uzbrojenie. Afgańczycy to dumny naród. Czy żołnierzom ANA wystarczy wiary w Islamską Republikę Afganistanu, czy raczej talibowie, uważający się za jedyną armię Islamskiego Emiratu Afganistanu, rozbiją w pył lepiej uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy sił rządowych?

Nie należy zapominać przy tym, że bezpieczeństwo Afganistanu po roku 2014 pozostanie w gestii wielu międzynarodowych graczy – od Półwyspu Arabskiego, poprzez Waszyngton, Moskwę, Pekin, po Delhi, Islamabad i Teheran... Mimo ogromnych środków i ekspresowej budowy niezłej armii Afganistan nadal będzie obiektem toczącej się w Azji Nowej Wielkiej Gry. ANA i ANP nie będą miały na to żadnego wpływu. ■



KONGSBERG

Technologia i postęp

Różnorodność technologii dostarczanych przez KONGSBERG opiera się na szeroko pojętym zapleczu wiedzy i umiejętności ludzi pracujących na różnych szczeblach naszej firmy. Kluczem do sukcesu stała się zdolność łączenia elementów wiedzy w całość tak, by klient otrzymał najlepsze możliwe rozwiązania.

Nasze najważniejsze grupy produktów:

- Systemy dowodzenia i kontroli uzbrojenia
- Systemy obserwacji
- Zdalnie sterowane stanowiska bojowe
- Rozwiązania systemów łączności
- Rakiety przeciwokrętowe

ŚWIATOWA KLASA – dzięki ludziom, technologii i pasji

WIELKA TRÓJKA AFGANISTANU

Czy sojuszowi uda się opuścić Afganistan z twarzą
i zapobiec wybuchowi kolejnej wojny domowej?

MAREK SOBCZAK



WAfganistanie istnieje swoiste trio terroru: mułła Mohammad Omar, Dżalaluddin Hakkani oraz Gulbuddin Hekmatiar. Od nich zależy, gdzie i kiedy wybuchnie kolejna bomba lub rozpocznie się wymiana ognia. Po wyjściu wojsk zachodnich z Afganistanu niewątpliwie ta trójka rozpocznie wyścig o władzę. Może już teraz warto rozmawiać z ludźmi odpowiedzialnymi za ataki na wojska sojuszu, żeby ten wyścig nie zakończył się wojną domową.

MOST NEGOCJACYJNY

Jednym z filarów walki z siłami zachodnimi jest organizacja Hezb-e-Islami (Partia Islamska) z Gulbuddinem Hekmatiaiem na czele. Ten przywódca należy do najbardziej rozpoznawanych postaci w Afganistanie. Najpierw brał udział w walkach z wojskami sowieckimi (jego ruch sponsorowały wtedy Stany Zjednoczone, Pakistan i Arabia Saudyjska), a po ich wyjściu odgrywał jedną z ważniejszych ról w wojnie domowej. Dwa razy był premierem Afganistanu. Początkowo związał się z Ludowo-Demokratyczną Partią Afganistanu, ale później ideologię komunistyczną zastąpił islamem.

Po wojnie ze Związkiem Radzieckim Gulbuddin Hekmatiar stał się legendą. Ciemną stroną jego ówczesnej działalności było jednak angażowanie się w bratobójcze walki. Pozbywał się wówczas wszystkich, którzy mogli zagrozić jego ambicjom. Jednym z konkurentów Hekmatiaia był inny legendarny przywódca mudżahedinów – Ahmad Masud.

Hekmatiar po 11 września 2001 roku skrytykował inwazję sił zachodnich na Afganistan. Wielokrotnie jednak zmieniał swoje poglądy. Raz twierdził, że jego ludzie pomogli uciec Osamie bin Ladenowi z gór Tora Bora, a on jest gotowy walczyć u jego boku. Innym razem wycofywał się z tych deklaracji. Zawsze jednak popierał ataki na siły NATO.

Gulbuddin Hekmatiar tym się jednak różni od innych przywódców rebelii, że chce prowadzić rozmowy z oficjalnym rządem afgańskim. W 2010 roku oenzytowski wysłannik do Afganistanu Staffan de Mistura spotkał się nawet z delegacją Hezb-e-Islami, aby omówić kalendarz wycofania się wojsk zachodnich. Ugrupowanie zapewniało wtedy, że jest gotowe podjąć rozmowy pokojowe i może stanowić most negocjacyjny z talibami. Później przywódca Hezb-e-Islami twierdził jednak, że dopóki obce wojska stacjonują w Afganistanie, dopóty nie ma mowy o pokoju. Jego zięć i negocjator Hajrat Bahir powiedział nawet, że po wyjściu koalicji NATO ten kraj czeka nowa wojna domowa.

MIT NIEPRZEKUPNEGO WOJOWNIKA

Drugi filar partyzancki stanowi siatka Hakkaniego. Jej przywódca Dżalaluddin Hakkani również brał udział w wojnie afgańsko-radzieckiej i wówczas był hojnie dotowany przez Pakistan i Stany Zjednoczone. Po zakończeniu działań militarnych został powołany na urząd ministra sprawiedliwości. Gdy wybuchła wojna domowa, postanowił zrezygnować z tego stanowiska i nie angażował się w działania zbrojne. Do świata polityki wrócił po przejęciu władzy przez talibów. Został wówczas ministrem do spraw pogranicza.

Po atakach na Amerykę we wrześniu 2001 roku Stany Zjednoczone zaproponowały mu, żeby został prezydentem Afganistanu, ale Hakkani odmówił. Później wielokrotnie oferowano mu różne stanowiska w rządzie; on i jego synowie by-



li jednak zaangażowani w walkę z siłami zachodnimi.

Do dziś dla wielu Afgańczyków Dżalaluddin Hakkani jest bohaterem. Niewłączenie się do bratobójczej wojny domowej i odmowa wejścia do rządu przyczyniły się do powstania mitu nieprzekupnego bojownika, którego jedynym celem jest dobro Afganistanu.

MARZENIA O WŁADZY

Najważniejszą siłą powstańczą w Afganistanie są talibowie. Stojący na ich czele mułła Mohammad Omar to jedna z najbardziej tajemniczych postaci. Jest afgańskim politykiem i duchownym. Brał udział w wojnie afgańsko-radzieckiej, a później założył ruch składający się ze studentów medres (szkół islamskich), którzy po wybuchu wojny domowej zaangażowali się w działania zbrojne. W tamtych niespokojnych czasach talibowie, podobnie jak wiele innych ugrupowań, marzyli o przejściu władzy w Afganistanie. Po konflikcie w łonie Sojuszu Północnego i krwawych walkach między prezydentem Burhanuddinem Rabbanim

Prezydent Afganistanu wielokrotnie apelował do bojowników o porzucenie walki i zaangażowanie się w sprawy polityczne kraju. Niektórym wysoko postawionym członkom ruchu proponował nawet konkretne stanowiska w rządzie. Karzaj apelował do mułły Omara o zaangażowanie się w politykę. Przywódca bojowników odrzucił jednak propozycję stworzenia własnej partii. Talibowie zapowiedzieli, że do czasu opuszczenia sił Zachodu z Afganistanu skupią się na atakach na cudzoziemców, rozszerzą także swoją nową taktykę – zabijanie żołnierzy NATO przez podstawionych żołnierzy sił afgańskich.

WOJNA CZY POKÓJ?

Rok 2014 będzie dla Afganistanu przełomowy. Po wyjściu wojsk koalicji do walki o władzę staną najważniejsze ugrupowania partyzanckie, w tym talibowie, siatka Hakkaniego i Hezb-e-Islami. Mimo pewnych różnic te grupy mają dziś jeden cel – walkę z siłami NATO i „marionetkowym prozachodnim” rządem. Dążą też do zbudowania państwa wyznaniowego z Koranem jako konstytucją i

SMAILHODZIC / FOTOLIA ©



WIELKA TRÓJKA AFGANISTANU

DAŻY DO ZBUDOWANIA PAŃSTWA WYZNANIOWEGO Z KORANEM JAKO KONSTYTUCJĄ I SZARIATEM JAKO PRAWEM.

Po 2014 roku pojawi się sprawa mniejszości religijnych i narodowych, w tym Hazarów wyznających szyicką wersję islamu, Tadżyków, Uzbeków i Turkmenów. Powrót do władzy ludzi związanych z poprzednim systemem jest im nie na rękę. Zaangażowanie się wielkiej trójki w czynną politykę oznacza ponowną dominację Pasztunów i sunnickiej wersji islamu, a tym samym marginalizowanie (może nawet zwalczanie) wszelkich mniejszości w wielonarodowym Afganistanie.

a Gulbuddinem Hekmatialem dostrzegli szansę na spełnienie tych marzeń. Mimo porozumienia zawartego między tymi politykami w styczniu 1996 roku nic już nie mogło zatrzymać rosnącej siły talibów. Kilka miesięcy później zdobyli Kabul. Tego dnia jeden z komunistycznych przywódców Mohammad Nadżibullah został wykastrowany i powieszony. To miała być zemsta i ostrzeżenie dla innych. Talibowie ustanowili Islamski Emirat Afganistanu. Głową państwa został Mohammad Omar, a obowiązującym prawem stał się szariat.

Ich rządy obalono 13 listopada 2001 roku w wyniku interwencji wojsk państw zachodnich w Afganistanie po atakach na WTC. Wówczas talibowie zaangażowali się w walkę partyzancką, którą prowadzili różnymi metodami – od zastawiania min pułapek, przez porwania, aż po zabójstwa. Początkowo odrzucali wszelkie próby negocjacji, ale z czasem ich stosunek do rozmów pokojowych się zmienił. Wielkim sukcesem miało być utworzenie biura politycznego w Katarze, za którego pośrednictwem mogłyby odbywać się negocjacje z rządem Hamida Karzaja i siłami koalicji. Rozmowy jednak zostały przerwane po niespełnieniu postawionych przez talibów warunków.

szariatem jako prawem. Ponadto w 2014 roku mija druga, ostatnia już kadencja Hamida Karzaja. I wiele będzie zależało od działań i umiejętności dyplomatycznych nowego prezydenta.

Czy mułła Mohammad Omar, Dżalaluddin Hakkani i Gulbuddin Hekmatiar są jednak zdolni do porozumienia i odrzucenia walki zbrojnej na rzecz rozmów pokojowych i bezkrwawego budowania Afganistanu? Czy ta wielka trójka jest w stanie zrezygnować z własnych ambicji i podzielić się władzą? W przeszłości różnie z tym bywało. Należy jednak pamiętać, że każdy z przywódców rebelii jest także sprytnym i racjonalnym politykiem, który chętnie zamieniłby jałskinię na wygodne biuro w centrum Kabulu.

Siły zachodnie zdały sobie sprawę, że nie zabiją wszystkich bojowników i bez ich udziału nigdy nie będzie pokoju w Afganistanie. Wydaje się, że jedynym sposobem na uniknięcie wojny domowej po wycofaniu się wojsk koalicji jest namówienie tej wielkiej trójki do politycznego zaangażowania się w sprawy Afganistanu przed 2014 rokiem. Przywódcy partyzantów nie chcą jednak włączyć się w rozmowy, dopóki na ich ziemi stacjonują obce wojska. ■

Zamów prenumeratę na 2013 rok:

• e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl • listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97 • faksem: +4822 684 55 03

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł do 14 grudnia 2012 roku na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

12 wydań Polski Zbrojnej w cenie 10



Koszt prenumeraty to tylko 65 zł

Zapraszamy do
prenumeraty
redakcyjnej

Magazyn
wojskowych opinii



KUPON ZAMÓWIENIA PRENUMERATY

polskaZbrojna

Zamawiam roczną prenumeratę „Polski Zbrojnej” w promocyjnej cenie 65 zł

IMIĘ I NAZWISKO ZAMAWIAJĄCEGO:

ADRES Z KODEM POCZTOWYM:

TELEFON: E-MAIL: DATA: PODPIS:

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Wojskowy Instytut Wydawniczy w celu prawidłowego wykonania zamówienia. Dane są chronione zgodnie z ustawą o ochronie danych osobowych (DzU z 2002 r. nr 101, poz. 926 ze zm.). Wiem, że przysługuje mi prawo wglądu do moich danych osobowych oraz ich poprawiania.

PRZED OSTATECZNYM SPRAWDZIANEM

EWA KORSAK

Z generałem porucznikiem **Gillem Fugierem**
o wielonarodowym korpusie w Lille i specyficie francuskiej piechoty morskiej
rozmawiają Edyta Żemła i Tadeusz Wróbel.

Głównym powodem wizyty w Polsce delegacji dowództwa Korpusu Szybkiego Reagowania NATO z Lille są przygotowania do ćwiczeń „Steadfast Jazz 2013”, które będą odbywać się w Polsce i w krajach bałtyckich. Jaki jest ich cel?

Manewry będą ostatecznym sprawdzianem gotowości sztabu naszego korpusu do objęcia w 2014 roku dowodzenia lądowymi jednostkami Sił Odpowiedzi NATO. Będzie to również okazja do przetestowania łańcucha dowodzenia i współdziałania wojsk lądowych z siłami specjalnymi, powietrznymi i morskimi – więc na ćwiczeniach „Steadfast Jazz 2013” ma być użytych co najmniej siedem różnych sieci informatycznych. Na polskim poligonie w Drawsku powstaną stanowiska dowodzenia naszego korpusu i dwóch francuskich brygad. Będą ćwiczyć trzy francuskie sztaby różnych szczebli. To właśnie żołnierze wojsk lądowych Francji od 2014 roku przez następny rok będą trzonem lądowej części Sił Odpowiedzi NATO. Przyjechaliśmy do Polski, by nawiązać kontakty, które ułatwią przygotowania do tych ćwiczeń.

Dlaczego w manewrach mają uczestniczyć dowództwa aż dwóch francuskich brygad?

Dowództwo naszego korpusu będzie przez rok w gotowości do wykonania zadań związanych z artykułem V traktatu waszyngtońskiego. W armii francuskiej jednostki pełnią natomiast dyżury przez pół roku.

Które brygady pojawią się w Drawsku? Może 9 Lekka Brygada Pancerna Piechoty Morskiej?

Do Polski przybędzie dowództwo 11 Brygady Spadochronowej z Balmy, która będzie pełniła dyżur bojowy w Siłach Odpowiedzi NATO przez pierwsze trzy miesiące. Druga brygada to nie Dziewiąta, lecz 6 Lekka Brygada Pancerna z Nimes, która pozostanie w gotowości do użycia NATO przez pół roku.

Zastaje jeszcze trzy miesiące dyżuru bojowego waszego korpusu.

Obowiązki od 6 Lekkiej Brygady Pancernej przejmie 3 Brygada Zmechanizowana z dowództwem w Clermont Ferrand, która nie weźmie udziału w ćwiczeniach „Steadfast Jazz”.

Ćwiczyć będą tylko sztaby i jednostki dowodzenia?

Nie tylko. Poza dowództwami będą szkolić się też jednostki operacyjne – polski batalion zmechanizowany oraz francuski batalion obrony przed bronią masowego rażenia. W sumie w ćwiczeniach weźmie udział ponad 1,2 tysiąca żołnierzy z mojego kraju. Przyjedzie również czeska jednostka obrony przed bronią masowego rażenia. Wielka Brytania zadeklarowała natomiast, że przysśle batalion. Wszystkie szczegóły ćwiczeń nie są jeszcze ustalone, więc być może dołączą inne armie. Ostateczne decyzje zapadną na konferencji, która odbędzie się wiosną 2013 roku.

Po co powstało dowództwo korpusu w Lille?

Dowództwo korpusu NATO w Lille zaczęło działać 1 lipca 2005 roku, a dwa lata później uzyskało natowski certyfikat sił wysokiej gotowości. Jesteśmy jednym z siedmiu takich istniejących w sojuszu północnoatlantyckim dowództw. W Lille służą wojskowi z trzynastu państw członkowskich NATO. Nasz sztab może dowodzić zgrupowaniami wojsk lądowych liczącymi od pięciu do kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy.

W jakich operacjach uczestniczyło dowództwo pańskiego korpusu?

Pierwszą misją korpusu było dowodzenie w 2008 roku lądowym komponentem Sił Odpowiedzi NATO. W 2011 roku wydzieliliśmy natomiast około 180 osób do dowództwa Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa w Afganistanie.

Byliście również zaangażowani w misję unijną.

Na początku 2009 roku wsparliśmy misję Unii Europejskiej w Czadzie i Republice Środkowoafrykańskiej, Eufor Tchad-RCA. Mój korpus odpowiadał za sprawy dotyczące ochrony uchodźców i przekazania dowodzenia operacją Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wzięliśmy udział w tej misji, ponieważ dowództwo z Lille jest jednym z dwóch, które poza operacjami w ramach NATO są przeznaczone do podobnych działań na podstawie mandatu Unii Europejskiej. Drugim jest sztab Eurokorpusu w Strasburgu, z którym współdziałamy.

Czy współpracujecie z polskimi Wojskami Lądowymi?

Korpus z Lille utrzymuje kontakty z Wojskiem Polskim od początku swego istnienia. Przed wielu laty nawiązaliśmy też współpracę ze szczecińskim korpusem wielonarodowym. Przy okazji ćwiczeń prowadzonych przez obie kwatery główne odbywa się wymiana oficerów. Systematycznie odwiedzają nas również wojskowi z dowództwa 2 Korpusu Zmechanizowanego w Krakowie. Współpracowaliśmy też z polskimi wojskowymi przy okazji misji Unii Europejskiej w Czadzie. Gdy służyłem w Międzynarodowych Siłach Wsparcia Bezpieczeństwa w Afganistanie, w moim sztabie przez rok był generał dywizji Bogusław Samol, obecny zastępca dowódcy Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie. Ponadto podczas tej misji miałem okazję obserwować działania Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Ghazni. Widziałem też w akcji wasze Wojska Specjalne. Oceniam je bardzo wysoko.

Jaką rolę w przyszłości będą odgrywały dowództwa sił szybkiego reagowania?

Jestem przekonany, że znaczenie takich struktur będzie rosło, ponieważ w sytuacjach kryzysowych jedną z najważniejszych spraw jest zdolność do jak najszybszego zareagowania na zagrożenie.

Nie sposób nie zapytać o francuskie doświadczenia w tej dziedzinie. Przed objęciem stanowiska w korpusie wielonarodowym dowodził Pan jednym z dwóch istniejących we

francuskiej armii dowództw sił, które, podobnie jak sztaby natowskich korpusów, nie mają na stałe podporządkowanych jednostek.

Obecna struktura dowodzenia we francuskich wojskach lądowych jest wynikiem kilkudziesięcioletnich doświadczeń z misji zagranicznych. Dokonała się ewolucja systemu dowodzenia – od sztywnego do modułowego. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych powstały sztaby, które mogą przejąć dowodzenie nad zgrupowaniami jednostek potrzebnych do wykonania konkretnych zadań i stanowią równowartość dywizji. Podobna idea przyświecała utworzeniu dowództw korpusów szybkiego reagowania w NATO, tyle że mają one charakter wielonarodowy i mogą dowodzić kilkoma dywizjami.

Spędził Pan dużo czasu poza Francją, służąc na jej zamorskich terytoriach lub na misjach.

Rzeczywiście w ostatnich sześciu latach byłem dwa i pół roku poza krajem, ale przedtem przez siedem lat służyłem w instytucjach centralnych. Wcześniej natomiast byłem w jednostkach piechoty morskiej stacjonujących na Martynice i Nowej Kaledonii.

Czy są jakieś znaczące różnice w charakterze wojsk na terenie Francji i jej terytoriach zamorskich?

Na terytoriach zamorskich poza jednostkami bojowymi w Troupes de Marine [jednostki kontynuujące tradycje dawnej piechoty morskiej] są też takie, które mają pomóc w podniesieniu poziomu wykształcenia tamtejszej młodzieży i zdobyciu zawodu przydatnego w cywilu. Choć obowiązkowa służba wojskowa została zniesiona, zachowano te jednostki jako narzędzie pomocy rządu Francji dla mieszkańców terytoriów zamorskich. Oczywiście kwestie związane z edukacją podlegają merytorycznemu nadzorowi instytucji cywilnych.

Jak można krótko opisać Troupes de Marine?

To formacja z ponadwustuletnią tradycją. Wywodzi się z marynarki wojennej, w której jest nieco inny styl dowodzenia niż w całej armii. Dlatego zachowała ona swoją specyfikę, choć od 1900 roku jest częścią wojsk lądowych.

Niektórzy żartują, że Troupes de Marine to piechota morska, o której marynarka wojenna zapomniała, gdy ta zeszła na ląd.

Nie zgadzam się, że traktowani są jak zapomniani marynarze. Negocjacje w parlamencie francuskim o przekazaniu tych oddziałów pod zwierzchnictwo wojsk lądowych trwały trzydzieści lat.

Francuska marynarka wojenna ma jednak własną piechotę morską – Fusiliers Marins.

Zanim Troupes de Marines stały się częścią wojsk lądowych, marynarka wojenna stwierdziła, że potrzebuje żołnierzy między innymi do ochrony swych portów i okrętów. Powstały jednostki strzelców morskich, a z czasem oddziały komandosów i pływonurków. ■

WIZYTÓWKA

GENERAŁ
PORUCZNIK
GILLES FUGIER

Stoi na czele dowództwa Korpusu Szybkiego Reagowania w Lille od sierpnia 2009 roku. Wcześniej dowodził 2 Dowództwem Sił w Besançon. Jako oficer jednostek Troupes de Marine służył zarówno na terenie Francji, jak i terytoriach zamorskich. Uczestniczył również w misjach zagranicznych w Afganistanie i na Bałkanach.

**DLA POLSKI
NAJWIĘKSZE
ZNACZENIE
MA SPRAWA
ZABEZPIECZENIA
WSCHODNICH
GRANIC**

W poszukiwaniu lidera

Jednym z najważniejszych wyzwań w najbliższej dekadzie będzie obrona nieba.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Dyskusja, jaka się toczy od kilku miesięcy, znacznie odbiega od tej sprzed paru lat, gdy administracja prezydenta George'a W. Busha zaproponowała budowę tarczy antyrakietowej. Dziś nie jest to już projekt bilateralny, lecz sprawa całego NATO, które chce chronić własne terytorium.

ZGODNI POLITYCY

Politycy i eksperci są dziś zgodni, że potrzebny jest nowoczesny system chroniący Polskę przed potencjalnymi atakami raketowymi. Pokrywa się to także z koncepcją strategiczną NATO z 2010 roku oraz z rozwijanym przez sojusz programem Active Layered Theatre Ballistic Missile Defence (ALTBMD).

System, który dotychczas chroni nasz kraj, jest zbudowany z zestawów raketowych produkcji radzieckiej i odpowiada na zagrożenia sprzed 30–40 lat. Tymczasem dziś mamy inną amunicję lotniczą, rakiety samosterujące oraz bezażogowce.

O budowie systemu obrony powietrznej, w tym przeciwraketowej, prezydent Bronisław Komorowski mówił w listopadzie 2011 roku. Ostatnio wskazał, skąd wziąć na ten cel pieniądze. Modernizacja systemu obrony nieba nie będzie dodatkowym obciążeniem dla budżetu. Ma zostać sfinansowana w ramach 1,95 procent PKB przeznaczanych na obronność, a konkretnie z corocznego przyrostu budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej wynikającego ze zwiększania się PKB.

Do końca 2012 roku MON ma przedstawić szczegółowy harmonogram i szacunkowe koszty (dziś mówi się o około 15 miliardach złotych). Według prognoz Biura Bezpieczeństwa Narodowego dotyczących wzrostu PKB w latach 2014–2023 udało się uzyskać 8–12 miliardów złotych. Dodatkowe środki pochodzić będą z oszczędności po zakończeniu operacji afgańskiej, która dotąd kosztowała budżet 5 miliardów złotych.

Projekt prezydenta zakłada, że program ruszy od 2014 roku, gdy wycofamy się z Afganistanu. W ciągu dziesięciu lat armia miałaby otrzymać mobilny system zapewniający ochronę wybranych obszarów – ważnych obiektów lub dużych zgrupowań wojsk, w razie potrzeby także kontyngentów za granicą.

„W czasie tej dekady wojsko powinno uzyskać zdolności obrony przeciwraketowej w stopniu pozwalającym na osłonę kilku ważnych obiektów strategicznych czy dużego zgrupowania operacyjnego”, twierdzi generał Stanisław Koziej.

Polski system, chroniący przed atakami rakiet krótkiego i średniego zasięgu, ma być kompatybilny z szerszym systemem budowanym w ramach NATO, mającym zapewnić ochronę terytorium wszystkich państw członkowskich. Szef BBN podkreśla, że system obrony przeciwraketowej musi być budowany w kooperacji międzynarodowej, ponieważ wymaga najnowo-

ześniejszych rozwiązań technicznych, co wiąże się z kosztownymi zakupami antyrakiet (pod uwagę brane są amerykańskie Patriots, francusko-włoskie Astry i izraelskie Arrowy).

Czy lukratywne kontrakty trafią do producentów z zagranicy, czy też zarobią polskie firmy zbrojeniowe na czele z Bumar-em? Podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach prezydent Bronisław Komorowski mówił, że „należy w maksymalnym stopniu wykorzystać możliwości tkwiące w polskim przemyśle obronnym, zwłaszcza w kooperacji z firmami zagranicznymi”.

„Dziś jeszcze za wcześnie, aby mówić o konkretnej technologii – szukamy najlepszych rozwiązań we współpracy z polskim przemysłem obronnym i partnerami zewnętrznymi”, uważa wiceminister obrony narodowej Robert Kupiecki, a szef Sztabu Generalnego generał Mieczysław Cieniuch radzi polskim producentom, aby byli konkurencyjni.

Najbardziej prawdopodobny scenariusz to taki, że nie będzie żadnych preferencji w sprawie dostawcy systemu, a rozstrzygnięcia zapadną w drodze przetargów. Podziałem kawałka tortu nad polskim niebem zainteresowana jest światowa czołówka producentów: europejska korporacja MBDA, amerykański Raytheon Company, norweski Kongsberg i izraelski Rafael. Warto jednak wybrać takie rozwiązanie, które zagwarantuje polskim firmom dostęp do ich technologii lub przynajmniej możliwość współpracy.

TYLKO DLA POLSKI?

O tarczy dyskutowano podczas kieleckich targów. W panelu poświęconym obronie powietrznej kraju i regionu uczestniczyli szef BBN profesor Stanisław Koziej, wiceminister obrony narodowej Robert Kupiecki, wiceminister spraw zagranicznych Bogusław Winid, przewodniczący Rady Wykonawczej Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego Janusz Onyszkiewicz, członek RW SEA Leon Komornicki oraz Beata Górka-Winter, ekspert z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

„Czy «tarcza polska» to tarcza tylko dla Polski, do ochrony naszego terytorium? Czy nie powinna ona stać się załącznikiem projektu, który wzmocni bezpieczeństwo wschodniej flanki NATO?”, pytała Beata Górka-Winter. Szkoda, że podczas panelu zabrakło czasu na dłuższą dyskusję, bo pomysł wydaje się interesujący i wychodzi poza dotychczasowe ramy debaty.

„Nasze ambicje pełnienia roli lidera, przynajmniej w tym obszarze Europy, przestały być li tylko deklaracjami. Dziś mamy świadomość, że nie można być «liderem na gapę», który co prawda umie sformułować wizję odważnych projektów, ale tu właściwie kończy się jego rola, gdyż w kwestiach takich jak wkład własny, finansowanie i gotowość wyłożenia środków pa-



trzymy zawsze na innych – na państwa z większym niż nasz budżetem obronnym, gotowe nas wesprzeć, także materialnie, ze względów politycznych”, tłumaczy analityczka PISM.

Trudno odmówić racji argumentom, że Polska nie będzie bezpieczna, jeśli nie będą bezpieczne państwa bałtyckie, a także nasi południowi sąsiedzi. W sojuszu podejrzliwie patrzy się na wszelkie projekty narodowe, regionalna tarcza lepiej wpisze się w natowski program obrony przeciwrakietowej. Czy jest jednak do udźwignięcia pod względem finansowym?

„Właśnie tutaj powinniśmy wdrażać bardziej niż gdzie indziej koncepcję smart defence i zabiegać o to, by natowskie środki, na przykład z programu NSIP, mogły wspomóc rozbudowę takiej infrastruktury”, proponuje Beata Górka-Winter. Może powinniśmy przyjrzeć się innym inicjatywom regionalnym i zastanowić nad stworzeniem środkowoeuropejskiego systemu na kształt amerykańskiego i kanadyjskiego North American Aerospace Defense Command (NORAD). Takie podejście przyniesie nie tylko korzyści w sferze bezpieczeństwa, lecz także może obniżyć koszty budowy systemu.

PEWNOŚĆ CZY DEKLARACJE?

Beata Górka-Winter podkreśla, że to dobrze, że przestano uzależniać tworzenie własnych projektów obronnych wyłącznie od planów amerykańskich. To ważne, aby nie opierać się tylko na tym, co mają nam do zaoferowania sojusznicy, lecz wyznaczać sobie własne priorytety i cele w tej sferze – także w przypadku tarczy.

Robert Kupiecki z MON uważa, że nie ma ryzyka, iż zaangażowanie USA w projekt będzie malało. Nie wszyscy są podobnego zdania. Beata Górka-Winter zwraca uwagę na to, że projekt amerykańskiej tarczy może być modyfikowany zależnie od sytuacji. Jeśli za dwa–trzy lata amerykańska administracja

uzna, że rakiety czy wyrzutnie na naszym terytorium nie odpowiadają aktualnym interesom Waszyngtonu, znów wszystko może ulec modyfikacją.

Z raportu German Marshall Fund of the United States wynika, że w ostatnim czasie spadło zaufanie Polaków do USA. Miały na to wpływ między innymi zmiany koncepcji amerykańskiej tarczy antyrakietowej, której elementy miałyby znaleźć się na naszym terytorium, a także ujawnione przypadkowo nieoficjalne negocjacje amerykańsko-rosyjskie dotyczące kierunków dalszych zmian owych koncepcji, z uwzględnieniem interesów Moskwy.

Zgodnie z planami obecnej administracji USA, na terenie Polski mają zostać rozmieszczone elementy amerykańskiego systemu obrony przeciwrakietowej. W ramach współpracy ze Stanami Zjednoczonymi w Słupsku-Redzikowie od 2018 roku ma zacząć działać baza amerykańskiego systemu obrony z rakietami SM-3. Będzie ona elementem zintegrowanego systemu obrony powietrznej i przeciwrakietowej NATO.

„Choć sojusz zadeklarował wolę stworzenia takiego systemu, wiadomo, że w różnych stolicach europejskich priorytety w tej sferze nie zawsze są tożsame, a kryzys finansowy zapewne zweryfikuje te plany”, ostrzega Beata Górka-Winter. I zwraca uwagę, że nasze interesy i interesy naszego najważniejszego sojusznika w sferze bezpieczeństwa – Stanów Zjednoczonych – nie zawsze są tożsame. Dla USA priorytetem jest zmaganie się z zagrożeniami płynącymi z Bliskiego Wschodu, o czym świadczą zarówno projekt European Phased Adaptive Approach (EPAA), jak i wzmoczona współpraca z Arabią Saudyjską czy Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. W najbliższym czasie nie ulegnie to zmianie. Dla nas największe znaczenie ma zabezpieczenie naszych wschodnich granic. ■



Troska o równowagę

Trzy pytania do **Janusza Onyszkiewicza**, byłego ministra obrony narodowej

NATO chciało budować tarczę antyrakietową w porozumieniu z Rosją...

Moskwa jest przeciwna tarczy, ale zdaje sobie sprawę, że nie powstrzyma tego procesu. Jest nastawiona negatywnie, ponieważ obawia się, że tarcza może zaburzyć równowagę strategiczną, jeśli chodzi o pociski międzykontynentalne z głowicami jądrowymi. To obawa o tyle nieuzasadniona, że potencjał tarczy nie wystarczy, aby powstrzymać rosyjskie rakiety.

Czy mamy spodziewać się ostrej reakcji ze strony Moskwy?

Nie. Tarcza będzie miała charakter defensywny. Rosja jest o tyle w trudnej sytuacji, że zdaje sobie sprawę, iż sama

nie zbuduje podobnego systemu. Luka technologiczna jest kolosalna i koszt byłby bardzo wysoki. Rosja tym protestem maskuje technologiczne opóźnienie w nadziei, że nie dojdzie do zbudowania tarczy.

Czy można myśleć o jakiejś formie współpracy z Moskwą przy budowie tarczy?

Rosyjscy eksperci, a także niektórzy znaczący politycy uważają, że należałoby się zgodzić na tarczę antyrakietową, która miałaby możliwość przechwytywania nie dalekosiężnych rakiet strategicznych, lecz tych bliższego zasięgu. W niczym nie uszczupliłoby to strategicznej równowagi, a mogłoby stać się

krokiem milowym w budowie wzajemnego zaufania, gdyby poszczególne elementy dwóch systemów – natowskiego i rosyjskiego – miały pewne części wspólne, na przykład centra zbierania informacji zarówno z satelitów rosyjskich, jak i natowsko-amerykańskich. Byłyby one obsługiwane i przez oficerów rosyjskich, i natowskich, a jedno z dwóch–trzech takich centrów mogłoby powstać w Warszawie. Nie znaczy to jednak, że ta koncepcja jest przyjmowana przez rosyjskie władze. ■

JANUSZ ONYSZKIEWICZ
BYŁ MINISTREM OBRONY
NARODOWEJ W LATACH
1992–1993, 1997–2000.

WYŻSZA SZKOŁA OFICERSKA SIŁ POWIETRZNYCH W DEBLINE



www.wsosp.deblin.pl

**Nowoczesna Uczelnia
z wielkimi tradycjami**

Studia wojskowe

Studia stacjonarne I i II stopnia na kierunku **"Lotnictwo i Kosmonautyka"** w specjalności:

- pilotaż (samoloty odrzutowe, samoloty transportowe, śmigłowce).

Studia stacjonarne I stopnia na kierunku **"Nawigacja"** w specjalnościach:

- nawigacja;
- zarządzanie ruchem lotniczym.

Studia cywilne

Studia stacjonarne I stopnia na kierunku **"Lotnictwo i Kosmonautyka"** w specjalnościach:

- pilotaż,
- awionika.

Studia stacjonarne i niestacjonarne II stopnia w specjalności:

- eksploatacja statków powietrznych.

Studia stacjonarne i niestacjonarne I stopnia na kierunku **"Nawigacja"** w specjalności:

- zarządzanie ruchem lotniczym.

Studia stacjonarne i niestacjonarne I stopnia na kierunku **"Bezpieczeństwo Narodowe"** w specjalnościach:

- bezpieczeństwo i ochrona lotnisk;
- zarządzanie bezpieczeństwem w lotnictwie

Studia stacjonarne i niestacjonarne I stopnia na kierunku **"Logistyka"** specjalności:

- logistyka lotnictwa.

Studia podyplomowe

Niestacjonarne studia podyplomowe w specjalnościach:

- zarządzanie ruchem lotniczym;
- eksploatacja statków powietrznych;
- zarządzanie systemami bezpieczeństwa i higieny pracy w organizacjach lotniczych;
- bezpieczeństwo w portach lotniczych;
- zarządzanie lotniskami użytku publicznego;

Rekrutacja

tel. (81) 551 77 33 - studia wojskowe

tel. (81) 551 88 11 - studia cywilne Wydział Lotnictwa

tel. (81) 551 82 71 - studia cywilne Wydział Bezpieczeństwa Narodowego i Logistyki

wojny i pokoje

XVII WIEK

„Carowie Szujscy na Sejmie
Warszawskim”, obraz
Jana Matejki z 1892 roku





| K O N F L I K T Y |

CICHACZEM N A K R E M L

Z profesorem **Mirosławem Nagielskim**
o ponaddwuletnim pobycie polskich wojsk w Moskwie i konsekwencjach
tego wydarzenia rozmawia Andrzej Fafara.



EWA KORSÁK

→ CICHACZEM NA KREML

Czy to prawda, że Polacy jako drudzy w historii – po Mongołach – zdobyli Moskwę?

Nie zdobyli, tylko zostali do niej wpuszczeni 9 października 1610 roku przez bojarów, którzy chcieli, by carem Rosji był Władysław, syn polskiego króla Zygmunta III Wazy. I jeszcze drugie sprostowanie: to nie Polacy wchodzili do Moskwy, ale przedstawiciele Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wojsko dowodzone przez sławnego hetmana Stanisława Żółkiewskiego opanowało Moskwę cichaczem, w nocy, wchodząc do miasta bocznymi bramami, by reszta Rosjan nie zorientowała się, jak nieliczny regiment obsadza ich stolicę.

Jak bardzo nieliczny?

Hetman Żółkiewski trzy miesiące przed wkroczeniem do Moskwy odniósł pod Kłuszynem jedno ze wspanialszych zwycięstw w historii oręża Rzeczypospolitej. Miał tam do dyspozycji około 4 tysięcy jazdy i 200 piechoty. Rozbił w puch 30 tysięcy wojsk moskiewskich wspieranych przez 3,5 tysiąca najemników. Te same polskie siły znalazły się w Moskwie, wzmocnione tylko oddziałem Aleksandra Korwina Gosiewskiego, któremu Żółkiew-

ski oddał w pewnym momencie dowództwo, a sam z Moskwy wyjechał. Było więc tego naszego wojska kilka tysięcy. Proszę pamiętać, że od 1609 roku trwała wojna polsko-moskiewska i że większość naszej armii, dowodzona przez króla Zygmunta III, oblegała w tym samym czasie Smoleńsk.

Nie lepiej było ruszyć wszystkimi siłami na Moskwę, niż tracić czas pod Smoleńskiem?

To miasto było kluczowe dla obu stron. Tak zwana brama smoleńska, położona między górną Dźwiną a górnym Dnieprem, stanowiła główną drogę na wschód i zachód. Król nie mógł więc zrezygnować z oblężenia tego miasta. Proszę wziąć pod uwagę, że to przez nie przeszły 200 lat później idące na Moskwę wojska Napoleona. Drogą przez Smoleńsk atakowali też hitlerowcy podczas II wojny światowej.

WIZYTÓWKA

MIROSŁAW NAGIELSKI

Profesor doktor habilitowany w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w historii wojen i wojskowości, dziejach parlamentaryzmu Rzeczypospolitej i Kozaczyzny zaporoskiej.

Wojska królewskie zdobyły miasto 13 czerwca 1611 roku. Mielliśmy więc w swoich rękach ową bramę na wschód oraz stolicę kraju. Potrafiłiśmy to wykorzystać?

To nie było takie proste. Wojska Zygmunta miały jeszcze do Moskwy daleką drogę, na której znajdowały się inne twierdze do zdobycia. A Rosjanie zwarli szeregi, by dać odpór Polakom. Zaczęła się blokada Moskwy, która pogorszyła sytuację kilkutyśięcnej polskiej załogi. Głównym problemem stała się aprowizacja. W pewnym momencie głód był tak duży, że doszło do przypadków kanibalizmu. Wielki hetman litewski Jan Karol Chodkiewicz nie zdołał, mimo krwawych walk stoczonych w pierwszych dniach września 1612 roku, przebić się do miasta z odsieczą. W tym przypadku szable miały równie duże znaczenie jak wozy z żywnością. Niechlubną kartą pobytu polskiej załogi w rosyjskiej stolicy było spalenie sporej części miasta. Nie przysporzyło to sympatii stacjonującym w Moskwie Polakom, którymi pod koniec blokady dowodził Mikołaj Struś. Po kapitulacji duża część załogi Rzeczypospolitej została przez Rosjan wyrznięta. Zostawiono przy życiu dowódców, by móc ich wymienić na rosyjskich jeńców, wśród których był ojciec późniejszego cara, Michała Romanowa.

Powiada Pan Profesor, że nie było łatwo wykorzystać osiągnięta w pewnym momencie przewagę. Czy to znaczy, że nie popełniono żadnych błędów?

Popełniono. Zbyt wiele interesów wchodziło w rachubę, by można było uniknąć nietrafnych decyzji. Weźmy sytuację w momencie wejścia naszych do Moskwy. Żółkiewski obiecał bojarom, że intronizacja królewicza Władysława na cara Rosji odbędzie się w obrządku prawosławnym i Polska odda wszystkie twierdze zdobyte w wojnie rozpoczętej w 1609 roku. Zygmunt III nie akceptował tych warunków, miał pretensje do swojego hetmana, że złożył Rosjanom te obietnice. Król był pragmatyczny, ważne było w tym momencie spełnienie obowiązku rekuperacji, czyli odzyskania ziem utraconych przez Rzeczpospolitą, począwszy od przełomu XV i XVI wieku. Moskwa nie należała do ziem utraconych, więc nie była dla polskiego monarchy priorytetem. Gdy pojawiła się szansa osadzenia na carskim tronie królewicza Władysława, Zygmunt III chciał z niej skorzystać. Zaproponował jednak swoją kandydaturę do czasu przybycia Władysława do Moskwy, na co bojarzy nie chcieli się zgodzić. To było główną przyczyną załamania się negocjacji.

Załoga Rzeczypospolitej nie wycofała się z tego powodu z Moskwy?

Nie było takiej decyzji. Zygmunt III pewnie się wahał. W marcu 1612 roku wysłał ze Smoleńska do senatorów w kraju tak zwane listy deliberatoryjne, w których prosił o radę: czy królewicz Władysław ma wstąpić na tron, czy nie? W podtekście chodziło o pieniądze, które były potrzebne, żeby osadzić mocną załogę na Kremlu. Senatorowie odpowiedzieli, że Zygmunt z Władysławem powinni przebywać w Smoleńsku i czekać na rozwój wydarzeń. Tymczasem determinacja Rosjan chcących wyzwoić stolicę rosła. Gdy armia powstańcza kniazia Dymitra Pożarskiego wycinała polską załogę w Moskwie, wojska Zygmunta III znajdowały się w Wiaźmie, około 200 kilometrów od stolicy Rosji.

Czy dwuletni pobyt załogi Rzeczypospolitej w Moskwie był wydarzeniem na skalę europejską?

Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. We wszystkich stolicach europejskich wiedziano o toczących się walkach na wschodzie, wyprawie Zygmunta III pod Smoleńsk i wejściu Polaków na Kreml. Dla Szwecji rządzonej przez Karola IX sukcesy sił polsko-litewskich były śmiertelnym zagrożeniem. Wprowadzenie polskiego królewicza na tron moskiewski oznaczało przecież istotną zmianę układu sił. Chodziło przy tym nie tylko o politykę, lecz także o gospodarkę.

Gospodarka miała wtedy tak duże znaczenie?

Oczywiście. To właśnie wzrost gospodarczy, który miał miejsce w Polsce na początku XVII wieku, sprawił, że Rzeczpospolita mogła podjąć wyprawę na wschód, której końcowym efektem był dwuletni pobyt polskiej załogi na Kremlu. Kwitł w tamtym czasie handel zbożem, kraj się bogacił. Szlachtę stać było na finansowanie kosztownych pomysłów władzy. Sprzyjające okoliczności przyczyniły się do wyżu demograficznego i nadmiaru żołnierzy po zakończeniu rokосу sandomierskiego.

ŚWIĘTO W ROSJI

Dzień, w którym 400 lat temu skapitulowała polska załoga w Moskwie, został uznany w 2005 roku przez władze Federacji Rosyjskiej za święto narodowe (obchodzone 4 listopada). W tym roku, z racji okrągłej rocznicy, będzie ono celebrowane ze szczególnym rozmachem. Rosjanie organizują między innymi sympozjum naukowe, na które zaprosili kilkunastu polskich uczonych. Jednym z gości będzie nasz rozmówca, profesor doktor habilitowany Mirosław Nagielski.

Zbyt liczne wojsko miało stać się problemem...

Przykładem na to są lisowczycy, którzy podczas wojny polsko-moskiewskiej wstawili się nie tylko bitnością, lecz także łupieżstwem. Po wojnie nie bardzo wiedziano, co z nimi zrobić. Po powrocie do kraju dokonywali licznych grabieży, aż w końcu potępił ich sejm i zostali rozwiązani. Ale lisowczycy to tylko drobny negatywny efekt najśłynniejszej w dziejach Rzeczypospolitej wyprawy na wschód. Dużo większym problemem stał się rozrost Kozaczyzny zaporoskiej. Kozacy, bijąc się ofiarnie po stronie Rzeczypospolitej, posmakowali wolności. Po wojnie nie chcieli wracać do pańszczyźnianych obowiązków. Zaczęły się kłopoty. Rozrost Kozaczyzny skutkowało powstaniem Bohdana Chmielnickiego i krwawymi bitwami opisanymi przez Henryka Sienkiewicza w „Ogniem i mieczem”. Kozacy, którzy współtworzyli potęgę Rzeczypospolitej, w dużym stopniu przyczynili się do jej upadku.

Szybko to potem poszło. Wejście do Moskwy i pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej dzielią zaledwie 162 lata.

I znów trzeba szukać powodów w gospodarce. Zaczął się w Polsce kryzys, który skutkowało między innymi upadkiem husarii. Wyposażenie tej sztandarowej formacji Rzeczypospolitej było bardzo kosztowne. To nie przypadek, że im dalej w XVII wiek, tym mniejsza liczba husarii, co ukazują czasy potopu i nowiej wojny z Moskwą w latach 1654–1667. Coraz słabsza armia, coraz słabsza władza i do tego konieczność walki na kilku frontach. Z tym, jak uczy historia, nie potrafiły sobie poradzić dużo większe potęgi niż Rzeczpospolita Obojga Narodów. ■

Nowoczesne amazonki

Wysiłki włożone w fizyczne doskonalenie kobiety, jej obywatelskie wychowanie i wyrobienie karnośći pozostaną trwałym dorobkiem narodowym.

ANNA DĄBROWSKA



NAC

Odrzucenie współdziałania w obronie Ojczyzny ideowo i fachowo przygotowanych kobiet byłoby niewyzyskaniem istniejącego napięcia patriotycznego i umniejszeniem moralnej potęgi narodu, która stanowi największą siłę Polski i z którą liczyć muszą się nasi sąsiedzi”, argumentował na łamach POLSKI ZBROJNEJ 20 maja

1925 roku major Anatol Makowski, oficer Sztabu Generalnego.

Jednocześnie prasa wojskowa przytaczała przykłady kobiet, które służyły w szeregach legionów. „Na linii bojowej walczyły, znosząc trudy niezwyklej kampanii z uśmiechem, witając kule, szrapnele i granaty jasnym spojrzeniem męstwa”, opisywał Marjan Dobrowolski.

Jako przykład podawał historię obywatelki Ludki, która rzuciła wygodne życie bogatej kobiety i „poszła dla sprawy w nędzę i poniewierkę żołnierską”.

„Ta nowoczesna amazonka została sierżantem prowiantowym 3. kompanii i gdy mężczyźni walczyli z bronią w ręku, ona wybrała skromniejszy, ale równie ważny posterunek, pracując w kuchni obozowej i sanitariacie”, opowiadał. „Gdy trzeba było, w chłopskiej chacie gotowała ziemniaki i sama nosiła je na front legionistom”. Dodał też, że właśnie takie bohaterki przysparzały nowych wawrzynów do wieńca chwały polskich kobiet. „Z posiewu ich krwi zrodził się czyn pracy pokojowej przysposobienia wojskowego kobiet do obrony kraju, których owoce zbierać będzie ojczyzna w chwili potrzeby”.

Jednym z przykładów takiej działalności było koło w Jaśle. Założyło je w 1926 roku 38 członkiń czynnych i 15 wspierających, prezesem została mecenasowa Gabryszewska, a jej zastępczynią majorowa Porębska. Jak informował korespondent wojskowej gazety, istniejący przy kole hufiec żeński przechodził dwa razy w tygodniu ćwiczenia z obrony

M P I T A V A L

Nerwowy kapitan

Kiedy szofer nazwał go łobuzem,
oficer wyciągnął rewolwer i go zastrzelił.

Kapitan pilot Paweł Stefański z 1 Pułku Lotniczego należał do wojskowej elity kraju. Zasłynął szczególnie brawurowymi lotami w czasie walk w wojnie z bolszewikami. Gorzej wiodło się mu w codziennym życiu. Oficer nie stronił od alkohola,

szybko się upijał, a wtedy bywał nerwowy i nieprzyjemny. Do tego po wychyleniu kilku kieliszków stawał się niezwykle przeczulony na punkcie oficerskiego honoru.

Pewnego letniego dnia w Warszawie w 1928 roku kapitan z dwoma kolega-

mi oficerami wybrał się do restauracji Empire. Gdy panowie wracali do domu, był już mocno podchmielony. Nie rozglądał się uważnie i na przejściu dla pieszych na ulicy Hożej omal nie wpadł pod samochód – taksówkę Stefana Kamyka. Zdenerwowany szofer wyskoczył z auta i zaczął wyzywać oficera.

Awantura, która się rozpętała, zakończyła się na pobliskim komisariacie. Przodownik Tadeusz Barański, który tego dnia pełnił służbę, opowiadał, że szofer cały czas krzyczał, obrażając kapitana. Pilot zaś, który był tego dnia po cywilnemu, oświadczył, że należy mu się szacunek, bo jest oficerem. Szofera

przeciwgazowej, szkolenie strzeleckie i uczył się o broni. W planach były jeszcze wyszkolenie ze służby sanitarnej oraz kurs rachunkowości i gospodarki wojskowej. „Z uznaniem podnieść należy, że w hufcu uczęszczają na zajęcia w przeważającej liczbie panie poważniejsze, które mimo swych codziennych zajęć związanych z prowadzeniem domu znajdują kilka godzin dla spraw obrony państwa”.

Podobna inicjatywa zrodziła się w Warszawie, gdzie w lokalnym Kole Polek zaczęto prace nad przysposobieniem rezerw kobiecych do obrony kraju. Tłumaczono, że w razie konieczności panie podjęłyby w armii prace gospodarczo-sanitarne. Działalność stowarzyszeń zajmujących się przysposobieniem obronnym pań koordynował Komitet Społeczny. W 1930 roku wystąpił z wnioskiem o upowszechnienie kobiecego przysposobienia wojskowego. „W tym celu należy przenieść pw do szkół i wyższych uczelni, przynajmniej w zakresie kursów sanitarnych i ratownictwa przeciwgazowego”, pisano.

Pojawiały się też głosy sceptyczne. „Kobieta żołnierz to zagadnienie, które na ogół spotyka się z wielkim zastrzeżeniem, niechęcią, a nieraz i ironicznymi uśmiechami”, czytamy w październiku 1922 roku w POLSCE ZBROJNEJ. „Z bronią w ręku panie brały udział w obronie Lwowa, jednak tak szeroko ujęty udział kobiet w wojnie wywoływał ze strony społeczeństwa sprzeciw w znacznej mierze słuszny”, dodał pułkownik Karol Piotrowski.

Argumentował, że ktoś musi przecieć w czasie wojny zostać przy rodzinie.

„Nie wolno odciągać matek od dzieci, starszych siostr utrzymujących młodsze rodzeństwo czy córek mających na karkach niedołączonych rodziców”. Ponadto pułkownik stwierdzał, że według dotychczasowego doświadczenia tworzenie legii kobiecych w formie oddziałów liniowych jest pozbawione praktycznego znaczenia. „Użycie kobiet w służbie z bronią w ręku nie leży obecnie w granicach pierwszych potrzeb państwa”, popierał go kapitan Józef Mrozowski.

Obaj panowie twierdzili jednak zgodnie, że udział kobiet w pomocniczych rodzajach wojska jest wskazany, a czasem nawet konieczny. Sanitariat, łączność, intendentura, oświata, kantyny, szwalnie, punkty odżywcze, biura, szpitale, punkty opatrunkowe i kancelarie to, ich zdaniem, odpowiednie miejsca dla pań w armii. „W pracach tych kobieta będzie miała możliwość wykorzystania wrodzonych cech swego umysłu i charakteru, jak sumienność, obowiązkowość i dokładność. Nie stoją one natomiast w sprzeczności ze specjalnymi cechami fizycznymi i psychicznymi kobiety i nie wymagają szczególnego wysiłku fizycznego”.

Oficerowie zgadzali się, że takie ograniczenie funkcji pań w wojsku nie przeszkadza w tym, żeby widzieć w nich żołnierzy. „Żołnierzem w nowoczesnej wojnie jest bowiem także sanitariusz w wojskowym szpitalu, telefonista czy szofer, tak jak jest nim piechociarz na pierwszej linii frontu. Kobieta pełniąca pewne funkcje pomocnicze w armii może być więc uznana za żołnierza”, skonstratował kapitan Mrozowski.



POLSKA ZBROJNA
15 LISTOPADA
1921 ROKU

MAJOR KAROL LIPOWSKI:

Bezsprzecznie jednym z najważniejszych momentów utrzymania naszej siły zbrojnej na odpowiednim poziomie, to jest na poziomie wysokiej wartości moralnej i sprawności bojowej, jest umiejętna, fachowa, pełna troski o umiłowanego żołnierza gospodarka wojskowa. Na tem polu, tak jak na wielu innych, uczyniliśmy już stosunkowo niezmiernie dużo, tembardziej jeśli się zważy fatalny stan naszej gospodarki ogólnej. Już przecież na początku roku 1919 nasz żołnierz był prawie dobrze odziany i wcale nieźle karmiony. W ciągu więc kilku miesięcy życia państwowego osiągnęliśmy to, co stanowiło przedmiot zabiegów lat całych w innych państwach.

nazwał natomiast zwykłym łobuzem. „Sam jesteś łobuz”, odpowiedział Kamyk. „W tym momencie oficer błyskawicznie wyjął rewolwer i strzelił, szofer padł i w chwili życia zakończył”, zeznał potem przed sądem przodownik Barański.

OFICER NIE STRONIŁ OD ALKOHOLU, A POD WPŁYWEM PROCENTÓW BYWAŁ NERWOWY I NIEPRZYJEMNY

Kapitan stanął przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie oskarżony o zabójstwo. „Zabiłem odruchowo, reagując w podnieceniu na zniwagę. Od tego czasu odczuwam żal i skruchę”, mówił na rozprawie. Po wysłuchaniu świadków sędziowie odroczyli wydanie wyroku i wysłali oskarżonego na obserwację psychiatryczną. Po kilkutygodniowych badaniach pułkownik lekarz Kazimierz Jankielski orzekł, że oskarżony w dniu zabójstwa znajdował się w stanie silnego wzruszenia psychicznego, ale był poczytalny, rozumiał znaczenie swoich czynów i mógł kierować swoim działaniem. „Jest to osobnik neuropatyczny,

niezrównoważony, drażliwy i skłonny do wybuchów afektywnych”, napisał lekarz w opinii.

Na ostatniej rozprawie prokurator major Adam Maresz wnosił o najsurowszy wymiar kary. „Otrzymaliśmy przywilej noszenia broni, lecz ma ona służyć do obrony Rzeczypospolitej, a nie zabijania bezbronných obywateli”, argumentował w mowie końcowej. Natomiast adwokat Jan Paschalski tłumaczył, że oskarżony „zabił w imię honoru oficerskiego”. Po krótkiej naradzie sąd skazał kapitana na trzy lata więzienia, wydalenie z wojska i pozbawienie odznaczeń.

Kainowe znamie

Historia krwawych walk

komunistów ze zbrojnym podziemiem w powojennej Polsce kryje w sobie liczne przypadki współpracy żołnierzy ludowego Wojska Polskiego z partyzantami.

JAKUB NAWROCKI

Kapitulacja Niemiec w maju 1945 roku nie oznaczała pokoju dla oddziałów 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Liczne formacje po powrocie do kraju zostały od razu skierowane do zwalczania podziemia niepodległościowego, które nie godziło się na komunistyczną władzę w powojennej Polsce. Rozpoczęła się wieloletnia, krwawa wojna Polaków z Polakami.

Po obu stronach był opór wobec takich działań. W przypadku żołnierzy ludowego Wojska Polskiego wyrażał się on przede wszystkim dezercją. Wielu wolało uciec do lasu, niż służyć komunistycznemu państwu i przelewać bratnią krew. Skala dezercji i buntów na początku istnienia LWP była ogromna. Z oficjalnych źródeł wynika, że do 1948 roku zdezerterowało aż 24 109 żołnierzy i oficerów (w samym 1945 roku było ich blisko 14 tysięcy). Zazwyczaj żołnierze dezertowali pojedynczo lub w małych grupach, ale zdarzały się też sytuacje, że do lasu szły całe plutony, kompanie i bataliony.

UCIEKAJĄ BATALiony

Jeszcze przed końcem wojny, w 1944 roku, z 2 Armii LWP zdezerterował cały 31 Pułk Piechoty z większością kadry oficerskiej. W marcu 1945 roku ze szkoły oficerskiej w Chełmiej jednej nocy „ubyło” blisko 300 podchorążych. Całe bataliony i kompanie drezdeńskiej 9 Dywizji Piechoty wybierały latem 1945 roku lasy zamiast koszar. Władze komunistyczne najpierw zreorganizowały, a następnie rozwiązały 3 Brygadę Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Bynajmniej nie z powodu strat w walce – całe bataliony tej jednostki zniknęły z bronią. Dezertery wstępowali do organizacji podziemnych i w ten sposób tworzyły się załóżki nowych oddziałów leśnych i siatek konspiracyjnych. W maju 1945 roku dotarła w Białostockie do 5 Wileńskiej Brygady AK 70-osobowa grupa dezertorów z 6 Zapasowego Pułku Piechoty 2 Armii LWP z Torunia i poprosiła o wcielenie w szeregi formacji. Trzy dni później przybyło kolejnych 25 żołnierzy z Samodzielnego Batalionu Ochrony Lasów Państwowych z Hajnówki.

Bardzo wielu dezertorów miało już za sobą służbę konspiracyjną w okresie okupacji. Najczęściej wywodzili się z szeregów Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych, stąd politycznie oraz ideowo byli dalecy od nowej władzy. Spora część brała czynny udział w operacji „Burza” i była następnie internowana oraz rozbijana przez formacje NKWD. Ludzie ci widzieli swoich dowódców rozstrzeliwanych przez oddziały Smierszy. Sami stali przed wyborem – służba w LWP albo nieznaną grób lub zsyłka do ZSRR. Dlatego też przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekali do lasu. Powszechna w tamtym czasie była świadomość nieuniknionego konfliktu pomiędzy Wschodem i Zachodem. Panowało przekonanie, że sojusz aliantów z ZSRR nie będzie trwał długo i że III wojna światowa prędzej czy później musi wybuchnąć. Lepiej więc było znaleźć się po właściwej stronie, to znaczy dochować wierności prawowitemu rządowi polskiemu w Londynie.

NIECHĘĆ DO WALKI

Ale nawet ci, którzy nie odważyli się na dezercję czy jawny bunt wobec swoich zwierzchników, starali się unikać walki z rodakami. Nastawienie dowódców partyzanckich często było podobne. Jeśli już dochodziło do konfrontacji zbrojnych z LWP, to wzięci do niewoli żołnierze w wielu przypadkach by-



li rozbijani i puszczani wolno. Jeżeli nie dopuścili się zbrodni wobec partyzantów czy miejscowej ludności i nie współpracowali z aparatem bezpieczeństwa, to nie ponosili żadnych konsekwencji swojego wyboru.

Partyzanci starali się pozyskiwać przychylność dowódców i żołnierzy LWP. Na przykład kontaktowali się z nimi za pomocą listów czy plakatów wywieszanych na drogach i w miastach. W lutym 1946 roku do dowódcy jednostki LWP stacjonującej w Sokołowie Podlaskim dotarł list podpisany przez podchorążego Stanisława Białowąsa „Boruta” (Armia Krajowa – Wolność i Niezawisłość), który zapewniał, że podziemie nie chce walczyć z wojskiem. Żądał zaprzestania aresztowań dokonywanych przez armię: „Zaniechajcie aresztowań Polaków, bo aresztujecie najlepszych synów ojczyzny, a nie bandytów i złodziei, których sami tępiemy”.

Dowódcy LWP zdawali sobie sprawę z nastrojów panujących wśród żołnierzy. Szef Głównego Zarządu Politycznego WP generał Konrad Świetlik w sprawozdaniu za sierpień 1946 roku

stwierdzał między innymi: „Wojsko nasze, które jest w defensywie, upada na duchu, czując swą bezsilność [...]. Występuje przygnębienie i upadek wiary we własne siły na skutek bezkarnego grasowania band, mimo akcji wojska”. Doniesienia nie były bezpodstawne. Tajemnicą poliszynela było współdziałanie Wojsk Ochrony Pogranicza z „królem Podhala” Józefem Kurasem „Ogniem”.

Za fenomen można uznać współpracę żołnierzy LWP z partyzantami podziemia antykomunistycznego w Bieszczadach. W powiatach sanockim, leskim i brzozowskim operowało zgromadzenie NSZ majora Antoniego Żubryda „Zucha”. W tym samym rejonie stacjonowały oddziały 8 Dywizji Piechoty, w tym budziżyński 34 Pułk Piechoty. Z oficerami i żołnierzami tej właśnie jednostki „Zuch” nawiązał serdeczne i przyjacielskie stosunki. Dochodziło nawet do tego, że członkowie oddziału majora Żubryda przyjeżdżali do koszar 34 Pułku w Sanoku, żeby wyremontować, naprawić czy wymienić broń! Oficerowie z różnych jednostek stacjonujących w tym czasie w Sanoku spotykali się z żubrydowcami niemalże oficjalnie w restauracjach, wymieniali informacjami i organizowali wspólne akcje przeciwko Ukraińskiej Powstańczej Armii. Gdy wojsko przeczesywało ukraińską wieś, partyzanci osłaniali te operacje.

ŚMIERĆ ZA WSPÓŁPRACĘ

Niechęć do walki z podziemiem często kończyła się dla żołnierzy i dowódców tragicznie. 2 lipca 1946 roku jednostki LWP przeprowadziły obławę przeciw partyzantom koło wsi Poraż. Żołnierze podeszli pod las, zdjęli mundury i opalali się na słońcu. Po paru godzinach wrócili do rejonu koncentracji i stwierdzili, że żadnych partyzantów nie napotkali. Dopiero aresztowania dokonane przez funkcjonariuszy Informacji Wojskowej i sprowadzenie w ten rejon „nieskażonych” jednostek przerwało współpracę żołnierzy i partyzantów. Aresztowani oficerowie i żołnierze skazywani byli na długoletnie więzienia i kary śmierci.

Zwykli żołnierze LWP bardzo często okazywali jawną niechęć wobec funkcjonariuszy UB. Do takiej sytuacji doszło 8 lipca 1946 roku, gdy grupa operacyjna 53 Pułku Piechoty natrafiła koło wsi Pieszowola na oddział podporucznika Edwarda Taraszkiewicza „Żelaznego”. Jeden z oficerów LWP rozkazał żołnierzom otworzyć ogień do partyzantów, ale nie padł ani jeden strzał. Partyzanci spytali żołnierzy, kto z ich grupy jest z UB. Ci od razu wskazali trzech funkcjonariuszy, którzy zostali zatrzymani przez partyzantów. Niestety, jednemu udało się uciec i zdać relację z tego, co się wydarzyło. Sąd wojskowy skazał potem siedmiu żołnierzy LWP (w tym czterech oficerów) na śmierć, a pozostałych członków grupy na długoletnie więzienie lub kompanię karną.

W połowie lipca 1946 roku doszło do wydarzenia bez precedensu. Ten sam oddział „Żelaznego” na szosie z Siedliszcza do Chełmna zatrzymał auto, którym jechała rodzina prezydenta Bolesława Bieruta: siostra Zofia Malewska z mężem i synem. Mieli pozostać do dyspozycji komendanta obwodu WiN. Wiedziano, że za takich zakładników można będzie negocjować z bezpieczeństwem zwolnienie z więzień wielu towarzyszy broni. Postanowiono jednak puścić wolno pasażerów auta w obawie przed represjami, które mogłyby dotknąć miejscową ludność. Na wieść o zatrzymaniu członków rodziny Bieruta władza wysłała w ten rejon 72 wagony z żołnierzami KBW. Decyzja partyzantów sprawiła, że obławę odwołano. ■



RYŚKA

Miała dar zjednywania sobie ludzi, a każdy, kto ją poznał, był pod wielkim jej urokiem – mówi komandor Bożena Szubińska o „Ryśce”, podpułkownik Marii Sobocińskiej.

PAULINA GLIŃSKA

Niezwykła kobieta – żołnierz, patriotka, działaczka społeczna i wielki człowiek. Te słowa najlepiej oddają, jaka była. Przez całe swoje życie, tak jak z pokolenia na pokolenie kobiety w jej rodzinie, z wielką odwagą walczyła z przeciwnościami.

NA WOJNIE

Już jako dwudziestoletnia dziewczyna od 1940 roku zaangażowała się w walkę konspiracyjną. Działając pod pseudonimem „Ryśka”, utrzymywała kontakty z konspiracją warszawską i uczestniczyła w przeprowadzaniu żołnierzy polskich zbiegłych z niewoli niemieckiej. Należała do Związku Walki

Zbrojnej na terenie powiatu lipnowskiego. Zajmowała się służbą zdrowia, łącznością, brała udział w akcjach wywiadowczych. Pełniła funkcję kurierki i organizowała Wojskową Służbę Kobiet (WSK). Na stanowisku zastępcy zajmowała się jej sprawami w Inspektoracie AK Włocławek. W 1942 roku objęła stanowisko komendantki WSK przy komendzie Okręgu AK Pomorze. Pod tą wyliczną funkcją, które pełniła, kryją się setki akcji, ciągła gotowość do poświęceń, nieustanne narażanie życia. I niezwykła odwaga. Sobocińska wielokrotnie zastanawiała się, skąd ta odwaga się bierze. „Bo człowiek nie rodzi się od razu odważny. Odwagi nabiera, jak raz, drugi raz mu się uda. Człowiek uznaje wtedy, że szczęście mu





ARCHIWUM MARIJ SOBODZIŃSKIEJ

dopisuje, i ryzykuje dalej”, mówiła Teresie Torańskiej w lipcu 2009 roku w reportażu zamieszczonym w „Wysokich Obcasach”. Jej udawało się przez pięć lat okupacji.

CIASTKA OD BLIKLEGO

W listopadzie 1945 roku została aresztowana. Stała przed sądem wojskowym i została skazana na śmierć. Na szczęście wyroku nie wykonano.

„Marylka miała niesamowitą charyzmę”, mówi major rezerwy Aleksandra Michalik. „Jako 25-letnia, młoda dziewczyna, bez obrońcy, już napiętnowana wyrokiem śmierci, stała przed sądem i wygłosiła taką mowę obronną w swoim

imienu, że sędzia zmienił wyrok na sześć lat pozbawienia wolności. Można powiedzieć, że wybroniła samą siebie”. Jednak dokument z wyrokiem z 13 lutego 1946 roku, który trzymała w swoim sztokholmskim mieszkaniu wśród licznych książek, nie pozwolił zapomnieć o tym, co przeżyła. Unieważniono wtedy jej stopnie wojskowe i odznaczenia, w tym srebrny Krzyż Walecznych z Mieczami i Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari (wręczony dopiero w 2002 roku).

Jej pięciu współtowarzyszy dostało kary poniżej pięciu lat, a trzech kolejnych młodych żołnierzy AK – karę śmierci. Razem ze swoimi współwięźniarkami dobrze słyszały huk wystrzałów, gdy wykonano egzekucję.



„To ważne mieć przy sobie kogoś bliskiego w czasie koszmaru śledztwa. Jak łatwo się w takich warunkach zatracić, zaprzedać złu. Bo więzieniem rządzi zło i przemoc, ale jest też możliwość przyjrzenia się sobie i lepszemu poznania samej siebie. I jakże inne z czasem obowiązują kryteria i jakie rodzą się zażyłości oraz solidarność”, mówiła „Ryska” w wywiadzie udzielonym Krystynie Stochli w 2002 roku.

Swoją karę odsiadywała w Toruniu, Fordonie w Bydgoszczy i najcięższym zakładzie karnym w Polsce dla kobiet w Inowrocławiu. Niemal w każdej sytuacji starała się dostrześć coś dobrego, wywołującego uśmiech w ponurej powojennej rzeczywistości. Paradoksalnie, nawet w więzieniu ten uśmiech się pojawiał.

„Zgodnie z regulaminem paczki mogły przychodzić tylko raz w miesiącu, dwa kilogramy na osobę, z określoną zawartością. Kiedyś dostałam taką paczkę od stryja, pieczołowicie, pięknie zapakowaną. Otwieram, a tu ciasteczka od Blikle-go! A najbardziej oczekiwane były cebula, chosnek i tuszcz”.

MARYLKA NA EMIGRACJI

Na wolność wyszła po amnestii w grudniu 1948 roku. Z perspektywy czasu oceniała, jak trudny był to start w „normalność”. Wojna i okupacja zabrały jej młodość, a więzienie nadszarpięło zdrowie. Problemy ze znalezieniem pracy, a nade wszystko swojego miejsca w życiu nie polepszały sytuacji. Pracy dla takich ludzi, z jej „zyciorysem”, nie było. Zaczęła wątpić, traciła nadzieję na poukładanie własnego życia. Rano wychodziła z domu, brała drugie śniadanie i szła do Łazienek karmić łabędzie lub udawała się do kościoła przy placu Trzech Krzyży. W porę zdążyła się otrząsnąć. Kolejny raz znalazła w sobie dość siły, by na nowo zbudować swój świat. Za namową kuzyna zmieniła swój zyciorys. Posługiwała się nim przez następnych kilkanaście lat. Zaczęła chodzić na kursy, pracowała w kilku miejscach, by w efekcie dostać pracę na Politechnice Warszawskiej. Tam pozostała już do emerytury, do 1980 roku, kiedy odeszła ze stanowiska kierownika działu w Instytucie Elektroniki.

W 1983 roku zamieszkała w Sztokholmie. Aktywnie działała w organizacjach polonijnych, była członkiem Rady Naczelnej AK na Zachodzie z siedzibą w Londynie. Wśród Polonii cieszyła się wielkim autorytetem. O kraju jednak nie zapomniła. W październiku 1994 roku z kilkoma innymi więźniarkami odsłoniła tablicę na murze inowrocławskiego więzienia. Wielokrotnie zresztą odwiedzała to miasto. Zawsze wtedy ból wspomnień mieszał się z radością i wzruszeniem. Przy każdej okazji podkreślała, jak bardzo cieszy się, że zwycięsko wyszła z tego całego okrucieństwa. W wywiadzie udzielonym w 2002 roku mówiła:

„To moje największe zwycięstwo: wyrzucić nienawiść, która potem mogłaby zatruć życie moje i bliskich. Po tym

wszystkim nie szukałam moich oprawców, lecz wybawicieli, by im podziękować”.

Często wspominała o najważniejszej z tych osób – doktorze Czesławie Zagórskim, więziennym lekarzu z Inowrocławia.

„Aby nawiązać rozmowę, upozorował badanie ginekologiczne i w ten sposób pozbył się z gabinetu strażniczki. Ten lekarz z narażeniem życia własnego i rodziny przekazywał w obie strony grypsy, a w końcu umożliwił ucieczkę moim współtowarzyszom. Ja siedziałam dalej, ale doktor ułatwił mi życie na każdym kroku”. Marii Sobocińskiej udało się go zobaczyć dopiero w 1990 roku w Zakopanem. Bardzo przeżyła to spotkanie, a doktor dziwił się, że traktowany jest niemal jak bohater. Ale dla Sobocińskiej nim był.

Nie zapomniła też o trzech młodych akowcach rozstrzelanych pod więziennym murem. W 2001 roku uczestniczyła w ich powtórnym pochówku w Inowrocławiu.

KOBIETA PEŁNA ŻYCIA

Przewodnicząca Rady do spraw Służby Kobiet w Siłach Zbrojnych komandor Bożena Szubińska poznała panią Marię w 2008 roku, podczas Dni Polskich w Szwecji.

„Od razu ją pokochałyśmy. Była już wówczas chora, ale po naszym spotkaniu nabrała ogromnego wigoru i starała się utrzymywać z nami kontakty. Towarzyszyłyśmy jej w uroczystościach patriotycznych w rodzinnym Skępem, w Toruniu, Warszawie. To ona poznała nas z generałem Elżbietą Zawacką na kilka miesięcy przed jej śmiercią. Były niesamowite, kiedy witały się i żegnały hasłem «nasza służba trwa»”.

Z wielu tekstów opisujących historię Marii Sobocińskiej, między innymi reportażu Teresy Torańskiej z 2009 roku, a także z książki Krystyny Wojtowicz „Marylka: opowieść konspiracyjna” (ukazała się w 2005 roku w Krakowie) wyłania się ciepła, pełna dystansu do siebie kobieta.

Mimo tragicznych przeżyć do końca zachowała wielką radość życia. Była otwarta, ciekawa świata i ludzi. Jej mieszkanie – niemal jak muzeum AK – tętniło życiem, zawsze była gotowa każdemu pomóc. W rozmowach często podkreślała ogromną rolę kobiet w służbie wojskowej, jej zdaniem w dużej mierze pomijaną lub umniejszaną. To dowodziło, jak ważna dla niej samej była służba w polskim wojsku. „Tym bardziej więc naszą rolą jest dziś, by pamięć o wielkich kobietach służących w mundurach przetrwała”, mówi komandor Szubińska.

Maria Sobocińska zmarła 1 sierpnia w Sztokholmie. Jej pogrzeb odbył się 28 sierpnia 2012 roku. Polskie pożegnanie planowane jest na jesień. ■

CYTATY POCHODZĄ Z REPORTAŻU „JAK UBEK URATOWAŁ MI ŻYCIE” TERESY TORAŃSKIEJ ZAMIESZCZONEGO W „WYSOKICH OBCASACH” Z 5 LIPCA 2009 ROKU.



OD 1940 ROKU ZAANGAŻOWAŁA SIĘ W WALKĘ KONSPIRACYJNĄ. JAKO „RYSKA” UTRZYMYWAŁA KONTAKTY Z KONSPIRACJĄ WARSZAWSKĄ

**NIECHEĆ
DO WALKI
Z PODZIEMIEM
CZĘSTO
KONCZYŁA SIĘ
DLA ŻOŁNIERZY
I DOWÓDCÓW
TRAGICZNIE**

horyzonty

MUSZTRA

| PARADY |

MAGIA

RÓWNEGO SZYKU

Wojskowa musztra paradna to uwieńczenie wielu lat pracy i najwyższy poziom wtajemniczenia dla żołnierzy oddziałów reprezentacyjnych.



ANNA DĄBROWSKA



KONRAD KACZMARZ / D G W



➔ **MAGIA** R Ó W N E G O S Z Y K U

Kompania reprezentacyjna Wojska Polskiego zdemontowała mistrzowskie władanie bronią i wirtuozowską sztukę zmieniania szyku marszowego”, napisał rosyjski dziennik „RBK-daily” po polskim występie na 5 Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Wojskowej „Spasskaja Basznia 2012”, zorganizowanym na początku września tego roku na moskiewskim placu Czerwonym. To, co oglądali widzowie pod Kremlm, było efektem kilku miesięcy przygotowań i żmudnych ćwiczeń.

GWOŹDZIE NA MARMURZE

„Pracę nad układem zaczynam od wybrania muzyki, do jakiej będzie wykonywany”, tłumaczy starszy chorąży sztabowy Mirosław Chilmanowicz, tamburmajor Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego, autor ponad 200 układów musztry paradowej, także tego prezentowanego w stolicy Rosji. Jak dodaje, pokaz nie może być prostym chodzeniem w takt.

na liczba na duże uroczystości to 36 żołnierzy”, uważa kapitan Tomasz Sewastynowicz, dowódca 2 Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Właśnie tylu żołnierzy w towarzystwie 50-osobowej orkiestry wystąpiło w Moskwie.

Znaczenie ma też powierzchnia, na której odbędzie się występ. Najlepsza, z punktu widzenia żołnierzy, jest współczesna kostka brukowa – równa i płaska. Płyty marmurowe, choć jeszcze równiejsze, są za śliskie. Buty z podkówkami, podbite dodatkowo 32 gwoździami, dzięki którym żołnierze mogą akcentować każdy krok, ślizgają się po marmurze, nawet gdy jest suchy, a po deszczu taka nawierzchnia robi się niebezpieczna.

RZUT KARABINKIEM

Swoją koncepcję pokazu chorąży Chilmanowicz rozrysował na papierze. „To jedyny sposób, aby wszystko zapamiętać, tym bardziej że układ składa się z setek kroczków



W MOSKIEWSKIM FESTIWALU UCZESTNICZYŁO 840 WYKONAWCÓW Z 12 PAŃSTW.

Piąty Międzynarodowy Festiwal Muzyki Wojskowej „Spasskaja Basznia 2012”, zorganizowany w pierwszym tygodniu września, nawiązywał do powieści Lwa Tolstoja „Wojna i pokój”. Impreza stała się elementem obchodów 865. rocznicy założenia Moskwy. Festiwal, którego nazwa wywodzi się od Wieży Spaskiej, głównej baszty Kremla, wzorowany jest na festiwalu orkiestr wojskowych w Edynburgu. W tym roku w stolicy Rosji wystąpiły zespoły z Austrii, Chin, Grecji, Francji, Kazachstanu, Niemiec, Singapuru i Włoch. Na plac Czerwony przyjechała też połączona orkiestra dudziarzy z Niemiec i Wielkiej Brytanii. Swoim wyszkoleniem chwalił się kawalerzyski rosyjskiego Pułku Prezydenckiego i jeźdźcy z Kremłowskiej Szkoły Jazdy Konnej. Po raz pierwszy zaproszono także Polaków. 86 żołnierzy Batalionu Reprezentacyjnego Wojska Polskiego zaprezentowało pokaz musztry paradowej do wiązanki utworów, między innymi: „W grocie króla gór” Edwarda Griega, marsza „Wiwat” Leona Landowskiego czy popularnej rosyjskiej piosenki „Kalinka”. Każdego dnia festiwalu występy żołnierzy oglądało ponad siedem tysięcy osób. W koncercie zamkniętym imprezę i poświęconym 200. rocznicy zwycięstwa wojsk rosyjskich nad armią Napoleona w 1812 roku uczestniczyło ponad tysiąc muzyków.

„Musi stanowić choreograficzne połączenie ruchu z muzyką, współgrać z nią i tworzyć spójną całość. Powinno powstać widowisko, które zachwyci widzów”.

Pokazy wojskowej musztry paradowej rządzą się jednak swoimi prawami i ograniczeniami. Przede wszystkim muzyka nie może być za szybka, bo żołnierze nie będą w stanie do niej ćwiczyć, ani za wolna, bo pokaz stanie się statyczny i nudny. Układ musi się też mieścić w czasie określonym przez organizatorów uroczystości czy festiwalu. „W Moskwie dostaliśmy sześć minut. Ponieważ jednak układ się tam spodobał, pozwolono nam wydłużyć go o 15 sekund”, wyjaśnia chorąży Chilmanowicz.

Organizatorzy podają też wymiary placu, na którym będą się odbywały pokazy. Do tego dostosowuje się program i liczbę żołnierzy. Najmniejszą paradę może wykonać już sześć- lub dziewięćosobowa drużyna. „Jednak optymal-

i kilkudziesięciu różnych elementów wykonywanych w tym samym czasie”. Teraz do układu trzeba też dobrać chwyt karabinkiem. „Pomysły na nie czerpię z naszej musztry, zdarza się też, że wykorzystuję ciekawe elementy podpatrzony w oddziałach reprezentacyjnych innych państw”, tłumaczy kapitan Sewastynowicz. Podkreśla też, że za każdym razem stara się dodać jakiś nowy element.

Potem pozostają już tylko żmudne ćwiczenia. Każdy fragment pokazu rozbijany jest na pojedyncze ruchy i trenowany przez żołnierzy tak długo, aż dojdą do perfekcji. Tym doświadczone, a tacy wybierani są na duże pokazy, nie zabiera to zwykle wiele czasu. „Mnie nauczenie się trudniejszych chwytów zajęło trzy-cztery dni”, twierdzi starszy szeregowy Rafał Ziółkowski, służący od czterech lat w 2 Kompanii Reprezentacyjnej WP. Jego zdaniem jednym z najtrudniejszych elementów musztry jest wzajemne przerzucanie karabinków

między żołnierzami. „Trzeba prawie w tym samym czasie rzucić swój karabinek, ważący 3,5 kilograma, i złapać broń kolegi, pamiętając o nasadzonym na nią bagnecie i o tym, że jest zwykle załadowana”. Innym wyzwaniem jest tak zwana fala, czyli wykonywanie przez żołnierzy tych samych ruchów po kolei z niewielkim opóźnieniem. „Tutaj liczą się ułamki sekund. Dopiero długi trening pozwala wyczuć właściwy moment na swój ruch”, mówi szeregowy Ziółkowski.

ZNAK NA ZWROT

Kolejny etap pracy kompanii to tworzenie układu i łącznie w jedną całość poszczególnych chwytów, kroków i obrotów. Aby nauczyć się wykonywania pokazu na obszarze, jaki przewidzieli organizatorzy, żołnierze na placu ćwiczeń mają wyrysowane co 10 metrów linie. „Najpierw zaznaczamy, jakim terenem dysponujemy. W Moskwie był to kwadrat 40 na 40 metrów”, wyjaśnia kapitan Sewastynowicz. Żołnierze podkreślają też, że tworzone przez nich układy są trójwymiarowe i dlatego, jeśli tylko jest taka możliwość, pokaz musztry najlepiej jest oglądać z wysoka.

W tym samym czasie muzycy z Orkiestry Reprezentacyjnej WP szlifują wykonywanie poszczególnych utworów. Muszą je znać tak dobrze, aby nie myśleć o nutach. Czekają bowiem jednocześnie granie i maszerowanie. „Jest to piekielnie trudne”, tłumaczy chorąży Chilmanowicz. Jak dodaje, nawet bardzo doświadczeni cywilni muzycy, kiedy trafiają na kurs do wojskowych, mają problem z zagranieniem najprostszego utworu i zrobieniem w tym czasie choćby kilku kroków.

„Sposób, aby to opanować? Lata ćwiczeń”, stwierdza starszy chorąży Arkadiusz Mizdalski, puzonista Orkiestry Reprezentacyjnej WP. Muzycy muszą też zapamiętać, kiedy następuje zwrot czy zmiana tempa marszu. „Często w trudniejszych momentach kolega grający na bębnie daje nam znak akustyczny do zwrotu”, zdradza podoficer.

CHIRURGICZNA PRECYZJA

Ostatni akord przygotowań to zsynchronizowanie żołnierzy kompanii z orkiestrą. „Tak naprawdę ostateczna wersja pokazu powstaje właśnie wtedy, w czasie wspólnych ćwiczeń”, twierdzi kapitan Sewastynowicz. Tutaj też okazuje się, czy w układzie przewidziano dostatecznie dużo miejsca dla poszczególnych instrumentów. Tam, gdzie zmieści się trąbka, niekoniecznie przejdzie muzyk z puzonem. Problem z miejscem mają też żołnierze. Liczy się prawie chirurgiczna precyzja, bo często w czasie obrotów karabinka osadzony na nim bagnet mija kolegę tylko o centymetry.

Ćwiczenia i próby są nagrywane, aby każdy żołnierz mógł siebie zobaczyć i sprawdzić, co robi dobrze, a co musi poprawić. Analizowany jest też sam występ. „Nie lubię oglądać swojej pracy na ekranie, zawsze dochodzę wtedy do wniosku, że coś można by poprawić”, stwierdza chorąży Chilmanowicz.

Do pokazu w Moskwie polscy żołnierze szykowali się trzy miesiące. „Największą nagrodą były brawa publiczności – tak hucznie, że przeciągnęło się zakończenie występu”, opowiada szeregowy Ziółkowski. Pod koniec żołnierze przyklekli i mieli na rozkaz wystrzelić z karabinków. Musieli jednak poczekać. Owacje były tak głośne, że zagłuszyłyby komendę do salwy. ■



Daniel Patrick Brown
PIĘKNA BESTIA
Zbrodnie SS-Aufseherin Armii Grese

Daniel Patrick Brown
Piękna bestia. Zbrodnie SS-Aufseherin Armii Grese

Historia jednej z najokrutniejszych i najpiękniejszych funkcjonariuszek SS – Armii Grese.

Patroni:

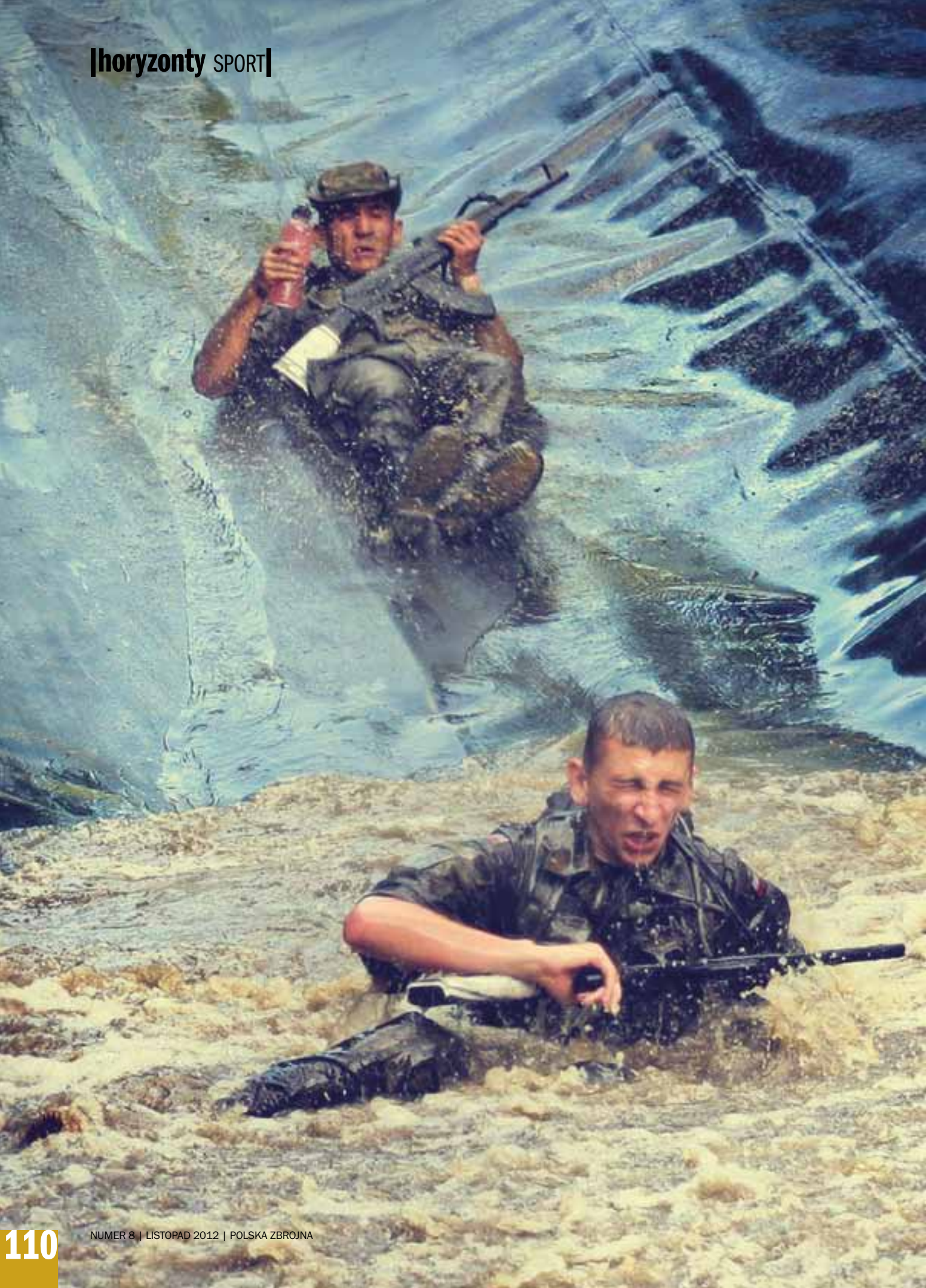
KRESY  **PL**

ODKRYWCA
MIAMY • WOJNA • HISTORIA

konflikty.pl
portal historyczno - militarny

Polska Zbrojna

www.replika.eu



„W ZAWODACH
WYKORZYSTUJEMY
ELEMENTY
SZKOLENIA
Z NASZEJ
JEDNOSTKI”,
MÓWI „MISZA”,
POMYSŁODAWCA
BIEGU

JACEK SZUSTAKOWSKI

WPUSZCZENIE W KANAŁ





JACEK SZUSTAKOWSKI (4)

Specjali z Formozy przygotowali trudniejszą do pokonania trasę niż organizatorzy słynnego lublinieckiego Katorżnika.

JACEK SZUSTAKOWSKI

Jednostka Wojskowa Formoza i Adventure Park Gdynia trzeci raz zorganizowali Bieg Morskiego Komandosa pamięci generała broni Włodzimierza Potasińskiego, entuzjasty sportu i ekstremalnych form aktywności ruchowej. Bywał na imprezach organizowanych przez Metę Lubliniec i to nie tylko po to, by wręczyć na nich medale i nagrody.

W pierwszej edycji Biegu Morskiego Komandosa wystartowało 15 osób, w drugiej już 100. W trzeciej planowano udział 300, ale nie wszyscy dotarli do Gdyni.

Najtrudniejsze zadanie miały czteroosobowe zespoły, które musiały pokonać dystans około 21 kilometrów z imitującą moździerz drewnianą belką ważącą 20 kilogramów. Po raz pierwszy odbyła się rywalizacja drużynowa. Na trasę wyruszyło 14 zespołów, a bieg ukończyło 13. Biegacze startujący w konkurencji zespołowej, podobnie jak 107 zawodników rywalizujących w dwóch turach biegu hard, dystans półmaratonu musieli pokonać w pełnym umundurowaniu polowym z plecakiem ważącym 4,5 kilograma. Na dodatek zawodnicy startujący w kategorii hard biegli z gumową atrapą karabinka szturmowego. Ułatwione zadanie mieli sprinterzy. Rywalizowali na krótszej trasie, liczącej około 9,5 kilometra. Biegli w pełnym umundurowaniu, ale zamiast butów wojskowych mogli włożyć sportowe.

„Brałem udział w różnych imprezach organizowanych przez Wojskowy Klub Biegacza «Meta»”, mówi „Misza”, oficer z Jednostki Wojskowej Formoza, główny pomysłodawca ekstremalnego biegu w Gdyni. Podkreśla jednak, że nie skopiował pomysłu twórców kultowego Katorżnika. „Bieg Katorżnika był prekursorskim biegiem. My staramy się tworzyć inne zawody”.

W III Biegu Morskiego Komandosa żołnierze ścigali się na odcinkach wytyczonych na plaży, w morzu, w korytach potoków, kanałach melioracyjnych i burzowych, w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym i Adventure Park Gdynia, gdzie na terenie po dawnym torze motocrossowym zawodnicy mieli do pokonania przeszkodę wysokościową i zasieki. Zjeżdżali również z ponadtrzydziestometrowej zjeżdżalni do bajorka. Największym wyzwaniem było przebrnięcie przez blisko 450-metrowy kanał burzowy biegnący pod jednym z centrów handlowych i szeroką ulicą. ■

Wyniki Biegu Morskiego Komandosa można znaleźć na naszym portalu: www.polska-zbrojna.pl



III BIEG MORSKIEGO KOMANDOSA BYŁ ZNAKOMITĄ PROMOCJĄ JEDNOSTKI WOJSKOWEJ FORMOZA. DZIĘKI TAKIM IMPREZOM MOŻNA WYŁONIĆ POTENCJALNYCH KANDYDATÓW DO SELEKCJI



Podchorążowie z wrocławskiej Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych byli bliscy sprawienia dużej niespodzianki. Zajęli drugie miejsce w biegu drużynowym z drewnianą belką, a z ekipą wystawioną przez gospodarzy imprezy przegrali tylko o cztery sekundy.



Jedną z zawodniczek, która ukończyła bieg hard była reprezentantka „Mety” Lubliniec Katarzyna Żurek



Kibicom najwięcej emocji dostarczył bieg drużynowy z imitującą moździerz drewnianą belką, która ważyła aż 20 kilogramów. Zwycięzcy – „Wściekłe Lisy” – ukończyli rywalizację po 4 godzinach 18 minutach i 18 sekundach biegu. Triumfatorzy zamierzali wystartować w biegu indywidualnym i stworzyli drużynę przez przypadek.

POD PATRONATEM DOWÓDCY WOJSK SPECJALNYCH



IX Maraton Komandosa

**24 listopada 2012 r.
Lubliniec**

Zaświadczenie publiczne
udzielenie i akcesum
przez Burmistrza
Miasta Lubliniec



Polska Zbrojna

www.wkbmeta.pl/mk



EUROPEJSKA JAZDA Z PATTONAMI

Straty: trzy pęknięte opony, zniszczone przewody elektryczne w jednym transporterów. **Zyski:** dwa unikatowe eksponaty. Oto bilans największej operacji logistycznej w historii poznańskiego Muzeum Broni Pancernej.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Dziecko już mnie sześć tygodni nie widziało”, uśmiecha się chorąży Marcin Szubert. „Najpierw szkolenie, potem Grecja... Cały czas w drodze”.

Po przyjeździe do Poznania wystarczyło czasu tylko na szybką kąpiel w sztabie i jazda pod koszary. Stoimy na opustoszałej ulicy pod bramą Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. Jest środek nocy. Z wolna schodzą się dziennikarze, a Szubert co chwilę łapie za komórkę. „Są już w mieście. Dojeżdżają do ronda Obornickiego”, rzuca znad słuchawki.

Wreszcie w oddali zaczyna pulsować bursztynowe światło. Pojawia się auto prowadzące konwój. Za nim wolno przetaczają się dwie ogromne lawety z czołgami. Chwilę później transportery parkują na koszarowym placu. Strzelają korki od szampańców (jak zapewniają sami żołnierze – bezalkoholowych), ktoś puszcza muzykę z filmu „Grek Zorba”.

Tak kończy się najbardziej karkołomne przedsięwzięcie w dziejach poznańskiego Muzeum Broni Pancernej.

Batalia o sprowadzenie Pattonów trwała dwa lata. Niewykluczone jednak, że w ogóle by się nie rozpoczęła, gdyby nie pewien telefon. Był rok 2008. Muzeum Broni Pancernej właśnie wzbogaciło się o kolejny eksponat – działo samobieżne StuG, które od czasów wojny spoczywało na dnie Rgilewki w okolicach Koła. Dzięki zaangażowaniu wielu osób udało się je niemal dosłownie wyrwać z rzecznego mułu. Sprawą zainteresowały się media. I wtedy właśnie w sekretariacie Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych, któremu podlega placówka, rozdzwonił się telefon.

„Kończyłem już pracę, kiedy skontaktowała się ze mną sekretarka i zapytała, czy mam komórkę”, wspomina mjr Tomasz Ogrodniczuk, kustosz muzeum. „No mam. A ona na to, czy mógłbym podać numer, bo prosi o to ambasador. Chciałby przedzwonić i porozmawiać. Ambasador? A czego ode mnie

może chcieć ambasador? Myślałem, że ktoś sobie ze mnie żarty robi”.

Chwilę później zadzwonił do niego Bogusław Winid, dziś podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a wówczas ambasador Polski przy NATO. „Powiedział, że robimy fajne rzeczy, zadeklarował też pomoc w poszukiwaniu i ściąganiu eksponatów z zagranicy”, opowiada major Ogrodniczuk.

I rzeczywiście. Wkrótce do poznańskiego muzeum udało się sprowadzić z Norwegii tankietkę TKS, z Belgii zaś czołg Sherman. A potem zrodziła się szansa na kolejny rarytas. Okazało się, że armia Grecji jest gotowa za darmo odstąpić dwa amerykańskie czołgi: M-48 i M-60. Trzeba tylko po nie jechać. Pokuśsa ogromna, bo Pattonów nie ma w Polsce nikt.

„Takiej okazji nie można zmarnować”, pomyślał major Ogrodniczuk. Kiedy jednak zdał sobie sprawę, ilu formalności trzeba dopełnić, włosy stanęły mu dęba.

PAPIEROWA ODYSEJA

Zgoda greckiej armii na wywóz czołgów była zaledwie wstępem do prawdziwej urzędniczej Odysei. I tak projekt musieli zaakceptować Amerykanie, bo przecież Pattony są produkowane za oceanem. Polacy podpisali zobowiązanie, że czołgi zostaną pozbawione wszelkich cech bojowych i nigdy nie staną się przedmiotem badań. W Pattonach trzeba było między innymi przewiercić lufy oraz zalać betonem komory zamkowe.

Dalej – dokument od greckiego ministra gospodarki. Pattony jako sprzęt należący do tamtejszych wojsk to – jakkolwiek pa-trzyć – część narodowego majątku, który teraz bezpowrotnie opuści kraj. Do tego dokumenty przewozowe na każde z państw. A konwój miał zahaczyć o sześć.





Z GRECJI DO POLSKI NAJKRÓTSZA DROGA PROWADZI PRZEZ MACEDONIĘ I SERBIĘ. ALE TA OPCJA W OGÓLE NIE WCHODZIŁA W GRĘ. WOJSKOWA KOLUMNĄ, W DODATKU OBCIĄŻONA TAKIM ŁADUNKIEM, MOGŁA PRZEJECHAĆ TYLKO PRZEZ PAŃSTWA NALEŻĄCE DO NATO



Kolejna sprawa to trasa. Z Grecji do Polski najkrótsza prowadzi przez Macedonię i Serbię. Ale ta opcja w ogóle nie wchodziła w grę. Wojskowa kolumna, w dodatku obciążona takim ładunkiem, mogła przejechać tylko przez państwa należące do NATO. Samą marszrutę też należało opracować w najdrobniejszych szczegółach. Bo co, jeśli transportery utkną w zbyt ciasnym tunelu, zarwie się pod nimi most albo rozsypie kiepski asfalt? Pisma do ministerstw, pisma do ambasad, pisma do urzędów. I tak w kółko.

„Na każdy z czołgów ubierał się pokaźny segregator”, podkreśla major Ogrodniczuk. Wreszcie po dwóch latach szczęśliwie udało się dobrać do finału.

6 września z Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu wyruszyła ekipa, w której znaleźli się między innymi major Ogrodniczuk i chorąży Szubert, wówczas rzecznik jednostki. Jednocześnie z drugiego końca Polski wyjechały dwa potężne trakkery należące do 11 Batalionu Ewakuacji Sprzętu z Czarnego. Do każdego przypisanych zostało dwóch kierowców. „Z tymi ludźmi mógłbym pojechać na koniec świata”, powie później chorąży Szubert.

SMAR? SPRAWA HONORU...

12 września, baza wojskowa w Valestino. Na masztach powiewają flagi: polska i grecka. Kawalek dalej – dwa Patto-



Batalia o sprowadzenie Pattonów trwała dwa lata.



MARCIN SZUBERT (5)

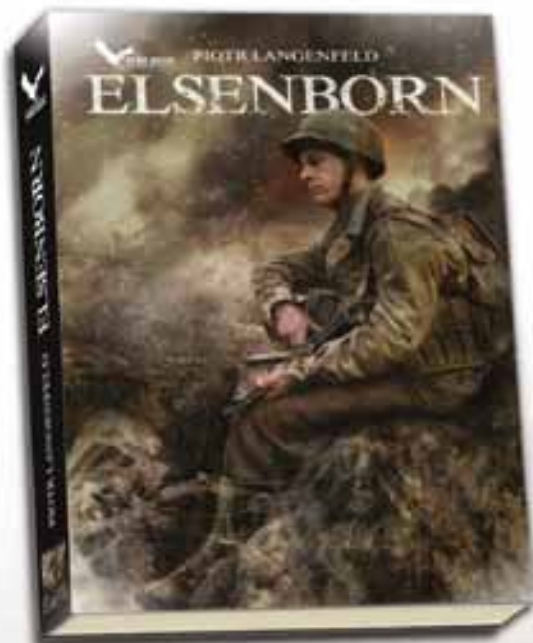
ny. Na honorowym miejscu wiceszef polskiego MSZ Bogusław Winid i szef Sztabu Wojsk Lądowych Grecji generał Constantinos Gkinis. Przemówienia, oklaski, podziękowania. Chwilę później ciszę przesywa ryk silników. Pattony ruszają z miejsca i wolno wtaczają się na lawety. Na tym kończy się oficjalna uroczystość. Ekspedycja właśnie przekroczyła półmetek.

Nasi mają za sobą blisko 3 tysiące kilometrów i kilka niespodziewanych akcji. Ot, choćby ta w samej Grecji. Na górskich serpentynach naczepy trakkerów pracowały tak intensywnie, że smar w przegubach wysechł na wiór. Należało włożyć nowy. Problem w tym, że nie było czym. Grecy potraktowali to

jak sprawę honorową. Postawili na nogi całe miasteczko i się udało. Znaleźli odpowiednie końcówki. Prawdziwe schody miały się jednak dopiero zacząć.

WOLNO, CORAZ WOLNIEJ

13 września. W palącym słońcu asfalt sprawia wrażenie, jakby za chwilę miał spłynąć do przydrożnego rowu. Przodem wlecze się pojazd miejscowej żandarmerii (tak ma teraz być w każdym kraju; wyjątek stanowi Rumunia – tu oprócz żandarmerii konwój eskortowała jeszcze wynajęta firma), za nim traktery. Kulają się ledwie pięćdziesiątką, a to i tak nieźle, w końcu jeden zestaw razem z czołgiem waży 80 ton. Pierwsze prze- ➔



Elsenborn to proza mocna, barwna i rzetelna, napisana z wielkim rozmachem i dramatyzmem, kreślona dziurami od kul i lejami po bombach. Langenfeld trzymając do ostatniej karty w napięciu snuje opowieść o rodzącym się w ogniu walki męstwie, poświęceniu i braterstwie, bez upiększeń i wymuszonego patosu.
Jarosław Machura, Konflikty.pl

Niepokorny, polski żołnierz w Ardenach? Zaskakujące, choć jak najbardziej możliwe! Piotr Langenfeld zwraca uwagę na wciąż mało znany fakt udziału naszych rodaków w wysiłku zbrojnym Stanów Zjednoczonych, przenosząc czytelnika nie tylko w zaśnieżone lasy belgijsko-francuskiego pogranicza, ale i w pelen tajemnic, schyłkowy okres II wojny światowej...
Łukasz Gładysiak, Ilustrowany Magazyn Historyczny Militaria XX Wieku

Więcej książek militarnych, ebooków
i audiobooków znajdziesz na
www.warbook.pl

szkody pojawiają się już na grecko-bułgarskiej granicy. Kierowcy wyskakują z szoferek i mierzą szerokość przejazdu zamkniętego barierką.

Jest OK, przejdziemy. „Nic z tego”, kręci głową pogranicznik. Brakuje mu jakiegoś papierka. Konsternacja. Na szczęście w porę pojawia się grecki wojskowy, który wyjaśnia sprawę. Dalej było w miarę gładko, ale skończyło się na Dunaju.

„W drodze do Grecji skorzystaliśmy z przeprawy promowej”, wspomina sierżant sztabowy Wiesław Olejarczyk, kierowca jednego z transporterów. „Mieliśmy wracać tą samą trasą. Tyle że z tak ciężkim ładunkiem było to co najmniej karkołomne”. Ale trasy nie można zmienić ot tak sobie. Musi interweniować polski attaché w Rumunii. Ostatecznie kierowcy dopinają swego. Dostają zgodę na przejazd mostem łączącym bułgarskie miasto Ruse i rumuńskie Giurgiu.

„Ruszyliśmy, ale mieliśmy duszę na ramieniu. Zwłaszcza kiedy z naprzeciwka zaczął zbliżać się tir”, opowiada Olejarczyk. „Dwieście metrów, sto, pięćdziesiąt. Niemał otarliśmy się o siebie lusterkami, ale udało się”, dodaje. Tyle że najtrudniejszą część trasy była dopiero przed nimi.

Chorąży Szubert wspomina: „Kiedy już w Rumunii wjechaliśmy w góry, pomyślałem sobie «Boże, jak oni tędy przejadą? Jeśli się uda, to będzie niemal cud»”. Na wąziutkich serpentynach prędkość kolosów spada do 20, czasem nawet 15 kilometrów na godzinę. Ale i tym razem kierowcy wychodzą obronną ręką. Dalej było już niemal z górki. Na Węgrzech zaczęła się strefa Schengen, zniknęły granice. Pozostawało tylko jechać.

Ostateczny bilans: 5830 przejechanych kilometrów, trzy opony pęknięte na skutek wysokiej temperatury (naprawione od ręki), usterka przewodów elektrycznych w jednym zestawie (naprawione od ręki).

„To było wspaniałe przeżycie”, cieszy się major Ogrodniczuk. „Wszędzie spotykaliśmy się z ogromną życzliwością i zainteresowaniem”. No ale trudno, żeby transportery z czołgami na lawetach nie zwracały uwagi...

COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ ZACZYNA

29 września, sobota. Na placu apelowym Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych tłum gęstnieje z każdą minutą. Tego dnia jednostka świętuje dziesięciolecie. Jedną z atrakcji ma być pierwszy publiczny pokaz „greckich” czołgów. Kilka minut przed dziesiątą na jedynym z Pattonów zostaje zawieszony proporczyk w barwach Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. Chwilę później maszyna rusza wzdłuż tłumy.

To już naprawdę jest koniec dwuletniej misji. Wkrótce jednak może ruszyć następna. A właściwie – już ruszyła.

Podczas rocznicowych uroczystości generał Mieczysław Cieniuch, szef Sztabu Generalnego WP, wyjawiał, że Polska stara się o pozyskanie czołgu Renault, który brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku.

„Odkryli go nasi żołnierze służący na misji w Afganistanie. Maszyna stoi na pomniku przed siedzibą prezydenta tego kraju”, tłumaczył generał Cieniuch.

Renault był pierwszym czołgiem w polskiej armii. Do odrodzonego kraju przyjechał z Francji wraz z armią Hallera. W czasie frontowych zmagani przejeździł go bolszewicy. Po latach dotarł aż do środkowej Azji. Gdyby udało się go odzyskać, byłby najstarszym eksponatem w poznańskiej kolekcji.

Zapytany o szczegóły major Ogrodniczuk, tylko się uśmiecha. ■

MUZEUM MIEJSKIE WROCŁAWIA zaprasza do swoich oddziałów



www.mmw.pl

Muzeum Sztuki Mieszczańskiej
w Starym Ratuszu - Rynek

wystawy: Galeria Sławnych Wrocławian
Arcydzieła Wrocławskiego Złotnictwa

Muzeum Historyczne
w Pałacu Królewskim
ul. Kazimierza Wielkiego 35

wystawy: 1000 lat dziejów Wrocławia,
Sztuka Wrocławia 1850 – 2000,
Królewskie komnaty, Barokowy ogród



Muzeum Militariów w Arsenale Miejskim
ul. Cieszyńskiego 9

wystawy: Broń dawna, Broń biała żołnierza polskiego XVIII – XX,
Broń palna, największa polska kolekcja helmów wojskowych



Muzeum Archeologiczne w Arsenale Miejskim
ul. Cieszyńskiego 9

wystawy: Śląsk starożytny - epoki kamienia,
brązu, żelaza, Śląsk wczesnośredniowieczny

Muzeum Sztuki Cmentarnej
Stary Cmentarz Żydowski,
ul. Ślężna 37/39



Samoloty PZL-37 Łoś
na lotnisku polowym,
1939 rok



N A C

Łoś bis

Konstruktorzy z Polskich Zakładów Lotniczych w Mielcu zbudowali wierną replikę legendarnego bombowca PZL-37 Łoś.

Samolot był chlubą polskich konstruktorów okresu międzywojennego. Wyprodukowano około 120 egzemplarzy Łosia, ale do dziś nie zachował się żaden z nich. Dlatego pracownicy mieleckich zakładów, Jakub Skrzypek i Kazimierz Nowakowski, postanowili zbudować pełnowymiarową makietę bombowca. Samo opracowanie projektu zajęło im ponad

pół roku, a tworzenie konstrukcji – dwa lata. W realizację projektu zaangażowani byli też inni pracownicy PZL Mielec. Makieta powstała w tej samej hali fabrycznej, w której przed wojną produkowano prawdziwe Łosie. Replikę można oglądać na wystawie na terenie mieleckiej wytwórni. Prawdopodobnie będzie ona też prezentowana poza zakładami. A D ■

Życzenia szczęśliwego powrotu

Uczniowie z Gorzowa przygotowali kartki świąteczne dla żołnierzy służących w Afganistanie.

Inicjatywa wyszła od przedstawicieli Koła nr 2 Związku Żołnierzy Wojska Polskiego. „Wspólnie z 12 Dywizją Zmechanizowaną postanowiliśmy w taki sposób wesprzeć żołnierzy, którzy święta spędzają z dala od swoich rodzin. To również okazja, by podziękować im za pomoc, którą niosą w Afganistanie”, wyjaśnia kapral Marcin Kamiński. Żołnierze zwrócili się o pomoc do trzech podstawówek w Gorzowie Wielkopolskim. W każdej z nich przeprowadzono zajęcia przybliżające dzieciom sytuację w Afganistanie oraz zadania polskich żołnierzy. Potem uczniowie na lekcjach plastyki i techniki robili kartki dla naszych misjonarzy. „Na każdej z nich napisali życzenia, najczęściej szczęśliwego powrotu do kraju”, dodaje kapral Kamiński. Kartki razem ze świątecznymi podarunkami od rodzin żołnierzy trafią do baz w Afganistanie. P G ■



I ty możesz pomóc

Wystarczy chwila, internet i konto na Allegro.

To właśnie na tym portalu wystartowały aukcje charytatywne, z których cały dochód zostanie przekazany na pomoc weteranom poszkodowanym w operacjach wojskowych poza granicami kraju. Licytację przygotował komitet organizacyjny akcji „Nikt nie zostaje”. Przedmioty oferowane na aukcjach internetowych podarowali uczniowie liceów plastycznych, wychowankowie wojskowych klubów garnizonowych, dowódcy jednostek wojskowych, politycy oraz przyjaciele

Wojska Polskiego. Wśród tych darów znajdują się zarówno dzieła sztuki, jak i przedmioty codziennego użytku. Aby je zakupić, trzeba mieć konto na Allegro i w wyszukiwarce wpisać hasło: „Nikt nie zostaje”. Później wystarczy wybrać aukcję, kliknąć i czekać na przesyłkę.



Proste. Warto dodać, że kupujący został zwolniony z opłaty za dostawę kupionego przedmiotu.

Akcja charytatywna „Nikt nie zostaje” została zainicjowana przez poseł Jadwigę Zakrzewską, przewodniczącą Delegacji Sejmu i Senatu do Zgromadzenia Parlamentarnego NATO. Uroczysta inauguracja odbyła się 4 lipca 2012 roku w Ciechocinku. Wówczas w trakcie licytacji dzieł sztuki udało się zebrać ponad 20 tysięcy złotych, które zostały przekazane na rzecz weteranów operacji wojskowych poza granicami kraju. M M ■

11 LISTOPADA 2012



honorowy Patronat
 Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
 Bronisława Komorowskiego



KONCERT
TERAZ Rock
NIEPODLEGŁOŚCI

ZAGRAJĄ:

**LUKTORPEDA KASIA KOWALSKA RAMONA REY
ODDZIAŁ ZAMKNIĘTY MAGNETAR**

KLUB PALLADIUM 11.11.2012 GODZINA 17:00

DARMOWE WEJŚCIÓWKI NA WWW.ROCKNIEPODLEGLOSCI.PL

SPONSORZY ZŁOCI



Ostatni bój pograniczników

Korpus Ochrony Pogranicza

jest patronem szkoły podstawowej, a generał
Wilhelm Orlik-Rückemann nieodległej placówki
Straży Granicznej.

ARTUR GOŁAWSKI

Polesko-wołyńskie zgrupowanie Korpusu Ochrony Pogranicza było jedyną zwartą polską jednostką, która podczas kampanii wrześniowej walczyła wyjątkowo z jednostkami Armii Czerwonej. Po wkroczeniu Sowietów pogranicznicy wycofywali się na zachód przez 300 kilometrów z rejonu Sarn, tocząc potyczki z wzdzierającymi się coraz głębiej napastnikami. Po przekroczeniu Bugu zatrzymali się na odpoczynek na północ od Chełma.

30 września około dwóch tysięcy żołnierzy z 13 działami ruszyło w kierunku Parczewa z zamiarem dołączenia do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”. W trakcie nocnej próby przekroczenia szosy Włodawa–Lublin w okolicach Wytuczna napotkali oddziały Armii Czerwonej idące od Włodawy. Sowieci wycofywali się wtedy za linię demarkacyjną ustaloną z Niemcami. Doszło do starcia.

W STRONĘ WYTUCZNA

Po zażartych bojach w trudnym, bagnisto-lesistym terenie z czołówką 45 Dywizji Strzelców, wobec braku amunicji i przewagi wroga, generał brygady Wilhelm Orlik-Rückemann nakazał odwrót i rozwiązał grupę. Rozproszone pododdziały ruszyły na północ i niektórzy KOP-owcy zdążyli dołączyć do SGO „Polesie”, prawie nie ponosząc strat własnych. Pod rozkazami generała brygady Franciszka Kleeberga wzięli udział w bitwie z Niemcami pod Kockiem. W ten sposób uniknęli sowieckiej niewoli i egzekucji w Katyniu, Miednoje lub Ostaszukowie.

Zdecydowana większość żołnierzy porzuciła broń i przedzierała się do Rumunii. Niektórzy, jak generał Orlik-Rückeman, ruszyli na Litwę. Około 400 wpadło jednak w ręce Sowietów.

Rozdrażnieni oporem Polaków agresorzy przez cztery dni polowali na pozostałe pododdziały KOP. Często rozstrzelali rannych; niektórych zgromadzili w tak zwanym domu ludowym, zamknęli na klucz i nie pozwolili udzielić im pomocy. Pechowcy wykrwawili się na śmierć.

Według relacji wójta Wytuczna – Józefa Klaudy – poległych i zmarłych w wyniku odniesionych ran Sowieci obdarli z mundurów, a dokumenty złożyli na stos i spalili, aby uniemożliwić identyfikację. Umundurowaniem podzielili się czerwonoarmiści i miejscowi Ukraińcy.

Szacuje się, że pod Wytucznem poległo 93 pograniczników, około 200 zostało rannych. Agresorzy stracili cztery czołgi T-26 i trzy ciągniki Komsomolec (zniszczone ogniem dział), 31 osób zostało zabitych, a około 100 rannych. Choć są też inne szacunki, wskazujące na większe straty czerwonoarmistów.

Poległych w bitwie okolica ludność pogrzebała w dwóch mogiłach na skraju lasu łowiszowskiego. Ciała trzech żołnierzy wyznania mojżeszowego Żydzi przewieźli i pochowali na kirkucie we Włodawie. Jeden z uczestników pochówku twierdzi, że do mogił złożono 72 ciała, natomiast wójt Klauda naliczył 87 ciał w największej mogi-
le. Według Edwarda Romanowskiego, inicjatora i organizatora budowy pomnika poległych, łącznie pochowanych zostało tam 104 pograniczników. Niektórzy żołnierze zmarli w wyniku odniesionych ran spoczęli na cmentarzach w pobliskich Wereszczynie i Sosnowicy. Sowieci swoich poległych pochowali we wsi Wielki Łan, gdzie po bitwie zatrzymali się na noc.

OWIANE TAJEMNICĄ

W listopadzie 1950 roku prochy poległych polskich żołnierzy ekshumowano i przewiezio-



ARTUR GOŁAWSKI (3)



NEKROPOLIA ZAWIESZONA W CZASIE

Na Kopcu Chwały Żołnierzy KOP stoją metalowy krzyż z orłem w koronie i maszt flagowy, jest też tablica z napisem „Wytyczno, Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków, Katyń”. Na symbolicznych mogiłach stanęły krzyże i znalazły się płyty z nazwiskami. Wiele ofiar jest jednak anonimowych.

no na zbiorowy cmentarz we Włodawie. W 1989 roku w miejscu dawnego pochówku usypano ponaddwumetrowej wysokości Kopiec Chwały Żołnierzy KOP i wybudowano symboliczny cmentarz.

W czasach PRL nie było przyzwolenia na organizowanie uroczystości upamiętniających tę bitwę. Prawdę o niej wręcz fałszowano i tylko jej uczestnicy oraz okoliczni mieszkańcy wiedzieli, że przeciwnikami pograniczników nie byli Niemcy, jak to utrzymywano w oficjalnej historiografii. Napis „Szack–Wytyczno, 28 IX–1 X 1939” na tablicach Grobu Nieznane-

go Żołnierza upamiętniających trud wojenny naszych żołnierzy pojawił się dopiero w 1991 roku.

Teraz rokrocznie w Wytycznie 1 października odbywają się uroczystości upamiętniające jedną z ostatnich bitew wojny obronnej 1939 roku. Przed rokiem towarzyszyło im nadanie placówce Straży Granicznej w Zbereżu imienia generała Orlika-Rückemanna. Tablicę upamiętniającą to wydarzenie odsłonił wnuk i prawnuk generała. Pamięć o bitwie jest kultywowana w miejscowej szkole podstawowej, która za patrona otrzymała Korpus Ochrony Pogranicza. ■

POŻEGNANIA

**Pułkownikowi rezerwy doktorowi
Janowi Brzozowskiemu,**

redaktorowi prowadzącemu „Przeglądu Wojsk Lądowych”,
składamy wyrazy najgłębszego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca.

Łączymy się w cierpieniu w obliczu tej bolesnej straty.
Dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Wojsk Lądowych

Wojskowemu komendantowi uzupełnień
we Włocławku

Panu ppłk.

**Radosławowi Niecikowskiemu
i Jego najbliższej Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy WSZW
we Wrocławiu.

Panu mjr.

**Grzegorzowi Szwankowskiemu
oraz Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy
Szefostwa Służby Uzbrojenia i Elektroniki
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu gen. bryg.

**Ryszardowi Frydrychowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają dowództwo, kadra i pracownicy wojska
Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń.

**Panu pułkownikowi
Krzysztofowi Tokarczykowi
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowództwo oraz żołnierze i pracownicy
1 Brygady Logistycznej w Bydgoszczy.

Panu płk. pil.

Mirosławowi Grochowskiemu
najszczerze wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają kadra i pracownicy Inspektoratu
Ministerstwa Obrony Narodowej
do spraw Bezpieczeństwa Lotów.

**Panu płk. Janowi Pawlikowi
i Jego najbliższej Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy WSZW
we Wrocławiu.

Panu inż. Tomaszowi Hypkiemu,
prezesowi Agencji Lotniczej Altair sp. z o.o.,
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Żony

składają kadra kierownicza, oficerowie
i pracownicy cywilni
Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON.

„Istniejemy, póki ktoś o nas pamięta”
Carlos Ruíz Zafón

Panu Zenonowi Walaskowi
najszczerze wyrazy żalu i współczucia
w trudnych chwilach po śmierci

Syna

składają dowódca oraz wszyscy żołnierze
i pracownicy wojska 34 Dywizjonu Raketowego
Obrony Powietrznej w Bytomiu.

Rodzinie i Bliskim

ks. mjr. Roberta Krzysztofiaka

wyrazy żalu i głębokiego współczucia z powodu śmierci

Taty

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
Centrum Szkolenia Inżynieryjno-Lotniczego
w Dęblinie.

Człowiek renesansu

Na wieczną wachtę odszedł 27 września 2012 roku w wieku 88 lat
bosman w stanie spoczynku **Sławomir Sierecki**,
dziennikarz, publicysta, krytyk filmowy i teatralny, pisarz.

Był drugim powojennym redaktorem naczelnym „Przeglądu Morskiego”, kierownikiem działu kulturalnego „Głosu Wybrzeża”, dziennikarzem „Wieczoru Wybrzeża” oraz redaktorem naczelnym Wydawnictw Morskich.

Urodził się w 1924 roku w Miedzeszynie koło Warszawy. W czasie II wojny światowej ochotniczo wstąpił do Wojska Polskiego. Z 2 Armią dotarł nad Nysę. Napisał wówczas pierwsze opowiadanie „Głos ojczyzny”, które w 1945 roku ukazało się w POLSCE ZBROJNEJ. Niebawem został przeniesiony do Marynarki Wojennej, gdzie początkowo pełnił służbę w Domu Marynarza. W 1946 roku współpracował z Wydawnictwem MW, a następnie zajmował się układem graficznym czasopisma „Marynarz Polski”.

Do redakcji „Przeglądu Morskiego” trafił w połowie 1947 roku – został jej sekretarzem. Obowiązki redaktora naczelnego pełnił od początku 1949 do końca 1950 roku. Pierwszy artykuł w tym czasopiśmie „Przeciwlotnicza obrona portów” opublikował w 1948 roku. Później napisał jeszcze kilka arty-



kułów, głównie na temat historii morskiej sztuki wojennej.

Od 1945 roku jako dziennikarz pracował w wielu redakcjach, między innymi w „Morzu”, „Młodym Żeglarzu” oraz w Wydawnictwie MON. W latach 1952–1954 pełnił funkcję redaktora w Oddziale Morskim Wydawnictw Komunikacyjnych. Następnie pracował w „Głosie Wybrzeża”, a po utworzeniu

w 1956 roku „Wieczoru Wybrzeża” został w nim kierownikiem działu kulturalnego. Z tym ostatnim czasopiśmie związał się na stałe aż do emerytury w 1986 roku.

Pisał przede wszystkim recenzje, a także felietony teatralne i filmowe. Jako pisarz zadebiutował w 1951 roku zbiorem historycznych szkiców „Strażnicy morza”, a siedem lat później ukazała się na rynku księgarskim jego pierwsza powieść – „Ewangelista”. Był autorem około 60 książek, w tym „Jutro przed północą” czy „Nie zabijajcie białego jednorożca”.

Uhonorowano go między innymi krzyżami Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaką Grunwaldzką, medalem „Za Zasługi dla Marynarki Wojennej” oraz odznakami „Zasłużony Ziemi Gdańskiej” i „Zasłużony Działacz Kultury”.

Pochowany został z honorami wojskowymi na gdańskim cmentarzu na Salwatorze. W ostatniej drodze towarzyszyli mu koledzy z Marynarki Wojennej RP oraz redakcji „Przeglądu Morskiego”. ■

Rodzinie i Bliskim

ks. mjr. Roberta Krzysztofiaka

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci składają komendant, kadra i pracownicy wojska Szkoły Podoficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

Panu mjr. Janowi Dacie

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy Wojskowej Komendy Uzuppełnień w Rzeszowie.

Z głębokim poruszeniem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość, że 15 września 2012 roku na wieczną wachtę odszedł

kmdr rez. Alfred Markiewicz,

były zastępca szefa Oddziału Finansów DMW oraz wieloletni pracownik wojska DMW.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje

Rodzinie Zmarłego

składają żołnierze i pracownicy wojska służby finansowej Marynarki Wojennej.

POŻEGNANIA

**Kpt. Ireneuszowi Sienkiewiczowi
oraz Jego Najbliższemu**
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
11 Mazurskiego Pułku Artylerii w Węgorzewie.

Panu mjr. Markowi Czerwińskiemu
wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra oraz pracownicy wojska
Centrum Wsparcia Dowództwa Operacyjnego
Sił Zbrojnych.

**Pani Elżbiecie Oryńczak
oraz Jej Najbliższemu**
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
11 Mazurskiego Pułku Artylerii w Węgorzewie.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
prezesowi Agencji Lotniczej Altair
Panu Tomaszowi Hypkiemu
z powodu śmierci

Żony

składają dowódca Sił Powietrznych
gen. broni pil. Lech Majewski
wraz z kadrami, żołnierzami i pracownikami
Sił Powietrznych.

„Istniejemy, póki ktoś o nas pamięta”
Carlos Ruíz Zafón

Panu st. szer. Mariuszowi Bajur
najszczerze wyrazy żalu i współczucia
w trudnych chwilach po śmierci
Brata Włodzimierza
składają dowódca oraz wszyscy żołnierze i pracownicy
wojska 34 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej,
a także żołnierze byłego 75 Dywizjonu Rakietowego
Obrony Powietrznej.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość,
że 7 października 2012 roku
odszedł na wieczną wartę

gen. dyw. dr Jan Światowiec,

wielki patriota, prawy człowiek i wybitny profesjonalista.
Odszedł wieloletni dowódca i szef wielu szczebli
dowodzenia, wychowawca wielu pokoleń żołnierzy.
Człowiek wielkiego serca i ogromnej życzliwości.

Rodzinie Zmarłego

składamy wyrazy najgłębszego współczucia.
Klub Generałów WP

**Panu Zygmuntowi Majchrowskiemu
oraz Jego Rodzinie**
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Gdańsku.

**Pani Iwonie Graniszewskiej
oraz Jej Najbliższemu**
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Informatyki i Telekomunikacji MON.

Panu gen. bryg. Ryszardowi Frydrychowi,
szefowi obrony przed bronią masowego rażenia,
oraz Jego Rodzinie
wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają żołnierze i pracownicy wojska
Szefostwa Obrony przed Bronią Masowego Rażenia.

**Panu starszemu chorążemu
Mikołajowi Żmudzie**
wyrazy głębokiego żalu i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy
Pułku Ochrony w Warszawie.

O czołgu dobrym tylko na parady

Budzący grozę Behemot, wyposażony w pięć wież, sześć kaemów i trzy działa, nadawał się raczej na defilady niż do służby w pierwszej linii.

MACIEJ SZOPA

Poszukiwanie superbroni nie było wyłącznie domeną III Rzeszy. Także w Związku Sowieckim usiłowano budować maszyny niezwykłe, którymi można by zająć Europę. Jedną z nich był zaprojektowany w fabryce Bolszewik w pierwszej połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku T-35. Ten ważący 45 ton czołg musiał mieć aż jedenastu członków załogi, żeby dało się go poprawnie obsługiwać. Maszyna powstała zgodnie z założeniami swojej epoki: miała być ruchomą, powolną twierdzą zdolną do prowadzenia ognia we wszystkich kierunkach.

Gigant konkurował z jeszcze większym potworem – był nim 100-tonowy czołg TG-5, posiadający cztery wieże i uzbrojony między innymi w okrętowe działo kalibru 107 milimetrów! W 1932 roku gotowy był pierwszy prototyp, ważący 35 ton, z armatą kalibru 76,2 milimetra. Wkrótce potem dodano do niego dwie mniejsze wieże z przodu z działami 37-milimetroowymi i dwie tylne – wyposażone w karabiny maszynowe. T-35 miał być cięższym wariantem czołgu średniego T-28. Ten ostatni także był konstrukcją wielowieżową, miał ich jednak „tylko” trzy.

W sierpniu 1933 roku zapadła decyzja o produkcji dwóch krótkich serii maszyn w charkowskiej fabryce lokomotyw. W efekcie powstało 20 pierwszych T-35. Okazały się niezwykle kosztowne i wadliwe. Do konstrukcji wprowadzono więc liczne poprawki. Przedłużony został kadłub czołgu, mniejsze działa wymieniono na 45-milimetroowe, a wiele elementów (między innymi wieże) zaczęto dublować z innych czołgów: BT-5 i T-28. W 1935 roku zdecydowano się na budowę 35 usprawnionych pojazdów. Trwała ona aż trzy lata, do 1938 roku. Ostatecznie razem z prototypami powstało jedynie 61 sztuk T-35. Do 1940 roku z dumą prezentowano je na wojennych paradach w Moskwie. Maszyny robiły na publiczności ogromne wrażenie. W końcu jednak ktoś stwierdził, że wypadałoby wprowadzić je do linii. Były nawet propozycje, aby z podwozi T-35 zdjąć wieże i umieścić ciężkie działa, tworząc w ten sposób artylerię samobieżną. Ostatecznie ciężkie czołgi weszły w skład 67 i 68 Pułku Pancernego. Obydwa



Ostatnie czołgi T-35 zostały wykorzystane bojowo w obronie Moskwy zimą 1941 roku.

należały do 34 Dywizji Pancerniej i stacjonowały w Kijowskim Okręgu Wojskowym. W czasie operacji „Barbarossa” większość z maszyn została unieszkodliwiona z powodu usterek technicznych. Okazało się, że T-35 był po prostu zbyt skomplikowany i za dużo jego elementów mogło się zepsuć. Niemcy zagarnęli porzucone maszyny. Jedna z nich została zawieziona na poligon do Kummersdorfu, gdzie poddano ją testom. O tym, jak one wypadły, świadczy fakt, że ani jeden T-35 nie trafił do Wehrmachtu ani żadnej innej armii niemieckich satelitów.

Ostatnie czołgi zostały wykorzystane bojowo w obronie Moskwy zimą 1941 roku. Wojnę przetrwały jedynie cztery egzemplarze, wykorzystywane jako maszyny treningowe. Jedna z nich przetrwała do dziś i jest eksponowana w moskiewskim Muzeum Czołgów w Kubince. ■



europoltech 2013

Międzynarodowe Targi Techniki i Wyposażenia Służb
Policyjnych oraz Formacji Bezpieczeństwa Państwa

VI Międzynarodowa Konferencja Policyjna

Warszawa, 17-19 kwietnia 2013 r.



www.europoltech.pl

Organizacja Targów Europoltech 2013

 **MTG** | MIĘDZYNARODOWE
TARGI GDAŃSKIE SA

Dyrektor Projektu: Marek Buczkowski
tel. 58 554 92 13, faks 58 552 21 68
europoltech@mitgsa.com.pl

Miejsce Konferencji i Targów

Warszawskie Centrum EXPO XXI
ul. Prądzyńskiego 12/14
01-222 Warszawa
www.expoxi.pl

Organizacja Konferencji
Policyjnej



Patronat medialny

POLICJA 997



Czerwonoarmista 1939 roku

Sowieckie zwycięstwo nad Chalchyn gol
zniechęciło Japończyków do ataku na ZSRR
w czasie II wojny światowej.

RADOSŁAW DĄBROWSKI

Zapomnianym preludium II wojny światowej był konflikt rosyjsko-japoński na Dalekim Wschodzie. Będące granicą stref wpływów Japonii i ZSRR na kontynencie azjatyckim pogranicze marionetkowego państwa Mandżukuo i Mongolii stało się w 1938 roku areną otwartej wojny. Najważniejsze walki toczono od 29 lipca do 11 sierpnia 1938 roku w okolicy jeziora Chasan. Rok później doszło do walk nad rzeką Chalchyn gol, które trwały od 11 maja do 16 września 1939 roku. Wówczas Armia Czerwona wspierana przez dwie dywizje kawalerii mongolskiej armii ludowej pokonała oddziały armii cesarskiej, poniosłszy niemal 30-tysięczne straty. Zwycięstwo to przesądziło o zmianie planów i kierunku strategicznych działań militarnych Japonii w czasie II wojny światowej.

Prezentuję sylwetkę żołnierza Armii Czerwonej w umundurowaniu i wyposażeniu charakterystycznym dla 1939 roku i działań w Mandżurii. Przedstawiony żołnierz należy do 212 Brygady Powietrznodesantowej, która nad Chalchyn gol przeszła swój chrzest bojowy i wykazała się w walkach z Japończykami.

Lekki drelichowy mundur w kolorze ochronnym składa się ze spodni o kroju bryczesów i bluzo-koszuli, popularnie zwanej gimnastiorką. Na kołnierzu widać patki w kolorze oznaczającym rodzaj broni oraz odznaki korpusu osobowego i stopnia kaprała. Mundur oraz dystynkcje

to kopie wykonane współcześnie w Rosji, sprowadzone dzięki pomocy zaprzyjaźnionych rekonstruktorów z zagranicy. Na nogach noszę tradycyjne dla żołnierza Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej wysokie buty o szerokich cholewach. Zwraca uwagę bardzo charakterystyczny hełm wzoru z 1936 roku – pierwszy nowoczesny stalowy wykonany dla wojsk Związku Radzieckiego. Wyposażenie osobiste żołnierza dopełniają: pas skórzany, torba na granaty, manierka oraz chlebak. Skórzane ładownice wzoru pamiętającego jeszcze wojnę rosyjsko-japońską w 1905 roku ze względu na prostą konstrukcję i wygodę użytkowania w warunkach polowych były używane do końca lat trzydziestych. Pod jedną z nich zawieszona jest tak zwana ładownica zapasowa mieszcząca dodatkowe łódki z nabojami oraz przyrządy do czyszczenia broni. Zawieszona na pasie ciężkie oporządzenie podtrzymują parciane szelki – tę kopię wykonałem własnoręcznie. Przez ramię przerzuciłem torbę z maską przeciwgazową. Uwagę zwraca sztylet do walki wręcz na wzór zakaukaski. Mógł on zostać przez żołnierza pozyskany na drodze handlu wymiennego z miejscową ludnością. Zasadnicze uzbrojenie stanowi karabin systemu Mosina wzór 1891/30 – standardowa broń rosyjskiej piechoty aż do 1945 roku. ■

W następnym numerze:
członek Straży Obywatelskiej Miasta Warszawa



NAZWA: **ŻOŁNIERZ ROBOTNICZO-
-CHŁOPSKIEJ ARMII CZERWONEJ (RKKA)**

DATOWANIE: CHALCHYN GOL,
MAJ-CZERWIEC 1939 ROKU

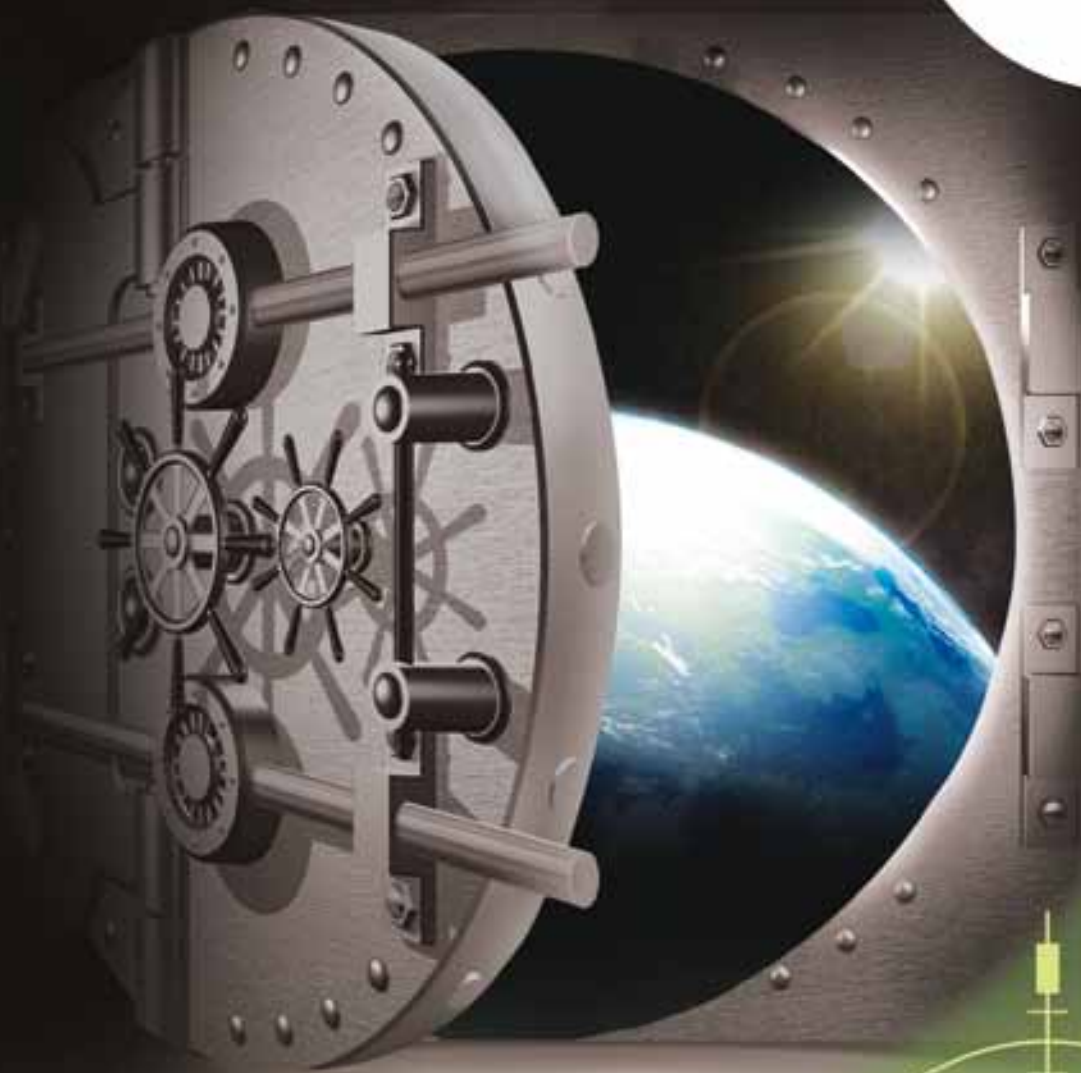
GRUPA: KLUB MIŁOŚNIKÓW
HISTORII „WARSZAWA”

Oznaczenia na kołnierzu
wskazują, że to ubiór
kaprała 212 Dywizji
Powietrznodesantowej

Pierwszy nowoczesny
hełm sowiecki
wzoru 1936



2-5.09.2013
Kielce



MSPO 2013

**XXI Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego**

TARGI KIELCE S.A., ul. Zakładowa 1, Kielce
DYREKTOR PROJEKTU: Agnieszka Białek
tel. 41 365 12 49, mspo@targikielce.pl

www.mspo.pl





Z A M K I

Obronna rotunda

Unikatowy średniowieczny zamek wzniesiono na planie regularnego koła.

Wzmianka o grodzie obronnym w Owieśnie, dawniej nazywanym Habendorf, pojawiła się w kronikach w 1260 roku. Według niektórych teorii został zbudowany przez zakon templariuszy lub bożogrobców. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że była to pierwsza siedziba możnego śląskiego rodu Pogorzeliów. Na począt-

ku XIV wieku, w okolicy opuszczonego już wtedy grodu, Pogorzeliowie zbudowali murowany zamek rycerski. Wzniesiono go na planie koła o średnicy około 30 metrów. W skład założenia wchodziły budynek mieszkalny i dziedziniec, a całość otaczały mur obwodowy i fosa. Wjazd prowadził od strony południowej, gdzie stała wysoka cylindryczna wieża – bergfried.

W połowie XVI wieku zamek stał się własnością rodziny von Brocków i to oni dokonali pierwszej większej modernizacji. Powstały nowe dwukondygnacyjne budynki mieszkalne, przebudowano wieżę – dolna część powstała na planie kwadratu, wyżej ustawiono segment na planie ośmioboku. Warownia nadal zachowała charakter obronny, przystosowano ją też do użycia broni palnej. Całość otoczono kolejną, zewnętrzzną linią murów ze strzelnicami, stanowiska ogniowe mieściły się też w kazamatach i na wieży.

Po 1579 roku dobra kilkakrotnie zmieniały właścicieli, aby w roku 1797 ostatecznie znaleźć się w rękach rodziny von Seidlitzów, którzy pozostali gospodarzami Owiesna aż do końca



K S I A Ż K A

Skok w ciemność

„Nazywają nas cichociemnymi podobno dlatego, że niezauważalnie znikamy z macierzystych jednostek i mamy do spełnienia tajemniczą misję”.

Kacper Śledziński odważnie zmierzył się z legendą cichociemnych. Rzetelnie, bez patosu, nadmiernego idealizowania. Nie napisał o herosach, bohaterach bez skazy, lecz o ludziach z krwi i kości, którzy mimo strachu, pokonując własne słabo-

ści, rwali się do walki w okupowanej ojczyźnie.

Szkolenie spadochronowe w Wielkiej Brytanii skończyło sześciuset sześciu elewów. Do kraju zrzucono trzystu czterdziestu czterech. Niektórzy zginęli tuż po lądowaniu, wielu poległo w cza-

sie walk, niektórzy – już po wojnie, uznani za wrogów narodu. Śledziński głównymi bohaterami uczynił ośmiu z nich, między innymi porucznika Alfreda Paczkowskiego „Wanię”, doktora medycyny, kapitana Macieja Kalenkiwicza „Kotwicza”, który razem z kapitanem Janem Górskim pracował nad otwarciem drogi lotniczej do Polski, a także podporucznika Jana Piwnika „Ponurego”, jednego z najsłynniejszych dowódców partyzanckich oddziałów AK, i porucznika Bohdana Piątkowskiego „Maka”, uwielbianego przez współtowarzyszy walki, bestialsko zamordowanego w Mińsku. Ich losy są jednak zaledwie małym strumieniem płynącym

➔ Vademecum

Owiesno leży w południowej części województwa dolnośląskiego, 8 kilometrów od Dzierżoniowa i 15 kilometrów od Ząbkowic Śląskich. Pociągami można dojechać do Ząbkowic, tam trzeba się przesiąść w PKS. Z przystanku autobusowego do zamku, znajdującego się w pobliżu kościoła, idzie się około 10 minut. Samochód natomiast można zostawić pod samą bramą zamku. Co jakiś czas przy ruinach warowni odbywają się widowiska historyczne organizowane przez fundację Zamek Chudów i samorząd – inscenizacje walk rycerskich czy pokazy łuczników. W Owiesnie nie ma miejsc noclegowych, zatrzymać można się w hotelach w Dzierżoniowie lub Ząbkowicach Śląskich.

II wojny światowej. W pierwszej połowie XVIII wieku zamek przeszedł kolejną, tym razem barokową przebudowę. W tym stylu przekształcono elewacje i wnętrza, utworzono też drugie wejście od północy. Powstały dwie ozdobne bramy, a wokół zamku założono duży dworski park. Pod koniec XIX wieku całość budowli nieco powiększono, podwyższono budynki mieszkalne do jednolitej wysokości trzech kondygnacji, przebudowano obie sienie wjazdowe, a wieża otrzymała neobarokowy

równoległe do opowieści o wielu innych cichociemnych. Śledziński opisuje, w jaki sposób, nie bez przeszkód, doszło do powstania oddziału specjalnego ludzi gotowych wrócić do kraju, jak przebiegało ich szkolenie i co działo się z nimi po przerzucie do Polski.

Analizuje proces tworzenia Wachlarza i przyczyny jego likwidacji, wiele miejsc poświęca również brawurowym akcjom żołnierzy AK dowodzonych przez cichociemnych, takim jak odbicie więźniów w Pińsku, ale też tym nieudanym, jak przygotowania do akcji w Mińsku.

Losy cichociemnych Śledziński podsumowuje cytatem ze wspomnień Alfreda Paczkowskiego zapisanym

hełm. Wszystkie te przebudowy zmieniły pierwotny wygląd zamku, zachowano jednak jego obronny układ.

Warownia przetrwała obie wojny światowe właściwie bez szwanku i w 1945 roku znalazła się na ziemiach należących do Polski. Niestety, po wojnie pozostawiona bez opieki szybko niszczała. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zamek został rozgrabiony i zdewastowany przez szabrowników i okolicznych mieszkańców. W 1964 roku zawałająca się wieża doprowadziła budowlę do ostatecznej ruiny. Do dziś dotrwały wysokie na trzy kondygnacje pozostałości zamkowych murów otoczone suchą fosą, zaniedbane resztki dziewięciohektarowego parku i zabytkowe zabudowania folwarczne z XIX wieku – dom ogrodnika i oficyna.

W 2003 roku ruiny w Owiesnie kupiła fundacja Zamek Chudów. Oczyszczyła większą część zamkowej fosy oraz odgruzowała obiekt do poziomu wyłożonego kamiennymi płytami dziedzińca. Odstąpiono najniższą kondygnację wieży oraz mur obwodowy. W 2009 roku przeprowadzono tutaj pierwsze prace zabezpieczające. Można więc mieć nadzieję, że któregoś dnia zamek, zapewne jako trwała ruina, zostanie udostępniony zwiedzającym. Niestety na razie nie można wejść na jego teren, co najwyżej da się obejrzeć pozostałości unikalnego, okrągłego założenia od zewnątrz. ■

ANNA DĄBROWSKA

18 września 1944 roku. „Przed nami było Nowe”. To lakoniczne stwierdzenie oznaczało dla tych żołnierzy zarówno koniec, jak i początek – nowy etap w ich życiorysach, przerywany latami spędzonymi w więzieniach UB lub w Związku Radzieckim.

Książka Śledzińskiego zainteresuje nie tylko miłośników historii. Dobrze napisana, miejscami nieco sentymentalna, z wciągającymi opisami akcji, ma jeden podstawowy atut – bohaterów, którym warto poświęcić czas. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Kacper Śledziński, „Cichociemni. Elita polskiej dywersji”, Znak, 2012



FILM

Miasto wojny

Fragmenty niemieckich kronik z pierwszych dni okupacji Warszawy obejrzymy w filmie wyświetlanym w Domu Spotkań z Historią.

Obraz „Początek” Krzysztofa Jaszczyskiego i Ryszarda Mączewskiego z Fundacji „Warszawa1939.pl” oraz Andrzeja Kałuszki, właściciela Aura Film TV Production, jest kontynuacją zrealizowanego w styczniu 2012 roku przez tych samych autorów filmu „Przelot nad zdobytym miastem”. Tam widzieliśmy Warszawę oczami niemieckich operatorów Luftwaffe przelatujących nad stolicą w dniu jej kapitulacji. Materiały niewykorzystane w pierwszej produkcji oraz fragmenty nakręconych w Warszawie niemieckich kronik złożyły się na film „Początek”.

„Materiał wymagał kilku miesięcy pracy”, tłumaczy Andrzej Kałuszko. „Dzięki obróbce cyfrowej obraz został ustabilizowany i oczyszczony”.

Na filmie zobaczymy Warszawę zrujnowaną po trzech tygodniach oblężenia, podpisanie kapitulacji miasta, wymarsz polskich wojsk do niewoli, rozdawanie przez okupantów chleba mieszkańcom czy niemiecką defiladę w Alejach Ujazdowskich. Część z tych ujęć nigdy dotąd nie była pokazywana. A D ■

Zwiastun znajdziemy na stronie: youtu.be/9uuZuWos1vs, a cały film zobaczymy na razie tylko w DSH. Terminy pokazów na stronie: www.dsh.waw.pl





Anna Krylova,
„Radzieckie kobiety w walce”,
Replika, 2012

K S I A Ź K A

Atrybuty męskości

W czasie II wojny światowej wojsko radzieckie było wyjątkowo sfeminizowane.

W 1941 roku zdarzyła się rzecz niezwykła. Kiedy wybuchła wojna z Niemcami, młode Rosjanki szturmem zaczęły zgłaszać się do wojska. I wcale nie chciały zostać sanitariuszkami, telefonistkami czy tłumaczkami, lecz pilotkami, snajperkami lub czołgistkami. W czasie II wojny światowej około 520 tysięcy kobiet służyło w regularnych oddziałach Armii Czerwonej, a 300 tysięcy w broniących miast formacjach obrony przeciwlotniczej. Anna Krylova

twierdzi, że wojsko radzieckie było wyjątkowo sfeminizowane, o wiele bardziej niż siły zbrojne Francji, Wielkiej Brytanii czy USA. Ta historyk kultury w świetnej książce „Radzieckie kobiety w walce” pokazuje nie tylko genezę tego zjawiska, lecz także procesy społeczne, jakie miały wpływ na postrzeganie żołnerek po zakończeniu konfliktu.

W latach trzydziestych ubiegłego wieku w prasie, literaturze czy fil-

mie znalazł odzwierciedlenie spór społeczny o wizję porewolucyjnego pokolenia, który dotyczył również równouprawnienia kobiet. Dyskutowano między innymi o tym, czy służba wojskowa nie będzie się kłócić z tradycyjną rolą, jaką społeczeństwo wyznaczyło kobietom. Te zaś uważały jednak strzelanie czy sztukę pilotażu za dodatkowe umiejętności, które nie ujmują im nic z kobiecości. Nastąpiło niejako przewertowanie ról społecznych obu płci. Według Krylovej, w taki klimat idealnie wpisywał się system edukacji uwzględniający szkolenie wojskowe i paramilitarne zajęcia pozalekcyjne dla dziewcząt i chłopców. Na początku lat czterdziestych garnące się do wojska dziewczyny zarówno mentalnie, jak i praktycznie były zatem tak samo przygotowane do wojaczki, jak ich rówieśnicy płci męskiej. Co więcej, sprawdziły się na polu walki – były znakomitymi pilotkami, dowódcami, snajperkami.

Kiedy Anna Krylova rozmawiała z weterankami, chciała się dowiedzieć, czy były zmaskulinizowanymi kobietami, czy może sfeminizowanymi żołnierzami. Zastanawiała się, czy nie były rozdarte między świeżo nabytymi atrybutami męskości a zachowanymi cechami kobiecości. Jak widać, nawet dziś trudno uwierzyć, że bez konsekwencji można było połączyć te role społeczne. Tym bardziej że po II wojnie światowej kombatantki zepchnięto na drugi plan, wtłoczono je z powrotem w stare konwenanse. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

K S I A Ź K A

Fascynujące zło

Szczera do bólu spowiedź gangstera, który niczego w swoim życiu nie żałuje.

Jon Roberts urodził się w Nowym Jorku we włoskiej rodzinie. Jego życie odmieniło popełnione przez ojca morderstwo, którego był świadkiem jako siedmiolatek. Potem podstaw mafijnego fachu nauczył się od ojca i wujów. Pracował dla członków nowojorskiej mafii jako menedżer klubu i restaurator. Po zatrzymaniu przez policję dostał możli-

wość anulowania wyroku przez odbycie służby wojskowej. Trafił do Wietnamu. Tam opracował między innymi metodę obdzierania wrogów żywcem ze skóry. Po powrocie do kraju zajął się sprowadzaniem kokainy z Kolumbii. Jak twierdzi, na handlu narkotykami zarobił około 100 milionów dolarów. Współpracował też z CIA.



Swoją historię opowiedział pisarzowi Evanowi Wrightowi. Z książki dowiemy się, jak Roberts tworzył szlaki transportu kokainy oraz jak kupował sędziów, polityków i policjantów. Poznamy świat gangsterskich porachunków, brutalne sposoby na dłużników i skuteczne metody wymuszenia pieniędzy. To niezwykle wciągająca, ale i mroczna książka o gangsterze, który bił dla zabawy, mordował z zimną krwią i sam o sobie mówił jako o „bardzo złym człowieku”. ■

ANNA DĄBROWSKA

Jon Roberts, Evan Wright, „Prawdziwy gangster. Moje życie: od żołnierza mafii do kokainowego kowboja i tajnego współpracownika władz”, Znak Literanova, 2012

WYSTAWA

Epolety na ekranie

K. WOJCIEWSKI

Muzeum Oręża w Kołobrzegu zaprasza na najnowszą wystawę czasową „Kiedy mundur staje się kostiumem”. Zgromadzono na niej uniformy uszyte do filmów wojennych i historycznych. Znajdziemy tutaj między innymi mundury Hansa Klossa i Hermanna Brunera noszone w filmie Patryka Vegi „Kloss: Stawka większa niż śmierć”, uniform



porucznika Aldo Raine granego przez Brada Pitta w „Bękartach wojny” Quentina Tarantino czy kawalerzysty Jana Krynickiego, w którego wcielił się Borys Szyc w „Bitwie Warszawskiej 1920” Jerzego Hoffmanna. Ekspozycji towarzyszą zdjęcia i informacje dotyczące prezentowanych na niej produkcji filmowych. Wystawa potrwa do 30 listopada 2012 roku. A D ■

KSIĄŻKA

Wyrwani z pamięci

Ta książka to nagrobek wystawiony polskim bohaterom.

POLECAMY

Monika Szejnert spróbowała dokonać rzeczy niemal niemożliwej – ustalić nazwiska ofiar represji powojennych władz Polski Ludowej, a co więcej znaleźć miejsca, gdzie zostały pochowane. Bohaterów tamtych wydarzeń ukarano niejako podwójnie – nie tylko ich torturowano, osądzono na podstawie zmanipulowanych oskarżeń i zamordowano, lecz także starano się zatrzeć jakkolwiek pamięć o nich. Dlatego najczęściej nie wydawano ciała bliskim, co stanowiło dodatkową karę. Po więźniach politycznych miał nie zostać żaden ślad.

Monika Szejnert, znana reporterka związana z opozycją (tegoroczna finalistka konkursu nagrody Nike za książkę „Dom żółwia. Zanzibar”), pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku zaczęła zbierać informacje o więźniach politycznych pierwszej powojennej dekady. We wszystkich relacjach ludzi, którzy przeżyli więzienie mokotowskie, przewijał się jeden wątek. Świadkowie twierdzili, że zawsze jakiś czas po egzekucji słyszeli turkot wozu i odgłos końskich kopyt. Dziennikarka postanowiła zatem dowiedzieć się, dokąd wywożono zwłoki więźniów.

Swoje śledztwo skrupulatnie, dzień po dniu, opisała w znakomitej książce „Śród żywych duchów”. Trzeba pamiętać, że działała w niesprzyjających okolicznościach. Poszukiwania rozpoczęła na początku 1988 roku, czyli na tyle późno, że wielu świadków tamtych wydarzeń już umarło, ale na tyle wcześnie, żeby ci, którzy żyli, obawiali się mówić na ten temat. I chociaż, jak stwierdziła, nie do końca wypełniła misję, której się podjęła, i informacje przez nią zebrane nie zaprowadzą nikogo na grób brata, męża bądź ojca, dokonała rzeczy niezwykłej. Po pierwsze, nie tylko miała odwagę szukać śladów po zamordowanych bohaterach, lecz także upubliczniła wyniki swoich poszukiwań. Po artykule w „Tygodniku Powszechnym” i audycji w Radiu Wolna Europa zaczęto głośno mówić o bezimiennych zbiorowych mogiłach na Służewcu i Powązkach. Po drugie, książka „Śród żywych duchów” (pierwsze wydanie w Londynie w 1990 roku) jest, jak powiedział Norman Davies, niezwykle pomnikiem wystawionym polskim bohaterom.

ANETA WIŚNIEWSKA


Małgorzata Szejnert, „Śród żywych duchów”, Znak, 2012

WYSTAWA

Dowód w lasce



Wystawa „Kryptonim Legalizacja” poświęcona jest technikom wyrobienia przez Polskie Państwo Podziemne fałszywych dokumentów. Znajdziemy na niej zestaw do podrobienia dokumentów, maszynę, dzięki której można odczytać takie pomniejszone do rozmiaru kilku milimetrów oraz laskę skrytkę służącą do przenoszenia tajnej dokumentacji. W muzeum można też obejrzeć multimedialne prezentacje przedstawiające fałszywe dokumenty i banknoty. Wystawa potrwa do końca 2012 roku. A D ■



REKLAMA



SKLEP NOWOCZESNEGO ŻOŁNIERZA

Umundurowanie - Naczyta głowy - Koszulki, bluzy, płaszcze i kurтки, spodnie -
Bielizna osobista - Galanteria mundurowa -
Obuwie i galanteria skórzana - Wyroby upominkowe -
Szable, kordziki, akcesoria...

<http://www.sklep-wph.com.pl>

WPH Sklep Internetowy; www.sklep-wph.com.pl
e-mail: sklep@wph.com.pl
Al. Niepodległości 235/237, 02-009 Warszawa
tel/fax: 22 621-64-49
pon-pt - godz. 9:00-17:30, sobota - godz. 9:00-12:30
ul. Dymyńska 9, 01-619 Warszawa, tel: 22 639-10-69
por-pt - godz. 9:00-17:00

<http://www.facebook.com/wph.sklep.internetowy>

RAFAL MNIEDŁO



ROBERT STEFANOWICZ



|KRZESINY

Zapach nieba

Grażyna Szapołowska wzięła udział w sesji zdjęciowej w 31 Bazie Lotnictwa Taktycznego. Aktorka ubrana w kombinezon pilota spędziła cały dzień, poznając sekrety samolotu F-16, wysłuchała też opowieści pilotów o lataniu. „Musiałam pozbyć się biżuterii, telefonów i wszystkiego, co mogłoby być niebezpieczne dla myśliców”, opowiadała w rozmowie z kapitan Marleną Bielewicz, oficerem prasowym 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego. Aktorka stwierdziła też, że kiedy założyła hełm, poczuła zapach nieba. „Podczas kołowania ogarnęło mnie niezwykle podniecenie, którego nie zaznałam dotąd w życiu”, wyznała. Sesję zdjęciową i wywiad z aktorką dla magazynu „Imperium Kobiet” zobaczymy w listopadowym wydaniu tego miesięcznika. A D ■

Ż A G A Ń

Piknik husarski

W tym roku święto 11 Dywizji Kawalerii Pancernej zbiegło się ze 120. rocznicą urodzin generała Stanisława Maczka oraz 70. rocznicą powstania 1 Polskiej Dywizji Pancernej. Z tej okazji w obchodach święta i pancernym pikniku wzięło udział 16 kombatanów maczkowskiej dywizji. Goście mogli obejrzeć współczesny sprzęt Czarnej Dywizji, a także przywieziony z Muzeum Broni Pancernej z Poznania odrestaurowany czołg Sherman „Firefly”. A D ■



JACEK SZUSTAKOWSKI

K R A K Ó W

Powietrzna walka

Zmagania zdalnie sterowanych modeli samolotów z I i II wojny światowej „III bitwa o Wawel” wygrał 15-letni Patryk Zagrajek. W zawodach w konkurencji ESA (Electric Simply Aircombat), a zarazem II Mistrzostwach Polski wystartowało 35 zawodników. Powietrzne walki toczone były przez lekkie modele wykonane przez nich własnoręcznie. Do każdej maszyny przyłączone były wstążki, których odcięcie rywalowi śmigłem lub skrzydłem jest głównym celem starcia. JS ■

E R F U R T

Zawody z nożem

Polska wojskowa reprezentacja kucharzy walczyła brązowy medal na odbywającej się co cztery lata olimpiadzie kulinarnej. Mistrzowie i mistrzyni sztuki kulinarnej pokazali swój kunszt w przygotowaniu tak zwanej zimnej płyty oraz serwowaniu dań gorących. AD ■



JUSTYNA KĘDRA

P O Z N A Ń

Parada weteranów szos

Przekazanie przez greckie siły zbrojne dwóch amerykańskich czołgów do Muzeum Broni Pancernej uświetniło obchody 10. rocznicy Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. Można było też obejrzeć historyczne wozy należące do współpracujących z centrum kolekcjonerów, między innymi replikę polskiego samochodu pancernego WZ-34, Jeepa Willysa czy amerykański czołg Sherman. A D ■

TOMASZ MIELCZAREK





ANDRZEJ
FAŁARA

Sportowa karczma

**KUSOCIŃSKI SIADAŁ
W WIDOCZNYM
MIEJSCU, KŁADŁ NOGI
NA STÓŁ, WYCIĄGAŁ
PRASĘ PODZIEMNĄ
I CZYTAŁ**



Do historii polskiego sportu przeszła pewna knajpa w Warszawie, co brzmi paradoksalnie, bo lokale gastronomiczne, zwłaszcza te z wyszynkiem, trudno uznać za idealne miejsca do wykuwania olimpijskiej formy. A jednak... Knajpa zwała się „Pod Kogutem” i mieściła w Warszawie przy ulicy Jasnej. Otwarto ją pod koniec listopada 1939 roku, czyli niespełna dwa miesiące po klęsce wrześniowej.

W karczmie sportowej „Pod Kogutem” (tak brzmiała oficjalna nazwa lokalu) funkcje kelnerskie pełnili wielcy mistrzowie tenisa Jadwiga Jędrzejowska i Ignacy Tłoczyński oraz lekkoatletyki Maria Kwaśniewska i Janusz Kusociński. Od strony marketingowej pomysł był znakomity. Sławne postaci ze świata sportu przyciągały klientelę. Któż by nie chciał złożyć klasycznego zamówienia (panie Januszu, setkę i zakąskę!) u samego Kusocińskiego? Chodziło też o zapewnienie dobrze płatnej pracy mistrzom, którzy musieli z czegoś żyć w okupowanym kraju, gdzie obowiązywał zakaz uprawiania sportu.

Wielu wybitnych sportowców, wśród nich wspomniana czwórka kelnerska spod „Koguta”, z pełną świadomością zrezygnowało z możliwości wyjazdu za granicę. Każdy miał przecież znakomite kontakty na całym świecie, mógł spokojnie grać w tenisa lub biegać na neutralnym gruncie. Większość z nich wybrała jednak trudne życie w kraju. Chwała im za to, zwłaszcza tym, którzy podjęli ryzyko działania w konspiracji.

Na tym polu zdecydowanie wyróżniał się Janusz Kusociński, który trafił do Organizacji Wojskowej „Wilki”. Praca w karczmie „Pod Kogutem” miała z konspiracyjnego punktu widzenia złe i dobre strony. Wiadomo było, że Kusociński jako słynny sportowiec będzie przez Niemców szczególnie obserwowany. Ryzyko, że mistrz olimpijski naprowadzi hitlerowców na trop organizacji, było ogromne. Ale komendant główny Wilków Józef Brueckner widział w całej tej sytuacji pozytywne aspekty: „Ten bar «Pod Kogutem» spadł nam z nieba. Czy może być lepsze miejsce do kontaktów z Niemcami? A nam potrzeba informacji, informacji, informacji. Bez niej nie możemy egzystować i walczyć”.

Komendant Brueckner bardzo cenił odwagę Kusocińskiego, ale wkrótce przekonał się, że graniczy ona z brawurą. Słynny biegacz działał ostentacyjnie, ani trochę nie przejmował się obecnością Niemców. Ignacy Tłoczyński, jeden ze słynnej czwórki kelnerskiej, opowiadał: „Kusociński na początku pracował w «Kogucie», jak my wszyscy zresztą, bardzo sumiennie (zyski dzieliлиśmy równo). Po pewnym jednak czasie zaczął przychodzić do gospody nieregularnie. Wpadał często tylko w południe i szybko się ulatniał, a bywały takie dni, że w ogóle się nie pokazywał. Kiedy jednak już przyszedł, siadał w ostatniej łozie naprzeciwko drzwi frontowych, kładł nogi na stół, wyciągał prasę podziemną i czytał ostatnie wiadomości radiowe. Każda osoba wchodząca do lokalu mogła to zauważyć. Wielokrotnie go ostrzegałem, ale niewiele to pomagało. Postępował nieostrożnie, lekcewał sobie każde niebezpieczeństwo i był bardzo pewny siebie”.

Takie zachowanie wynikało z charakteru wielkiego sportowca, ale było też skutkiem złej oceny sytuacji politycznej. Kusociński był przekonany, że wojna nie potrwa długo.

Podobną nadzieją żyła zresztą spora część polskiego społeczeństwa. Jakże mylili się ci wszyscy optymiści z Kusocińskim na czele. Od jesieni 1939 roku minęło jeszcze pięć długich lat niemieckiej okupacji.

28 marca 1940 roku Janusz Kusociński został aresztowany. Niespełna trzy miesiące później Niemcy rozstrzelali go w Palmirach. Pozostali kelnerzy z karczmy „Pod Kogutem” okazali się rozważniejsi jako konspiratorzy. Wszyscy przeżyli wojnę. ■



bumar

www.bumar.com

Innowacyjne rozwiązania dla bezpieczeństwa

NUMBER 19 FOR 2015 FROM BOSTON